

# Glyn Eleonora

## Ich noce

*O takiej miłości marzyć może każda kobieta, w cichości pragnie jej każdy młody chłopak. Czy można taką przeżyć na jawie? Sprawdźcie. Drodzy Czytelnicy.*

*W pięknej Szwajcarii przebywa, aby zapomnieć o nieakceptowanej przez rodziców miłości, młody angielski dżentelmen.*

*Niedługo dane mu było zaznawać spokoju. Bo oto w hotelu pojawia się niezwyklej urody cudzoziemka, o której służba szepcze, że pochodzi z królewskiego rodu. Tajemnicza dama rozbudza wielkie namiętne uczucie młodego Paula. Zakochani przeżywają upojne chwile w górskim schronisku, potem w Wenecji, gdzie nagle piękna tajemnicza księżna znika pewnego dnia, pozostawiając w śmiertelnej rozpacz rozkochanego Anglika. I co z tego wyniknie?*

Tym razem jest to fragment z życia młodego chłopca i nie ma właściwego początku ani końca. A wy, którzy jesteście starzy i zapomnieliście o namiętnościach młodych lat, może mnie potępicie. Lecz są inni, może ani młodzi, ani starzy, którzy mnie zrozumieją i może zajmą się tym studium.

Pawełek Verdayne był młody, świeży i narwany, gdy zaczął się ten okres jego życia. Wierzył w siebie samego, wierzył w swoją matkę i w mnóstwo innych ważnych rzeczy. Życie było dla niego pełne niezbitych pewników. Był na przykład pewny, że strzela lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Był pewny, że zna swą własną istotę, jak nikt, a przede wszystkim był pewny, że jego miłość do Izabeli Waring będzie trwała wiecznie.

Gotów był przysięgać jej wierność do grobu z tą cudowną nieopatrznością młodości, tak piękną w swym nierozsądku.

Pawełek był młody, jak już mówiłam, zdrowy i silny. Był w Elton, a następnie w Oksfordzie i opuszczając zakład, otrzymał najlepsze stopnie za wszystkie te rzeczy, które zamieniają młodych Anglików w doskonale pięknych atletów. Książki nie bardzo go interesowały. Polowanie i konie — to były dla niego najważniejsze rzeczy. Co do jego matki, Lady Henrietty Verdayne, to uważała go za istotę wyjątkową, zabłąkaną między ludźmi.

Pawełek pojechał do Londynu, jak wszyscy jego rówieśnicy i bywał w teatrach, gdzie młode damy lubią pokazywać swe niewinne wdzięki w wesołych scenach i chórach. Jadał również

wieczerze z tymi chórzystkami i uważał się za skończonego światowca.

Przez cały rok bywał w najweselszych domach na wsi, a w sezonie tańczył z najładniejszymi „debiutantkami”. A dwie, czy trzy „młode mężatki”, lat może czterdziestu, wyróżniały go wyraźnie. Z tego opisu możecie wiedzieć, jak przyjemnym stworzeniem był Pawełek. Są w Anglii setki podobnych do niego chłopców i może mają te same zalety, które jemu zapewniły przeżycie opisywanego przez nas epizodu, tylko że tamci chłopcy są tacy, jak on był z początku — śpiący. Wypadek na polowaniu w marcu, podczas którego złamał obojczyk, był początkiem przygody z Izabelą Waring.

Była to córka pastora — jeszcze tego było potrzeba dla stylu — i często przychodziła do Verdayne Place pisać listy jego matce. Resztę czasu spędzała na grze w golfa i na długich spacerach z psami. Poza tym Izabela była bardzo miłą dziewczyną, najszcześliwszą, jeśli mogła komuś usłużyć.

A chociaż miała czerwone i duże ręce, umiała pisać szybko i wprawnie. Lady Henrietta, która sama wyglądała jak posążek z saskiej porcelany, nie potrafiłaby sobie wyobrazić, jakim sposobem jej ukochany syn mógłby się zająć tak bardzo prozaiczną istotą.

A jednak tak się stało. Izabela czytała mu pisma sportowe, Izabela grywała z nim w pikietę przez całe nudne popołudnie, gdy wracał do zdrowia, Izabela sama myła jego psa, Pika, takiego ślicznego rudego terriera. Aż pewnego straszego dnia Pawełek ucałował pełne, różowe usta Izabeli, właśnie w chwili, gdy jego matka weszła do pokoju.

Na ten okres jego życia chętnie spuszczam zasłonę.

Lady Henrietta była wielką damą i w podobnych okolicznościach umiała się zachować spokojnie, ale była też kobietą i to nie nadzwyczajnie mądrą. Rozumiała jednak, że nie należy drażnić Pawełka zbyt silnym oporem, bo gotów posunąć się do ostateczności, to znaczy ożenić się z tą dziewczyną ze średniej warstwy społecznej.

— Niech się chłopiec wyszumi — mówił sir Charles Verdayne, który był bardzo doświadczony. — Głupstwo to wszystko! Przecież

mężczyzna nie jest obowiązany żenić się z każdą kobietą, którą pocałował.

— Dżentelmen nie powinien lekkomyślnie całować niezamężnej osoby, chyba, że chce ją pojąć za żonę! — odrzuciła lady Henrietta. — Obawiam się najgorszych rzeczy.

Sir Karol parsknął i chrząknął, były to dwa niemiłe przyzwyczajenia, których żona nigdy nie mogła go oduczyć. I tak sprawa rosła do coraz większych rozmiarów. Mniej więcej w połowie kwietnia postanowiono wysłać Pawełka w podróż dla zdrowia.

— Ja i ojciec nie dajemy na nic pozwolenia przed twoim powrotem — rzekła lady Henrietta do syna.

— Jeżeli w lipcu, skończywszy dwadzieścia trzy lata, będziesz chciał złamać serce matki, zrobisz co zechcesz. Ale przedtem wymagam od ciebie trzymiesięcznego namysłu. „

To wydawało się dość rozsądne i Pawełek wyruszył w podróż po Europie — o swej rozmowie z matką nic nie wspomniał Izabeli Waring.

Pożegnali się w dżdżysty ranek na ścieżce, idącej między owsem, aż do probostwa.

— Do widzenia, stary — powiedziała w końcu — było nam królewsko dobrze i nie zapomnę o tobie. Ale Pawełek był w tkliwszym usposobieniu.

— Do widzenia — szepnął z drżeniem w swym miłym głosie. — Nigdy nie będę kochał innej kobiety, oprócz ciebie, nigdy, nigdy w życiu.

— Ku-ku! ku-ku! — rozległ się w tej chwili głos ptaka na drzewie.

A teraz zbliżamy się już do właściwego zdarzenia. Paryż znudził Pawełka — nie znał jego uciech i nie miał ochoty na poznawanie ich. Chodził z kąta w kąt i nudził się jak mops. Francuszczyzna jego była zbyt skromna, żeby teatr mógł mu dać prawdziwą przyjemność, a piękne damy, które uśmiechały się do jego błękitnych oczu, były dla niego zakazanym owocem. Mężczyzna, który musiał odjechać od jedynej kobiety, którą kocha i będzie kochał, nie ma prawa patrzeć na takie stworzenia — myślał. Jaki był jeszcze młody, rycerski i szlachetny! — Biedny Pawełek!

Potem zwiedził Wersal i Fontaineblau i Compiegne z przewodnikiem w ręku i doszedł do przekonania, że to wszystko jest „wściekle nudne”. Więc opuścił Francję i pomknął do Szwajcarii. — Czy znacie Szwajcarię, wy, czytelnicy? Czy widzieliście ją w początku maja? Błękitne oczy jezior i płaty śniegu na górach, i pierwsze kwiaty, i boska zieleń młodych świerków, i głębokie cienie, i wesołe upajające powietrze.

Jeśli widzieliście, to nie potrzebuję wam o tym pisać, jeśli nie, to i tak nie potrafię opisać tego, co tam jest naprawdę. Ale w każdym razie musicie na to patrzeć oczami Pawełka, jeżeli macie zamiar czytać dalsze stronicie tej skromnej opowieści.

Padał deszcz, gdy nasz bohater jechał z dworca do hotelu. Był w najgorszym humorze. Pilatus trzymał głowę we mgle, Biirnenstock był niewidzialny — było przy tym zimno i Pawełek z przyjemnością zobaczył, że w saloniku pali się ogień.

Myśli uniosły go do jego własnego pokoju w domu i przypomniał sobie donośny i wesoły głos Izabeli Waring, rachującej punkty w pikiecie. Jaka to była niedorzeczność wysyłać go gdzieś w świat, jak gdyby takie postępowanie mogło mieć jakikolwiek wpływ na taką poważną miłość.

Śmiał się tylko z szalonych nadziei matki. Zapragnął nagle usiąść i napisać do swojej ukochanej. Napisać, jak wszystko wydaje mu się wstrętne, że czas mu płynie dobrze tylko przy niej, gdy może patrzeć na jej uroczą postać — tylko Pawełek nie chciałby napisać tego tak wyraźnie — zresztą on nigdy nie myślał o jej wdziękach, ani ich nie pożałował. Nie uświadamiał sobie nic. Spał jeszcze snem niewinnego młodzieńca z dobrego, angielskiego domu.

Obiecał, że nie będzie pisał do Izabeli, a gdyby musiał, w razie koniecznej potrzeby, to przynajmniej nie napisze listu miłosnego.

— Mój drogi chłopcze — powiedziała mu lady Henrietta, gdy na pożegnanie całowała go w czoło — jeżeli będziesz się czuł bardzo nieszczęśliwy i uczujesz konieczną potrzebę napisania do panny Waring, to niech już tak będzie, ale niech twój list będzie opisem podróży, niech się w nim nie znajdą wyznania miłosne, albo, broń Boże, obietnica przyszłego związku. Czy mam twoje słowo, Pawełku?

I Pawełek dał słowo.

— Dobrze, mam, obiecuję, na trzy miesiące.

A dziś w ten dżdżysty wieczór poczuł, że „musi” napisać, że ta „konieczna potrzeba” nadeszła, więc wziął papier hotelowy i tak rozpoczął:

*Moja Droga Izabelo!*

*Mówiłem Ci już i wiesz o tym dobrze, że nie cierpię wszelkich czułych początków. Przyjechałem do tej obrzydłej miejscowości i jestem bardzo nieszczęśliwy. Zdaje mi się, że byłoby mi daleko lepiej, gdybym choć Pika wziął ze sobą, tylko te przekłete prawa, które zabraniają wywożenia zwierząt z Anglii i to wysokie cło. Jak się ma Błyskawica"? Czy tęskni do mnie, czy zaglądasz do niej czasami? Powiedz Tremlettowi, żeby widywał się z Tobą codziennie i przynosił Ci wiadomości o niej — napiszę do niego potem. Okna mojego pokoju wychodzą na to wstrętne jezioro, a za nim są góry, tak mi się przynajmniej zdaje, bo nie mogę ich dojrzeć. W hotelu nie ma prawie nikogo, zimowi goście już wyjechali, a letni jeszcze nie przyjechali, więc wątpię nawet, czy będę mógł mieć partię bilardu. Jestem znudzony tą całą Szwajcarią i najbliższym pociągiem chciałbym pojechać do domu: Teraz muszę się przebrać do obiadu i skończę Ust dziś w nocy.*

Pawełek ubierał się do obiadu; był ciągle w złym humorze, jego służący drżał ze strachu. W końcu zszedł do restauracji i opryskliwie rozmawiał z ugrzecznonym kelnerem. Kazał sobie przynieść jedzenie i butelkę białego wina takim tonem, jakby kelner miał zamiar wyrządzić, czy też wyrządził mu jakąś krzywdę.

— Anglik — szeptała służba, pokazując go — płaci dobrze, ale przeklina.

Potem Pawełek kazał sobie przynieść New York Herald i zasłonił się nim cały. Bezmyślnie brał od czasu do czasu małą oliwkę nu widelec i, posilając się w ten sposób, czekał na zupę.

Najbliższy stolik w tym zacisznym kącie sali był również, nakryty na jedną osobę. Stał tam pęk róż, które najwidoczniej pochodziły

z paryskich kwiaciarni. Wszystkie prawie dalsze stoły były puste lub już opuszczone. Przyszedł na obiad bardzo późno. Kto potrzebuje róż, jeśli je obiad samotnie? Przy talerzu leżało menu i stała butelka czerwonego wina. Oczekujący młodzieniec nalał sobie również szklaneczkę i smakował powoli, z miną prawdziwego znawcy.

— To pewnie będzie jakaś podstarzała turystka, z takich, co to nie mają płci — pomyślał Pawełek i wrócił do wiadomości ze sportu.

Nie rozglądał się wcale, nawet wtedy, gdy posłyszał szelest sukni.

Jakaś kobieta przeszła obok niego tak blisko, że jedwabna suknia musnęła mu kolano. Zdawało mu się, że poczuł zapach tuberozy i rzeczywiście, zanim usiadła, dojrzał, że ma gałązkę przypiętą do stanika. Dama kazała sobie podać obiad; podano jej przed wszystkimi. Ma widać osobliwe wino, osobliwe róże i osobliwe względy także. Jakie to niesmaczne!

Pawełek zmarszczył się, ściągnął ciemne, cienkie brwi i patrzył na nieznaną rozgorzałymi z gniewu oczyma. Niemłody, pełen godności służący w czarnej liberii stanął za jej krzesłem. Ona również była ubrana zupełnie czarno, kapelusz jej — na pierwszy rzut oka widać było, że jest kosztowny — szerokimi skrzydłami rzucał cień na oczy. Twarz miała białą, jak listek magnolii, zadziwiająco białą i bez żadnych znaków szczególnych. W ogóle nie ma w niej nic szczególnego — zauważył Pawełek. Tak, był zły, ale po chwili musiał przyznać, że ma ładne usta. Były takie czerwone! Przyciągały wzrok swoją zmysłowością prawie jak usta Izabeli, tylko wykrojone delikatniej i kapryśne, wąskie i czerwone, czerwone, czerwone... Pawełek był młody, znał się jednak na malowanych wdziękach, tymczasem ta czerwień była naturalna, żywa i świeża i to go zbiło z tropu. Zaczął jeść zupę — jej podano posiłek jeszcze przed nim. Zauważył, że kelnerzy obsługiwali ją skwapliwie i z szacunkiem, ale w każdej sprawie zwracali się nie do niej, tylko do niemłodego służącego, który stał tuż za jej krzesłem. Kim była ona, że ją obsługiwano tak uniżenie i z taką szybkością?

Na przykład czerwone wino nalewał jej do szklanki sam maitre d'hotel. Podniosła szklankę ku światłu i patrzyła na rubinowy płyn,

a potem zaczęła smakować powoli, gdy maitre d'hotel czekał niespokojnie na jej wyrok.

— Bon — powiedziała tylko, a wtedy jakby ciężar spadł z ramion tego człowieka. Wyprostował się, odetchnął i odszedł z ukłonem.

Gniew Pawełka wzrastał się.

— Ona ma więcej niż trzydzieści lat — mówił sobie. — Nic w niej nie ma osobliwego. Ciekawy jestem, jakiego diabła będzie teraz jadła.

Jadła delikatne truite bleu, lecz wina nie piła teraz wcale. Kończyła już rybę, gdy przyniesiono dla Pawełka sole au vin blanc, co go rozgniewało jeszcze więcej. Dlaczego on ma czekać z obiadem? Dlatego, że licho przyniosło skądś tę kobietę? Sam był zły na siebie, że jest taki ciekawy. Na stół wjechała teraz najdelikatniejsza sałata, skropiona cytryną i młodszy, najświeższy zielony groszek. Maitre d'hotel zjawił się znowu i sam przyrządzał sałatę.

Pawełek zauważył, że z tych wszystkich rzeczy nieznaną damą jadła tylko **po** odrobince.

Nareszcie Pawełkowi przyniesiono jego baranie kotlety a l'ang-laise, a ona tymczasem próbowała francuskiego wina. Tak, to było francuskie wino i na pewno doskonałe, poznawał po kolorze. Zawstydić ją, zwyciężyć! Pawełek powrócił do spisu win.

Jakie to może być wino? „Chateau Latour” po piętnaście franków? „Chateau Margaux” czy „Chateau Lafitte” po dwadzieścia? A może żadne z tych, tylko zupełnie specjalne, tak jak róże i obsługa?

Wezwał kelnera i kazał mu przynieść butelkę porto — czuł, że teraz nie przełknie już ani kropli „Saint Estephe”. Do tego czasu dama wcale nie spojrzała na niego, raz tylko zwróciła głowę w tę stronę, gdy przyglądała się winu pod światło, toteż prawie nie widział jej oczu, bo przysłoniła je szklanka. Irytowały go jej spuszczone powieki i długie rzęsy. Jakiego koloru mogą być jej oczy? Muszą być niewielkie i zapewne czarne, tak jak włosy. Czarne, małe oczy? Nie bardzo to ładne a nawet śmieszne, to pewne. A do tego nie cierpiał czarnych włosów, rosnących takimi falami, Włosy kobiety powinny być puszyste i nastrzępione w drobne loczki i kosmyczki, jak włosy Izabeli i tak, jak u niej układać się porządnie. A te musiały być bardzo gęste i grube; można by nimi zabić



kogoś, gdyby się owinęły dokoła czyjejś szyi. Co za dziwne myśli przychodzą mu do głowy? Skąd ten pomysł, żeby miała komuś dokoła szyi owijać włosy? Zdecydował, że portwein musiał uderzyć mu do głowy — nigdy w ten sposób nie rozmyślał o kobietach.

— Co ona teraz będzie jadła? Ale co go może obchodzić, co ona jadła, albo będzie jeść?

Maitre d'hotel zjawił się znowu z talerzem wybornych brzoskwiń. Kelner podał pełnemu godności służącemu miseczkę do płukania rąk, do której nalał różanej wody. Pawełek aż tutaj poczuł zapach i jednocześnie mógł się przyjrzeć jej rękom. Tak, ręce miała rzeczywiście bez zarzutu, na to nic nie mógł wymyślić; wysmukłe i białe tą przejrzystą białością, jak perłowa masa. A jakie różowe paznokcie, jak wypolerowane! Ręce Izabeli... ale odsunął myśl o nich.

Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że ogarnęło go jakieś dziwne zainteresowanie — bardzo irytujące i naganne. Maitre d'hotel zabrał teraz wino, z którego dama wypila tylko jedną szklanekę. Po chwili wrócił z butelką dziwnego kształtu, a służący począł nalewać złocisty płyn do cienkiej szklaneczki od likieru. Co to może być? Pawełek znał się dobrze na likierach. Czyż nie jadał obiadów we wszystkich możliwych restauracjach londyńskich z pewną znajomą, która przepadała za miętowym likierem? Ale tego nie mógł jakoś poznać.

A może to ów słynny królewski tokaj? A skąd ona to wzięła? I wreszcie, co to za diabeł, ta nieznajoma?

Od niechcienia jadła brzoskwinie, smakując ją wolno — zdawała się być bardziej zainteresowana brzoskwinia, niż resztą obiadu. Ale co miał znaczyć ten wyraz twarzy? Coś nieokreślonego — cynizm, czy co? Nie, to jakby fascynacja czymś. Zupełne zapomnienie o sobie i innych, tak jakby była sama w pokoju. O czym ona mogła myśleć, że nigdy nie spojrzała dokoła siebie?

Zaczął teraz patrzeć na jej szyję, okrągłą i niesłychanie białą pod przejrzystą koronką kołnierza. Nie miała pereł ani żadnych klejnotów, tylko owszem, tak, jeden wielki szafir. Nie otoczony diamentami, jak zwykle broszki, tylko jeden pojedynczy kamień, tak ciemny, że wydawał się prawie czarny. Na rękę ani w uszach nie miała żadnych klejnotów.

Uszy jej zresztą nie były tak nadzwyczajnie piękne. Izabeli były prawie tak samo dobre — i to jedno pocieszało go trochę. O ile mógł dojrzeć przez róże, była wysmukła, lecz przy wejściu nie zauważył, czy jest wysoka czy niska. Nie mógł też powiedzieć, czy miała ze trzydzieści lat, czy mniej — na twarzy jej nie było ani jednej zmarszczki.

Stanowczo nie była ładna, stanowczo nie. Dobrze zbudowana i pełna wdzięku, o ile mógł osądzić, ale ładna — po tysiąc razy nie!

A teraz myślał o tym, jakiej jest narodowości. Francuzka? Na pewno nie, Angielka, Niemka, Włoszka? Kto wie? Może Rosjanka lub Węgierka?

Pawełek wypił trzy szklanki portweinu i zaczął czwartą. Było to więcej, niż pijał zwykle. Pawełek był wstrzemięźliwym młodzieńcem. Nie rozumiał nawet, jak mógł tak długo siedzieć i tyle wypić tego wieczora. Obiad jego był skromny — wyjątkowo skromny — asystował za to przy wykwintnej, prawdziwie lukullusowej uczcie kobiety, która tylko kosztowała każdego dania.

— Ciekawy jestem, ile ona zapłaciła za to wszystko — pomyślał sobie — prawdopodobnie tylko podpisze rachunek i nawet nie spojrzy na niego.

Lecz dama, skończywszy brzoskwinie i opłukawszy wąskie palce w różanej wodzie, wstała i powoli ruszyła ku drzwiom, nie płacąc za posiłek i nie podpisując żadnego rachunku.

Pawełek skamieniał, gdy przechodziła koło niego — dosłownie skamieniał — przypomniał to sobie później i bardzo był zawstydzony z tego powodu.

I tym razem dama nie zwróciła na niego uwagi, nie podniosła nawet oczu, tak że gdy zniknęła, nie wiedział, jaki mają kolor i wyraz.

Ale jaką ona miała figurę! Wysmukła, wiotka, a pełna.

— Ona musi mieć jakieś niemożliwie drobne kości — pomyślał sobie Pawełek — bo wszystko ma takie okrągłe i pełne, a jednocześnie jest wysmukła jak gazela.

Była również wysoka, choć nie miała sześciu stóp, jak Izabela. Maitre d'hotel i kelnerzy stali pochyleni w głębokim ukłonie, **gdy** przechodziła, eskortowana przez siwowłosego służącego.

Naturalnie, że nietrudno było by Pawełkowi poznać jej nazwisko gdyby chciał. Wystarczyłoby wezwać kelnera i zadać mu niedyskretne pytanie. Jakiś niewytłumaczony wstręt powstrzymał go od tego. Zamiast tego wypił jeszcze jedną szklankę porto. Zaczęło mu się trochę kręcić w głowie i zapragnął wyjść na świeże powietrze. Deszcz przestał padać i niebo iskrzyło się mnóstwem gwiazd na ciemnym szafirze. Było bardzo ciepło, szczególnie pod drzewami. Pawełek utrzymywał sam przed sobą, że nie jest bynajmniej pijany — cóż miał lepszego zrobić! Osądził też, że wino nie było najlepszej marki.

Siadł na ławce i zapalił cygaro. Ogarnęło go uczucie zupełnego osamotnienia. Zdawało mu się, że jest daleki, daleki od wszystkich i wszystkiego, co kiedykolwiek znał na świecie. Był przygnębiony i obawiał się nawet jakiegoś nieszczęścia, choć był to prawdziwie angielski chłopak, bardzo solidny i trzeźwy, który nie poddawał się żadnym nieokreślonym wrażeniom. Skąd w takim razie ten dzisiejszy nieznany mu nastrój? Obca kobieta, a raczej jej czarna sylwetka zasłoniła mu cały świat. Czarne włosy, czarna suknia, czarny kapelusz — i naturalnie czarne oczy. Ach, gdyby mógł znać ich rzeczywisty kolor!

Niska ławka, na której siedział, stała w cieniu wierzby, rosnącej na małym, bocznym tarasie. Dokoła panowała cisza, przechodziło bardzo mało osób wszystkich niewątpliwie spłoszył deszcz. Pawełek czuł się sam na całym świecie.

Wino poczęło wywierać swój wpływ. Dlaczego ma tu tak siedzieć? Jest młody, bogaty i nawet w Lucernie może przyjemnie żyć. Zaraz zrobiło mu się lżej na sercu i począł patrzeć na jezioro. Nagle serce zaczęło mu dosłownie walić w piersiach jak młotem. Doleciał go przenikliwy zapach tuberozy i tuż nad głową usłyszał ciche westchnienie.

Zerwał się gwałtownie i rozejrzał dokoła. W głębokim cieniu dojrzał niewyraźnie białą kobiecą twarz. Zdawała się wyłaniać z czarnego obłoku. I patrzyła na niego z góry para oczu - para oczu... Przez chwilę serce przestało mu bić zupełnie, tak niezwykle te oczy wywarły na nim wrażenie. Zdawało mu się, że te oczy wyciągają mu coś z dna duszy, że go zatruwają, paraliżują po

prostu. A gdy tak stał znieruchomiały ze wzruszenia, nieznajoma cofnęła się powoli i Pawełek nie widział znowu nic, tylko gwiazdziste niebo.

Czy mu się śniło? Czy rzeczywiście stał pod wierzbą? Czy był chory? Tak, albo chory, albo pijany, bo teraz przecież widział jej oczy, a wciąż nie miał pojęcia, jakiego są koloru. Czarne, niebieskie, szare, czy zielone? Nie wiedział, nie mógł myśleć, wiedział tylko, że to były oczy... oczy...

List do Izabeli Waring pozostał nie skończony tego wieczora.

\*

Pawła bolała głowa prawie przez cały ranek i nie miał zupełnie ochoty wstawać. A jednak słońce świeciło prosto w okna i ptaki śpiewały na drzewach.

Tymczasem jego nastrój był podobny do wczorajszej pogody: pochmurny, burzliwy i jakby zawstydzony. Słońce go wyjątkowo drażniło.

Ale potem jak pięknie wyglądał, gdy zszedł na dół, aby pływać łódką po jeziorze.

Jego matka, miała rację, że była dumna z takiego syna. Taki wysoki i prosty, pięknie zbudowany i dzielny.

Ażeby usunąć wszelkie krytyki, dodamy tu jeszcze, że nosił na pewno jedwabną bieliznę i był w ogóle ubrany bez zarzutu, jak wszyscy Anglicy jego sfery i wieku. A jaki się wydawał wysmukły, gdy stał na łódce i odcinał się zgrabną sylwetką na błękitnym tle wód.

Góry były rzeczywiście bardzo ładne, jak sobie myślał Paweł i nie było znanadto gorąco, i cieszył się, że wyszedł bez śniadania i teraz ma taki dobry apetyt. Tak, bardzo był z tego rad.

Przejechawszy paręset metrów zatrzymał łódkę i patrzył na hotel. Zaciekawiała go myśl, gdzie jest dzisiaj ona — dama z tymi oczami. Czy może mu się to wszystko śniło i nie ma nikogo takiego?

W każdym razie nic go to nie obchodziło — zaczął wiosłować z zapalem i przestał rozmyślać.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie do domu, było dokończenie listu do Izabeli.

*P.S. Poniedziałek. Dzisiaj jest trochę ładniejsza pogoda i miałem trochę ruchu. Widok jest niezły od czasu, gdy mgły się rozeszły. Mam zamiar nawet chodzić trochę po górach. A Ty dbaj o siebie, Dziewczynko Kochana i bądź zdrowa.*

*Serdeczne pozdrowienia od Pawła*

Z pewnym uczuciem wzruszenia schodził do sali restauracyjnej na śniadanie. Czy ona będzie? Jak też wygląda przy dziennym świetle?

Lecz mały stoliczek, przy którym siedziała wczoraj wieczorem, był zajęty. Nakrycie było zwykłe, szkła i srebra, ale ani znaki! specjalnych przygotowań dla oczekiwanego gościa.

Paweł był zły sam na siebie, że serce bije mu jakoś niespokojnie. Czy wyjechała? Czy też tylko na obiad schodzi do ogólnej sali? A może śniadanie jada w saloniku przy tarasie, na którym wczoraj wieczorem zobaczył jej oczy.

Jedzenie było bardzo dobre i słońce świeciło wesoło, a Paweł był młody i zdrowy, toteż na razie zapomniał o nieznajomej damie i pograżył się w ocenie potraw.

Pociągał go widok nad jeziorem, z przyjemnością też wypalił cygaro pod drzewami. Miał też ochotę zwiedzić najbardziej ustronne ścieżki. Gdyby tylko Pik był z nim tutaj albo Izabela.

Postanowił wprowadzić tę myśl w czyn.

Kolejka wydała mu się śmieszna, niewygodna, ale za to tak ładnie wyglądały wierzchołki drzew, gdy się na nie patrzy z góry. Tak — Lucerna jest o wiele ładniejsza od Paryża. I on tyle razy patrzył na drzewa, a zupełnie nie widział, jakie mogą mieć piękne kolory. Na razie przestał myśleć o wszystkim innym. Czuł się pokrzepiony — nawet zupełnie spokojny. Gdyby miał Pika, czułby się jeszcze lepiej, tak mu się przynajmniej zdawało.

Ale cóż to za szelest, tam, przed nim między liśćmi? Rozejrzał się dokoła i tak samo skamieniał, jak poprzedniego wieczora. Bo oto spomiędzy świeżej zieleni młodych buków wychylała się główka da-

my w czerni. Patrzyła na niego z góry przez gałęzie, a twarz jej przysłonięta czarnym kapeluszem i długim czarnym woalem miała koloryt prawie tajemniczy, do czego jeszcze przyczyniał się zielony cień, jaki rzucały gałęzie.

Pawełkowi serce poczęło bić gwałtownie. Czuł też pulsowanie pod gardłem — przez kilka sekund. Wiedział tylko, że patrzy w jej oczy i pewny był teraz, że są zielone. Wydawały się daleko większe niż się spodziewał z początku. Były też prześlicznie oprawione w gęste, podwinięte do góry rzęsy. A wyraz miały drwiący i zniewalający zarazem i jeszcze... Ale ona puściła rozchylone gałęzie i zniknęła mu z oczu.

Paweł stał nieruchomo. Zbierało mu się na płacz. Czy skoczyć pomiędzy drzewa i śledzić ją? Czy zawołać ją i wezwać, żeby powróciła? Czy może... Ale gdy wreszcie zdecydował się przedostać na miejsce, na którym ona musiała stać, przekonał się, że krzyżowały się na nim trzy ścieżki, a on nie miał pojęcia, którą z nich obrała obca pani. Pobiegnął pierwszą z nich, ale ścieżynka z początku kręciła się mocno, a gdy wreszcie mógł coś widzieć, nie zastał nikogo. Cofnął się więc i poszedł drugą ścieżką. Ta wyprawa również się nie powiodła. A ta trzecia wyprowadziła go na otwarte miejsce, z którego mógł dojrzeć odjeżdżającą kolejkę, w której otwartym wagonie dostrzegł wysmukłą, czarną postać kobiety a obok sylwetkę siwowłosego służącego.

Paweł w Eton i w Oksfordzie nauczył się znacznej liczby przekleństw, a teraz drzewa usłyszały większą część z nich.

Nie mógł jechać do domu, dopóki wagon nie powróci, cóż więc ma robić przez ten czas?

Bezczelowe spacerowanie po ścieżkach wydawało mu się długie, jak wieczność. Tym razem okoliczności w okrutny sposób zapanowały nad nim.

Wreszcie dostał się do hotelu i stanął na tarasie wychodzącym na jezioro.

Wtedy zaczął rozprawiać sam ze sobą. Dlaczego widok tej kobiety powoduje u niego takie gwałtowne wzruszenie. Dlaczego? Kobiety są to stworzenia nudne i nieciekawe — naturalnie z wyjątkiem Izabeli. Wizerunek jej chętniej teraz niż kiedykolwiek zjawiał się mu

w myśli. Lecz co niestety widział najwyraźniej, to jej ręce — czerwone, wielkie ręce. I nieświadomie począł odpędzać wszelką myśl o niej.

— Ona wygląda daleko młodziej przy dziennym świetle — pomyślał nagle. — Na pewno nie ma jeszcze trzydziestu lat. A jaki to dziwny kapelusz tak rzuca cień na jej oczy? Co ona tu robi sama? Musi to być jakaś znaczna osobistość, skoro w hotelu robi tyle hałasu. Ale kto to taki? Myślał i myślał. Nie jest na pewno z półświatka. Angielskie damy tego rodzaju, które znał, były to bardzo pospolite osoby, ale słyszał o Francuzkach, które miały wzięcie prawdziwych wielkich dam i podróżowały po królewsku. A jednak był przekonany, że ona do nich nie należy. Ale kto to może być w takim razie? Musi się dowiedzieć.

Chodził przez pół godziny pod drzewami rosnącymi koło jej tarasu, choć najkrótszą drogą dowiedzenia się nazwiska damy było wejście do hotelu i zapytanie się służby. Wreszcie niepokieszony wszedł do hotelu. Pomyślał sobie, że i on dzisiaj musi mieć obiad taki, żeby go warto jeść. Toteż odbył naradę z maitre d'hotel'em w tej kwestii i obstał sobie prawdziwy bankiet. Pragnął przez cały czas konferencji zapytać człowieka o nieznaną, ale nie miał zdolności aktorskich, a czuł, że nie potrafi mówić o tym naturalnie.

Ubierał się z największym staraniem i zszedł na dół punktualnie o wpół do ósmej. Tak, stół był z wszelką pewnością nakryty dla niej, tylko dziś w srebrnej wazie stały ogromne cieliste goździki, nie róże! Ale jak dziwnie szybko służba podawała dzisiaj potrawy, obiad przeleciał nieznośnie prędko, a jednocześnie włókł się. Pod koniec Paweł jadł coraz wolniej, ale wreszcie o dziewiątej skończył. Może teraz dobrze by było posłać po gazetę. Był dziwnie skrepowany, czuł, że powinien już wstać i odejść. Opanowało go niewygodne i męczące uczucie oczekiwania. Cóż to za nieznośna i śmieszna kobieta z tym spóźnianiem się. I co ten biedny kucharz robi, żeby nie popsuły się potrawy, które tak długo muszą czekać. Przecież niepodobna wierzyć, żeby zamawiała obiad na pół do dziesiątej. Równie z uderzeniem tej właśnie godziny Paweł wysączył trzecią filiżankę czarnej kawy! Był niezadowolony i niespokojny, obawiał się nawet czegoś niejasnego. Wstał gwałtownie i wyszedł. W hallu spot-

kał się twarz w twarz z nieznaną damą, która wychodziła z korytarza wiodącego do jej pokoi. Wtedy ogarnęła go wściekłość. Dlaczego nie zaczekał? Teraz nie miał żadnego możliwego powodu, żeby powrócić. To jeszcze szczęście, że spotkał ją tutaj.

Nachmurzony usiadł w hallu, opierając się pokusie spędzenia pięknego wieczoru na dworze. Chce ją przynajmniej zobaczyć, jak będzie wracała. Ale na próżno czekał do jedenastej i w końcu domyślił się ku swej rozpaczy, że prawdopodobnie przeszła do swoich pokoi przez taras pod drzewami cytrynowymi.

Nagle zerwał się i jednym skokiem znalazł się na dworze. Przecież może zajrzeć przez okna restauracji. Zajrzał i nie zobaczył już nikogo.

Więc usiadł na ławeczce pod wierzbą, lecz dookoła było cicho i ciemno; Paweł przygnębiony i smutny poszedł w końcu do swojego pokoju.

Następny dzień był tak świeży i piękny, że Paweł poczuł jak młodą i świeżą ma krew w swoich żyłach. Wstał z łóżka wcześniej. Jedząc śniadanie postanowił, że ani razu przez ten dzień nie pomyśli o nieznanym damie. Natychmiast po śniadaniu pojechał elektryczną kolejką na Righi, zabierając ze sobą gazety i listy z Anglii. Co za radość! List od Izabeli!

Taki miły! Cały o Piku i Moonlighter i o innych koniach. Izabela jeździła z przyjaciółką do Blackbeath, gdzie była daleko lepsza partia golfa, niż w domu, i pani Henrietta była dla niej bardzo grzeczna i dała jej adres Pawełka, i w niedzielę było w Verdayne Place wesołe, ogromne spotkanie niedzielne, ale nie było żadnego z „drażalów”, przyjaciół Pawła. Gdyby nawet byli, to na pewno nie w kościele, dodawała naiwnie.

Wszystko to Paweł czytał w elektrycznej kolejce, po drodze na Righi-Kulm i nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, że Izabela pisze o jakichś bardzo dawno minionych rzeczach i do tego mniej zajmująco, niż zwykle. Zrobił wspaniałą wycieczkę, a gdy powrócił do Lucerny, był strasznie zmęczony i tak głodny, że zaraz poszedł na obiad.

Była już blisko dziewiąta, więc jeszcze będzie w sali, gdy ona



zejdzie i zobaczy ją. Ale naturalnie nic go to nie obchodzi, czy ona będzie, czy nie; zgañł się ostro za takie śmieszne zainteresowanie. Spojrzy tylko raz od niechcienia, przechodząc do swego stolika.

Tak, była, ale właśnie opłukiwała swe białe palce w różanej wodzie na samo zakończenie obiadu.

I nagle dzika wściekłość ogarnęła Pawła, wściekłość na to, że przyszedł tak późno i jednocześnie na siebie, że jest zły z tego powodu, teraz dopiero zdał sobie sprawę, że na tę chwilę spotkania czekał nieświadomie przez cały dzień, ach tak, niestety! Bardzo go to obchodziło.

Pani ani razu nie spojrzała na niego. Powoli wyszła z pokoju, a jej ruchy nieopisanie wdzięczne, czarowały jego oczy. Odczuwał piękno ruchów i umiał je oceniać — czyż nie był przyzwyczajony do tancerek i dam cyrkowych?

Znowu niecierpliwił się powolnością służby, która poprzedniego wieczoru uwijała się jak muchy w ukropie. Wreszcie obiad skończył się i nasz młodzieniec udał się pod swoje ulubione cytrynowe drzewa. Takie mnóstwo gwiazd, że aż niebo pojaśniało od nich. Powietrze było łagodne i z daleka dolatywały dźwięki smutnego walca granego przez orkiestrę.

Mnóstwo ludzi przechadzało się przed hotelem i światła w oknach długo nie gasły. Tylko na tarasie pod wierzbą było ciemno, dojrzał to, gdy usiadł na ulubionej ławce. Którędy ona poszła dziś wieczorem? Musi się dowiedzieć — wstał i zaczął krążyć. Tak, jest tutaj mała uliczka, prywatne wejście do jej apartamentu, tuż prawie na rogu hotelu.

Gdy przyglądał się, nieznajoma pani owinięta w czarny gazowy szal, przeszła obok niego i zatrzymała się na chwilę, podczas gdy siwowłosy służący otwierał małe drzwiczki, po czym weszła i zniknęła / .  
oczu.

Pawłowi wydawało się, że gwiazdy tańczą na niebie. Całą jego istotą wstrząsnęło uczucie tak dziwne, że prawie straszne, ledwie dowlókl się na drżących nogach do swojej ławki. Nie poruszał się zupełnie przynajmniej przez pół godziny; wreszcie w mieście poczęły bić zegary. Nie, nie ma nadziei, już jej nie zobaczy dziś wieczorem. Wstał ociężale i miał zamiar udać się do łóżka, dopiero teraz poczuł

jak jest zmęczony całodzienną wycieczką. A gdy wstał, zobaczył nad gałęziami wierzby jej twarz, która z góry patrzyła na niego.

Jakim sposobem ona weszła na taras, że on jej nie usłyszał? Jak długo była tutaj? Ale zresztą wszystko jedno. Dosyć, że jest tutaj. Lecz co mówią jej oczy, błyszczące tak dziwnie w cieniu? Ależ chyba uśmiechają się do niego. Paweł zerwał się i stanął na ławce. Twarz jego była teraz prawie na poziomie jej twarzy i przybrała wyraz natężonego oczekiwania. Czy mu się śni, czy ona coś szepnęła? Ale tak cichutko, że nie był pewien. Wyciągnął ramiona do niej w ciemności, lecz opamiętał się i objął pień wierzby. I znowu usłyszał szept, lecz tym razem wyraźniejszy, nie mógł się mylić.

— Chodź do mnie, Paul — rzekła — mam ci coś do powiedzenia.

I przez małą uliczkę Paweł popędził jak szalony.

\* \* \*

Paweł nigdy nie mógł sobie zdać sprawy, co właściwie zaszło tego wieczoru — wszystko było takie jakieś cudowne, takie nadzwyczajne, takie niepodobne do jego zwykłego życia.

Uliczka była bardzo ciasna, ale z nikim się nie mijał idąc, nikt też nie pokazał się w drzwiach, więc Paweł wbiegł po schodach i stanął na tarasie. Cisza i ciemność — czy ona go oszukała? Nie, oto stoi przy jednym z okien; zaledwie mógł odróżnić jej sylwetkę na tle ciężkich firanek. W pokoju było ciemno i dlatego żadne światło nie padało na taras. Poszedł za nią trochę po omacku i znalazł się w pokoju tak niepodobnym do zwykłych pokoi hotelowych, jak tylko można sobie wyobrazić. Być może, że miał zwykłe, obite brokatem ściany i złożone krzesła „dla najlepszych gości”, ale nie do poznania został zmieniony mnóstwem drobiazgów znamionujących najwykwintniejszy smak, a przede wszystkim była tu masa kwiatów — róż, dużych białych róż, tuberoz, konwalii i drobnych fiołków. Światła były przyćmione, a całą jedną ścianę pokoju naprzeciwko kominka zajmowało bardzo niskie i szerokie łóżko. Co za łóżko! Przykryte skórą tygrysią i zasypane poduszkami krytymi purpuro-

wym aksamitem, jedwabiem i haftowanymi złotem i srebrem. Podobnych poduszek nie widział nigdy w życiu. Wszystko w ogóle było tu inne niż wszędzie, dziwne i po prostu czarujące.

Piękna pani podeszła do łoża i położyła się na nim. Była ubrana jeszcze czarno, lecz w suknię gazową, pod którą odgadywało się jakby leciuchną poświatę purpury. A gdyby Paweł nie widział wyraźnie w dzień, że miała oczy zielone, byłby teraz przysięgł, że są purpurowe.

— Chodź — powiedziała — możesz usiąść tu, obok mnie i opowiedzieć mi, co myślisz.

Głos jej był bogaty jak muzyka, miał jednak lekki cudzoziemski akcent. Mogłaby jednak uchodzić za Angielkę, tylko on już teraz na pewno wiedział, że nią nie jest. Akcent był zresztą bardzo leciutki, po prostu wymawiała wyraźnie wszystkie wyrazy, nic nie połykała. Bez kapelusza wyglądała jeszcze piękniej i stanowczo młodziej. Ale w jakim też mogła być wieku? I czym jest piękność, skoro kobieta, której twarz nie jest właściwie młoda ani piękna, robi wrażenie bogini i po prostu wstrząsnęła silnie całą istotą młodego chłopca, który nigdy w życiu nie doznawał podobnych namiętności.

Gdyby ktoś opowiedział Pawłowi, co mu się zdarzy, byłby go wyśmiał. Prawdę mówiąc, był dotychczas nieśmiały z kobietami z towarzystwa i nie umiał jeszcze żadnej z uwodzicielskich sztuczek. Aż tu naraz zaplątał się w awanturę, która wyglądała zupełnie, jak z „Tysiąca i jednej nocy”. Podeszedł więc i usiadł, a czuł jak puls bije mu w skroniach i w gardle. W owej chwili wszystko wydawało mu się naturalne, lecz później nie mógł się nadziwić, skąd ona zna jego imię i jak to wszystko mogło się zdarzyć.

— Od trzech dni pragnęłam cię zobaczyć, Paul, czy nieprawda? — szepnęła, zamykając powieki.

Lecz on mógł tylko wykrztusić krótkie: „tak!” pochłaniając ją wzrokiem.

— My oboje — jakby tu powiedzieć — płyniemy pod falę, może nie tam gdzieśmy chcieli, no i oboje świętujemy, oboje musimy się starać zapomnieć. Więc musimy porozumiewać się ze sobą troszeczkę. Nieprawdaż? Powiedz mi?

— **Och**, tak — odrzekł Paweł.

— Wiesz, Paul, ty jesteś bardzo piękny — zaczęła — taki wysoki, prosty, jak wy wszyscy Anglicy, i te złote faliste włosy. Matka musiała cię bardzo kochać i pieścić, kiedy byłeś dzieckiem.

— Zdaje mi się, że tak było — odrzekł Paweł.

— Jakże się ona miewa? Pańska matka, czcigodna pani Verdayne?

— Bardzo dobrze, czy pani ją zna? — zapytał zdumiony.

— Bardzo dawno temu widziałam ją i poznałam cię zaraz, Paul, jak podobny jesteś do niej i do swoich wujów, zwłaszcza do lorda I lu berta.

— Wuj Hubert to jest zgniłek.

— Zgniłek? — powtórzyła z boskim uśmiechem piękna pani. — A co to znaczy po angielsku zgniłek?

— Wypytywała się. Paweł zawstydział się.

— Zgniłek — to... to... właśnie jest taki, jak wuj Hubert — wyjąkał. Roześmiała się.

— Nie umiesz dobrze tłumaczyć, ale ja cię i tak rozumiem. W takim razie jesteś podobny do wuja Huberta z zewnętrznej tylko strony — i to bardzo dobrze.

Paweł poczuł zazdrość. Reputacja lorda Huberta Aldringham pod pewnymi względami była europejska. — Mam nadzieję! — powiedział z emfazą. — Więc pani i jego zna dobrze?

— Nie mówiłam tego — odpowiedziała szybko dama. — Widziałam go może dwa, trzy razy przed laty już, na ślubie księżniczki. Ale dlaczego ty się marszczysz, dobrze, nie będziemy już mówili o wuju Hubercie — odwróciła się, kryjąc łagodny uśmiech.

Paweł czuł, że jest jeszcze bardzo młody. Pragnął pięknej pani pokazać, że jest już zupełnie dorosłym mężczyzną, pragnął powiedzieć jej mnóstwo rzeczy, których dotąd nigdy nie formułował sobie nawet w myśli. Ale oto ona zaczęła znowu mówić:

— A twoje kotlety, Paul, były nie dosmażone i taki byłeś pierwszego wieczoru, i tak mnie nienawidziłeś.

Paweł poczuł nagle wszystkie korzenie swoich włosów i potrząsnął głową.

— Wiem, że to było wstrętne z mojej strony, ale ja byłem taki rozdrażniony... i...

— Spójrz na mnie — rzekła i pochyliła się nad nim wężowym ruchem, niesłuchanie wdzięcznym i ponętym.

Spojrzał więc swymi wielkimi błękitnymi oczyma, których powieki zamykały się z odrobiną zawstyżenia.

— Musisz mi powiedzieć, dlaczego byłeś rozdrażniony, dziecko Paul...

Jak często wymawiała jego imię! A w jej ustach brzmiało ono jak muzyka.

Za każdym razem wstrząsał nim dreszcz. Nabrał odwagi.

— Skąd pani wie o tym wszystkim; co ja czułem i co ja jadłem? Pani ani razu przez cały czas nie podniosła oczu.

— Być może, że gdy pragnę, mogę widzieć przez powieki, kto wie! — roześmiała się.

— I pani chciała, pragnęła pani widzieć przez powieki? Wpatrywał się w nią teraz, a ona nagle spuściła oczy i lekki jak

obłoczek rumieniec przesunął się po jej twarzy. Zmiana była tak nagła, że zdumiała Pawła.

— Więc chciała pani — powtórzył rozradowanym głosem — chciała pani patrzeć na mnie?

— Tak — szepnęła i znów spojrzała na niego, lecz tym razem było jakby niezadowolenie w jej oczach. — To dlatego pani westchnęła tam, obok wierzby? Czemu pani westchnęła?

Milczała przez chwilę, wreszcie rzekła bardzo cicho:

— Wiele miałam powodów. A ty wydałeś mi się taki młody, taki piękny i taki — senny.

— Wcale nie byłem senny — zawołał Paweł. — Mogę wypić jeszcze daleko więcej portweinu i nie jestem śpiący. Myślałem tylko o... — W tej chwili zrozumiał, że ona nie o takiej zwyczajnej senności myślała, nazwał się w myśli głupcem i zamilkł...

Ona zaś starała mu się pomóc.

— Ale dotychczas nie powiedziałeś mi jeszcze dlaczego byłeś zły, taki zły, że aż piłeś kiepski portwein. To było brzydko z twojej strony, Paul.

— Byłem zły na panią. Byłem zły sam na siebie, że interesuję się panią — i zaczerwienił się. Cofnęła się na purpurowe poduszki, twarz jej na tym tle wydawała się dziwnie subtelna, a figura tak wysmukła, że przyszedł mu na myśl wąż. A ona znowu przymknęła oczy i mówiła cicho, sennym głosem.

— To już taki los, maleńki. Poczułam to, kiedy tylko weszłam do pokoju. To samo poczułam tam, pod zielonymi drzewami i dlatego uciekałam od ciebie, lecz dzisiaj wieczorem to już było ponad moje siły i zawołałam cię, żebyś przyszedł do mnie.

— Taki jestem szczęśliwy — szepnął Paweł.

Milczała. Tylko zwięzione oczy spomiędzy kapryśnie wyciętych powiek patrzyły na niego i zdawały się zaglądać aż na samo najgłębsze dno duszy. Teraz dopiero Paweł dobrze przyjrzał się jej ustom. Kąciki ich nie opadały ku dołowi, ani nie podnosiły się, były zupełnie proste, wycięte mocno, wąskie i trochę ostre w wyrazie, a dolna warga była zaokrąglona i w środku jakby rozcięta wąską linijką. Był to najpotężniejszy purpurowy kwiat ust, jaki sobie tylko można wyobrazić.

Paweł był taki oczarowany i jakby odurzony podnieceniem, że zupełnie stracił poczucie czasu i miejsca. Zdawało mu się, że zawsze ją znał, że nie było takiej chwili, żeby ona nie jaśniała na horyzoncie jego życia.

Oboje milczeli przez parę minut. O ile mógł coś wyczytać na jej zagadkowej twarzy, zdawało mu się, że jest czymś zmartwiona, ale czym?

Nagle ona drgnęła i wyprostowała się swoim wdzięcznym kocim ruchem.

— Paul — powiedziała — słuchaj — i zaczęła mówić bardzo szybko, — ty jesteś taki młody, taki młody, mogłabym ci zrobić krzywdę, zranić cię. Czy nie chciałbyś teraz, póki jeszcze czas, pojechać gdziekolwiek. Uciec z Lucerny, wrócić do Paryża, nawet do Anglii. Gdziekolwiek, byle daleko ode mnie. — Położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała mu w oczy. I miała łzy w oczach. A teraz Paweł przekonał się, że te oczy są szare.

Był poruszony, jak nigdy dotąd w życiu.

— Nie chcę! — odrzekł. — Mogę być młody, ale teraz wiem, że chcę żyć. I chcę spróbować tych ran, bo wiem, że tylko pani może nauczyć mnie jak...

Tu głos mu się załamał, pochylił się i zaczął pokrywać jej ręce pocałunkami. Ona drżała lekko i cofała się. Wzięła ze stolika pęk tuberoz i oberwała wszystkim główki.

— Patrz, weź je sobie — rzekła, wkładając mu je w ręce i ręce te przyciskając do jego serca. — Weź je, idź i niech ci się śni o mnie. Wybrałeś sam. Śnij o mnie dzisiaj i pamiętaj, że... jest jutro.

Potem wyslizgnęła mu się po prostu z rąk i zanim się spostrzegł, już jej nie było w pokoju: wyszła drugimi drzwiami. Paweł stał w milczeniu. Pokój kręcił się dokoła niego, czuł silny zawrót głowy.

Wreszcie wybiegł na taras ochłodzić się pod gwiazdzistym niebem i wciąż przyciskał do serca białe kwiaty.

Chodził po ogrodzie przez kilka godzin. Szarzało już i na niebie zjawił się wąski pasek światła, gdy wreszcie powrócił do hotelu i do łóżka.

A potem spał i śnił? Nie, nie miał żadnych snów. Doskonała to rzecz młodość i zdrowie.

Słońce wysoko już stało na niebie, gdy się wreszcie obudził. A pokój pełen był zapachu tuberoz, rozsypanych dokoła niego na poduszce. Po długiej chwili dopiero błękitne jego oczy oprzytomniały, przypomniał sobie wszystko i od razu jednym susem wyskoczył z łóżka. Bo czyż nie zaczynał się dla niego pierwszy, prawdziwy dzień?

\* \* \*

Przez cały czas spóźnionego śniadania zajmowało Pawła zagadnienie, jakim sposobem mógłby zobaczyć jak najprędzej ją, swoją damę w czerni. Nie mógł pójść i zameldować się jako gość, ponieważ nie znał jej nazwiska.

Jakie to wszystko było dziwne — nie znał nawet jej nazwiska, nie wiedział o niej nic, oprócz tego, że cała jego istota drży niepokojem na myśl o niej i pragnieniem zobaczenia jej znowu.

Najprostszą rzeczą wydało mu się zejść do hallu i spojrzeć na listę gości, co też i zrobił. Mało ludzi mieszkało w owym czasie w hotelu. Łatwo było zmiarkować, sądząc po liczbie pokoi, że madam Zaleńska to właśnie ona.

Zaleńska — prawdopodobnie więc była Rosjanką. A jakie było jej imię? Jakże pragnął to wiedzieć. Stał zamyślony, a puls bił mu w skroniach. Nagle ukazał się siwowłosy służący i stanął przed nim w pełnej uszanowania postawie.

— Wiadomość dla pana — rzekł, podając list Pawłowi.

Co to mogło być?

Ale nie było czasu na domysły — należało otworzyć i przeczytać. Odwrócił się plecami od służącego i rozcinając kopertę, podszedł powoli ku światłu. Papier był cienki, a w rogu wizerunek sfinksa. Oto co przeczytał:

*Rano*

*Paul, jestem dzisiaj młodą i musimy zobaczyć błękitne jezioro i zielone drzewa. Przyjdź na stacyjkę i pojedziemy.*

*Tylko musisz być także młody, Paul, i uczyć mnie. Daj odpowiedź Dymitrowi.*

— Proszę powiedzieć pani, że przyjdę natychmiast — odrzekł Paweł.

Szedł szybko, rozkoszując się świeżym powietrzem, aż doszedł do wskazanej stacyjki.

Przy stacji nad jeziorem wysiedli i poszli do przystani, aby popłynąć łodzią. Była to bardzo elegancka łódź, właściwie rodzaj jachtu, z krzesłami poręczowymi, a ster w kształcie ryby był za kabiną, tak że oboje byli sami. Pani ubrana była szaro, w czym jej było ogromnie do twarzy. Jej oczy pełne smutku i niepokoju patrzyły na niego spod szerokiego, szarego kapelusza.

Paweł posunął swoje krzesło trochę naprzód i odwrócił je tak, że mógł jej patrzeć prosto w oczy.

— Jaka pani dobra, że przysłała po mnie — szepnął nieśmiało.



Uśmiechnęła się promieniście.

— Czy tak? Jestem kapryśna, nie myślałam o tym, czy to będzie dobrze dla ciebie, tylko po prostu chciałam i potrzebowałam cię widzieć dla własnej przyjemności, chcę być dziś szalona, Paul, i chcę, żeby twoje oczy śmiały się, śpiewały i tańczyły, i chcę, żeby słońce tańczyło na twoich lokach.

Paweł zmarszczył się, wydało mu się, że piękna dama traktuje go jak dziecko.

Wtedy pani przechyliła się w tył i poczęła się śmiać, a śmiech jej brzmiał, jak dźwięk złotego dzwonu.

— Tak, ty jesteś dziecko — rzekła, jakby odpowiadając na jego myśli. — Duże, miłe, piękne dziecko, Paul.

Odwróciła się od niego i patrzyła na jezioro, wyglądała dziś świeżo, jak wiosna i nieopisanie pięknie.

— Czy zauważyłeś zieloność tych buków nad wodą, Paul? Spójrz, jakie to miękkie, delikatne tony, od najciemniejszych do bladych i ten błękit nieba pomiędzy gałęziami i błękit jeziora u stóp, patrz, jaki tu śliczny buk, zupełnie miedziany, to król wszystkich drzew! Chciałabym sobie zbudować domek w takiej jak ta okolicy i przyjeżdżałabym tu co roku w maju, czytać czarodziejskie bajki.

Po raz pierwszy w życiu Paweł patrzył widzącymi naprawdę oczyma i spostrzegał prawdziwą piękność natury. Jakaś niezmierna radość ogarnęła całą jego istotę, niebywale intensywna, doznawał jakiegoś zupełnie nowego wrażenia, przepełnienia serca radością.

A ona wydawała mu się dzisiaj jeszcze bardziej pociągająca niż zawsze i młoda, i wesoła, taka młoda, jak Izabela! Ta ostatnia myśl przywiodła mu wspomnienie Izabeli — jakże daleka wydawała mu się dzisiaj. Naturalnie, nigdy nie będzie mógł kochać nikogo, oprócz niej, ale...

— Nie myśl o tym — szepnęła piękna pani — bądź młody, jak ja i żyj pod tym błękitnym niebem.

Jakim sposobem ona zawsze znała jego myśli? Zaczerwienił się i powiedział:

— Nie, nie będę myślał o tym, ani o niczym, tylko o tobie, księżno.

— Kochanie moje — rzekła — kto ci powiedział, żebyś mnie nazywał w ten sposób. Pewno ktoś z hotelowych ludzi się wygadał?

— Nie — odrzekł Paweł zdziwiony — nazwałem panią księżną, bo pani wygląda jak księżna, ale z tego co pani mówi, dowiedziałem się, że pani nie jest jakąś panią Zaleńską.

Oczy jej przymknęły się na chwilę.

— Podróżuję jako pani Zaleńska, ale ty możesz mnie nazywać, jak ci się podoba.

Te słowa dodały mu zapału i otuchy.

— Czuję, że chciałbym tak bardzo... chciałbym wiedzieć koniecznie dlaczego oczy pani patrzyły tak drwiąco przez gałęzie drzew na Biirgenstrek. Byłem wprost chory od tego wzroku i pobiegłem za panią bez tchu.

— Ja myślałam, że ty nie kontrolujesz mojego wyrazu, kiedy patrzysz na mnie. Byłam wtedy prawdziwie przestraszona i uciekłam.

Spojrzała przelotnie w górę i długą chwilę milczała, a potem odwróciła rozmowę od tych osobistych spraw. Zwróciła jego myśli na nowe tory, kazała mu znowu obserwować drzewa, niebo i przedziwną piękność wszystkiego i z promiennym uśmiechem patrzyła, jak budzą się w nim nieznane wrażenia i nowe myśli o widzianych rzeczach. Nowe życie otwierało się przed Pawłem.

A ona leżała nieruchomo, oparta o poręcz krzesła, tylko jej oczy błyszczały wśród dziwnie białej twarzy. W całym jej sposobie bycia nie było ani śladu zmieszania z powodu niezwyklej sytuacji. Miała w sobie doskonały spokój i godność, jak gdyby patrzenie w oczy nieznajomemu młodzieńcowi na tarasie, mówienie do niego, a następnie spędzenie z nim dnia sam na sam było najnaturalniejszą rzeczą w świecie.

Paweł miał wrażenie, że ona jest królową i czyny jej nie mogą podlegać krytyce.

Dobili do jakiejś małej wioski.

Tu pani chciała wylądować i zjeść śniadanie. I gdzieś spoza kabiny wyszedł Dymitr i został posłany naprzód, a za nim i oni poszli wolno do małego hotelu, gdzie czekała na nich skromna przekąska.

Paweł był zupełnie oszołomiony. Nigdy w życiu nie spędził takiego poranku. Wyobraźnię miał pobudzoną w najwyższym stopniu. Czy to on, Paweł, siedzi obok tej boskiej kobiety, upaja się jej głosem i słucha jej subtelnych, ciekawych uwag?

I gdzie się podziały te zwykłe, trywialne rzeczy, które dotychczas zajmowały jego umysł? Jak on mógł choćby przez chwilę zajmować się nimi? To było jego pierwsze przebudzenie się.

Gdy zachwycające w swej prostocie śniadanie skończyło się, Paweł zawołał gospodarza i chciał zapłacić rachunek, bardzo skromny zresztą. Lecz spojrzawszy na piękną panią, dojrzał, że usta jej miały jakiś wyraz królewski i rozkazujący, a przelotny płomyk zapalił się w oczach, które dziś były zupełnie stalowego koloru.

— Zostaw to Dymitrowi — rzekła cicho. Nigdy nie zajmuję się sama pieniędzmi. Nie podobają mi się podobne szczegóły, a po co psuć nasz dzień?

Ale Paweł był Anglikiem i nie zniósłby, żeby kobieta zapłaciła za jego posiłek. Wyraz jego ust zmienił się także, nabrał zaciętości i uporu.

— Niepodobna, proszę pani — zaczął. Wtedy ona zwróciła się gwałtownie do niego.

— Zrozum — rzekła z wyższością. — Albo dasz mi spokój z waszymi angielskimi konwenansami, albo zapłacisz tych parę marnych franków i wrócisz do Lucerny, ale sam!

Paweł wzruszył ramionami. Był zły, ale nie mógł opierać się dłużej.

Gdy wyszli na dwór, skierowali się na ścieżkę, prowadzącą pomiędzy buki i jej głos stał się znowu pieszczotliwy.

— Paul, wariacie jakiś — rzekła — nie myśl, że ja nie rozumiem ciebie i waszych osobliwych angielskich zwyczajów. Ale sam tylko powiedz, jakie to jest śmieszne. Jestem pewna, że masz dosyć pieniędzy, żeby mnie poczęstować ucztą midasową, podaną na złocie i zrobisz to kiedyś, jeżeli będziesz chciał. Ale debatować nad każdym parofrankowym rachunkiem, przerywać dlatego naszą rozmowę i myśli, robić to wszystko takim banalnym, codziennym! Oto, czego nie chcę! Dymitr jest tu nie dla czego innego, tylko dlatego, żeby

oszczędzić mi podobnych szczegółów. Dzisiaj to moje święto, mój dzień radości. Czuję się młoda, Paul. Nie zechcesz przecie rzucić cienia na moje wesele, prawda, mon ami?

Paweł nie marzył nawet nigdy, żeby głos ludzki mógł posiadać takie bogactwo tonów.

Zabrzmiał w nim nawet patos, gdy wymawiała słowo „cień”. Znikło natychmiast całe jego rozdrażnienie. Czuł tylko, że gotów jest zmienić cały sposób życia i wszystkie zasady, jeśli to będzie potrzebne dla sprawienia jej przyjemności i wesela.

— Naturalnie, że nie chcę rzucać cienia, pani może być przekonana — rzekł wzruszony. — Tylko widzi pani, mężczyzna zawsze płaci rachunki kobiety.

— Wtedy, jeśli ta kobieta należy do niego, ale ja nie należę do ciebie, dziecko. Na razie ty należysz do mnie i jesteś moim gościem.

— Więc dobrze, nie mówmy już o tym — odrzekł przejeđnany jej pieszczotliwym tonem. Należęć do niej, choćby przez jeden dzień, to już było coś warte.

— I nigdy już nie poruszymy tej kwestii — nalegała. — Jeżeli wrócimy kiedyś na to jezioro, albo będziemy na innym, albo w górach, albo w mieście, czy nad rzeką, nie mówmy nigdy o pieniądżach albo płaceniu. Ach gdybyś ty wiedział, jak ja ich nienawidzę, tych okrutnych pieniądzy. Mam ich tyle, tyle! Ale zwykle ludzie płacą niewielką cenę. Już to jedno może złamać szczęśliwość i spokój.

Dziwił się temu skupionemu uczuciu, z jakim mówiła. O jakiej cenie wspomina?

I jaka była historia jej życia?

— No więc chwała Bogu, skończona nasza mała sprzeczka — rzekła uprzejmie po chwili milczenia.

— I nie zrobisz mi już więcej przykrości, Paul?

— Ja nigdy nie chcę zrobić pani przykrości — wykrzyknął z zapalem. I gdyby śmiał, dotknąłby jej ręki. — Wy, Anglicy, jesteście tacy dziwni i wspaniali. Pełni jakichś przesądów — rzekła jakby ze współczuciem. — Zaciętość buldogów, gdy chodzi o zasady, bez względu na to, czy są dobre czy złe. Zwyczaj i konwenanse są jądrem wszelkich rzeczy i muszą być zachowywane, bo inaczej „partia przegrana” — mówiła, naśladowując

suchy i gardłowy głos angielski i tak uroczo składała swoje drobne usta, że ledwo się powstrzymał, aby jej nie pocałować. — Dziwny naród, najbardziej rycerski i przeważnie szlachetny, najdoskonalsi dżentelmeni, lecz okropny jest ten wasz zdrowy rozsądek i brak sentymentu. Gdybyście nie byli tacy wypolerowani, wykwintni i dzielni, no i przystojni, to nie bardzo można by was było odróżnić od Niemców.

— Nie odróżnić nas od Niemców!? — wykrzyknął Paweł z oburzeniem.

A ona roześmiała się jak dziecko.

— Pawełek kochany! — zawołała — ty, wyspiarzu, arogancki Angliku! Ależ nie macie sobie równych na świecie!

Paweł był obrażony.

— Gdyby jeszcze pani powiedziała Austriak, ale Niemiec! — mruknął pochmurnie.

— Austriacy są czarujący — przyznała piękna pani — ale właśnie zupełnie odmienni.

Nie mają wcale stałych zasad, tyle tylko, że są prawdziwymi dżentelmenami. I moja matka była Austriaczką, a mój rodzinny kraj leży obok tego pięknego państwa. Austriacy są na ogół rozbudzeni, podczas gdy wy, Anglicy, jesteście z natury rzeczy śpiący. I ty, Paul, jesteś śpiącą królową.

Przeszli już paręset kroków ścieżką i dokoła siebie mieli teraz młode buki wprost nienaturalnie i przepięknie zielone, tak świeże, czyste i jasne były ich liście.

Cały świat dokoła dyszał młodością i świeżością, a tu i ówdzie z boku ścieżki spomiędzy kamieni podnosiły szafirowe główki gencjany, „płatki nieba”, jak je nazywała piękna pani.

— Siądźmy sobie na tym odłamie skały — zaproponował Paweł — chcę usłyszeć, dlaczego jestem śpiącą królową. Już tak dawno czytałem tę bajkę. Ale zdaje mi się, że to była historia dziewczyny, nie chłopca — i czy czasem nie kończyło się to tak, że śpiącą piękność obudzono pocałunkiem.

— Owszem — odrzekła pani, opierając się o drzewo stojące za nią — ale w tym wypadku były uśpione jej władze, nie dusza, czy można duszę obudzić pocałunkiem?

— Zdaje mi się, że tak — szepnął Paweł. Siedział na kamieniu trochę niżej niż ona, ale tak blisko, że dotykał jej sukni. I mógł widzieć jej twarz w cieniu fantastycznego kapelusza, który podczas spaceru przesłaniał mu ją tak często.

Na skutek jej słów, począł myśleć o pocałunku i podniecał się tym tak, że teraz jego rozgorzałe, jego błękitne oczy patrzyły na jej twarz z takim wyrazem, jakby chciał ją pochłonać.

— Tak, tak bywa — rzekła piękna pani zniżonym głosem — bo na przykład Huldebrand oddał Undynie duszę razem z pocałunkiem.

— Niech mi pani opowie o tym — błagał Paweł. — Ja jestem takim ignorantem. Kto to był Huldebrand i co on zrobił? Więc zaczęła opowiadać rozmarzonym głosem, a wy co czytaliście De La Motte Touque i jego suchy opis tej przecudnej legendy, nie moglibyście jej poznać w tym poetycznym, namiętnym i pełnym tkliwego uczucia opowiadaniu o dziwnych przygodach Undyny i jej gorącego rycerza. A gdy doszła do dnia ich wesela, gdy młody kapłan połączył ich ręce i wysłuchał ich przysięgi, gdy Undyna znalazła nareszcie swoją duszę w ramionach Huldebranda — tu głos jej się załamał, przestała mówić i patrzyła w ziemię.

— A co dalej? — pytał Paweł z przyspieszonym oddechem. — Co dalej?

— On był mężczyzną, widzisz Paul; więc gdy zdobył jej miłość, przestał ją cenić — i opuścił ją.

— Och, nie! Ja w to nie wierzę! — zawołał gwałtownie Paweł. — To chyba mógł zrobić taki brutal jak Huldebrand. Ale pani nie zna mężczyzn, jeżeli pani myśli, że oni nie cenią tego, co zdobyli, pani ich zupełnie nie zna!

Patrzyła mu prosto w twarz, a on patrzył na nią i ku wielkiemu swemu zdumieniu mógłby przysiąc teraz, że jej oczy są zielone, takie zielone jak szmaragdy. I patrzyły na niego, i czarowały go, i paraliżowały jak oczy węża.

— Ja nie znam mężczyzn? — szepnęła pieszczotliwie. — Tak myślisz, Paul?

Ale Paweł nie mógł mówić, ukrył twarz w fałdach jej sukni, jak dziecko i podnosił ją tylko po to, żeby ucałować jej ręce w długich, cienkich rękawiczkach. Słomiany kapelusz z prążkowaną wstążką

leżał obok niego na trawie, a słońce, przedzierając się przez gałęzie drzew, złociło jej ciemne, faliste włosy.

Pani oswobodziła jedną rękę od jego pieśczoły i końcami palców dotknęła kędziorów. Patrzyła na niego z tak tkliwym uśmiechem, jaki mogą mieć chyba tylko matki.

— Tak, tak — powtarzała cicho. — Jeszcze nie. — Potem odebrała mu obie ręce i cofnęła się, przymykając powieki.

Paweł usiadł prosto i tak pozostał nieruchomy. Każda chwila tego dnia przynosiła mu nowe, nieznanne wrażenia. Sądził, że czegoś podobnego musiał doznawać Kolumb przy odkrywaniu nowych światów. Paweł starał się opanować. Widział, że piękna pani nie gniewa się za jego śmiałość, ale było widać coś w jej twarzy, co go ostrzegało, żeby nie posuwał się dalej.

— Niech mi pani dokończy opowiadanie — prosił żałośnie. — Dlaczego on nie cenił miłości Undyny i co ona zrobiła, że ją opuścił?

— Nic nie zrobiła, tylko, widzisz, posiadał ją — rzekła piękna pani. — To był dostatecznie wystarczający powód.

Potem opowiedziała mu, jak Undyna zmieniła swój gwałtowny charakter od chwili, gdy od Huldebranda otrzymała swą duszę, jak stała się łagodna, dobra, tkliwa, jak Huldebrand mógł być pewien jej miłości. Potem opowiedziała o jej nieuniknionej męce. A wreszcie o przyjęciach na dworze i o spotkaniu się z Hildegardą i o wszystkich zmartwieniach, jakie potem nastąpiły, aż w końcu, jak źródła trysnęły wodą i wystąpiły z łożysk, a woda płynęła pod górę i wężowymi skrętami owinęła postać Undyny, żeby zabrać jej miłość aż do śmierci wraz z jej pocałunkiem.

— Och, on był mądry — rzekł Paweł — Wybrał śmierć z jej pocałunkiem. Poznał w końcu, kogo opuścił.

— Tak, często uczymy się, Paul, za późno! Ale chodźmy na słońce. Żyjmy w słońcu dopóki można. Piękna pani powstała i wzięwszy go za rękę, wyprowadziła na światło, gdzie nie było nawet najdelikatniejszych cieni.

Dzień następny był bardzo spokojny. Pani mówiła mało; przeważnie spoczywała w pół leżącej pozycji i patrzyła na błękitne jezioro, najwidoczniej prawie nie dostrzegając obecności swego towarzysza. To peszyło Pawła. Czy on ją czymś obraził? Ale cóż zrobił takiego? Zdawał sobie sprawę z tego, że ona nie jest taka, jak jego matka, ani jak Izabela, ani jak te inne kobiety, nad których myślami nigdy się nie zastanawiał — wątpił nawet, czy w ogóle miały jakie myśli.

Dlaczego ona nie chce mówić? Czy zapomniała o nim? Był smutny i urażony.

Wreszcie, gdy się zbliżyli do małej zatoki, gdzie w czystej wodzie odbijał się kusząco uroczy hotelik, Paweł odezwał się. A miał w swoim głosie, swoim czarującym młodym głosie, nutę rozkapryszonego dziecka.

— Czy... czy pani gniewa się na mnie? A ona jakby powróciła z innego świata:

— Na ciebie? Wariat jesteś! Nie, marzyłam tylko. I zapomniałam, że ty, dziecko, możesz jeszcze nie umieć tego i nie rozumieć. Prawdziwy Anglik z ciebie, Paul, który koniecznie chce zawiązać konwersację i wymieniać komunały, a inaczej czuje się zażenowany. Czekał, powiem ci dokąd zawędrowałam w tych niezmiernych obszarach powietrza i nieba — opuściła rękę na jego ramię i potrząsnęła nim. — Spójrz na Pilatus. Widzisz jego śnieżną głowę i te delikatne cienie i cały tajemniczy nastrój. A te ciemne świerki i przepaście i te olbrzymy, zakłete w skały przez jakieś gniewne bóstwo. W tej chwili byłam z nimi, a ty i ja byliśmy takimi drobnymi ludźmi, Paul. Nie możemy odrzucać ciężkich skał — jesteśmy tylko dwiema małymi mrówkami na wielkim świecie. Paweł był wciąż nadąsany; on nie wierzył w olbrzymów. Umysł jego nie był jeszcze przyzwyczajony do takich przelotów myśli, poczuł się głupio, był zirytowany i jakby upokorzony, choć sam nie wiedział dlaczego. Piękna pani pochyliła nad nim swą białą twarz z tkliwym uśmiechem.

— Duże błękitne oczy — rzekła. — Takie śliczne, takie śliczne! To przecież wszystko jedno, czy umieją patrzeć, czy nie. I dotknęła jego powiek wysmukłymi palcami.

Paweł poruszył się na krześle.



— Wie pani! — wybuchnął. — Ja się rozchoruję chyba. Ja... ale czy pani nie zechce mnie nauczyć patrzeć? Przecież nikt nie chce być ślepy. Niech mnie pani nauczy patrzeć swoimi oczyma.

— Tak, nauczę cię — rzekła. — Nauczę cię mnóstwa rzeczy. Włożymy na głowę czapki niewidki i zaraz zstąpimy do Hadesu. Skosztujemy jabłek hesperyjskich. Obrabujemy Merkurego z jego sandałów, a Gygesa z jego pierścienia. A gdy zgłębimy wszystko, Paul, gdy pewnego dnia zrozumiemy już duszę wszystkiego, co wtedy się stanie, dziecko?

Ostatnie jej słowo, dziecko, było pieszczotą, a Paweł był tak oszołomiony dziką radością, że przez długą chwilę nie mógł jej nic odpowiedzieć.

— Co się stanie? — rzekł w końcu. — Będę kochał panią, oto wszystko.

Wtem przypomniał sobie Izabelę Waring i zakrył twarz rękami.

Zatrzymali łódkę i wysiedli, żeby wypić herbatę w małym hoteliku, a potem poszli zrywać gencjany.

Dama była słodka, sympatyczna i wesoła; przestała rozmawiać z nim o fantastycznych bajkach, mówiła o rzeczach zupełnie codziennych, kazała mu opowiedzieć o swoim domu w Oksfordzie, o koniach i psach. A gdy doszli do Pika, sympatia i zainteresowanie, z jakim wypytywała się o to stworzonko, jeszcze mocniej przywiązywały do niej Pawła. Na pewno kochałaby Pika, gdyby go poznała! Kto mógłby nie kochać takiego psa jak Pik! A jego panu nie zabrakło elokwencji w opowiadaniu. I gdy nagle spojrzął na piękną panią, dojrzał, że jej kameleonowe oczy patrzyły na niego z taką osobliwą czułością, jak chyba patrzą tylko matki na bawiące się dzieci.

Cienie były już głębokie i długie, gdy wreszcie zdecydowali się wrócić do Lucerny — jako jedyne trofeum dnia nieśli niewielki bukiet błękitnych, jak szwajcarskie niebo, kwiatów.

Paweł nigdy tak dobrze się nie bawił przez dwadzieścia trzy lata swego życia. A co przyniesie wieczór? Zapewne jeszcze więcej radości. Przecież to pożegnanie na przystani, to nie może być jeszcze dobranoc.

Lecz gdy łódź przysuwała się do brzegu coraz bliżej i bliżej, czuł,

że serce mu bije wciąż mocniej i nie mógł znieść już dłużej niepewności.

— A obiad? — zapytał. — Czy nie chcesz zjeść obiadu ze mną, moja księżno? Pozwól, że ja będę twoim gospodarzem, tak jak ty byłaś moją gospodynią przez cały dzień.

Lecz ona nagle zeszywniała — naraz wydało się, że jest zupełnie obca.

— Dziękuję, nie. Nie mogę jeść obiadu — odpowiedziała. — Muszę napisać listy, pójdę spać.

Paweł poczuł, jakby serce ścięło mu się lodem. Twarz jego stała się tak biała, jak czarny wydał mu się świat. Ona zakłósała się lekko i uśmiechnęła.

— Będiesz bardzo osamotniony, Paul. No, to o dziesiątej przyjdź pod wierzbę, żeby powiedzieć mi dobranoc.

To było wszystko, co mógł od niej uzyskać. Wylądowali niedaleko hotelu, w tym samym miejscu skąd wyruszyli, ona wysiadła, a ich łódź powróciła na jezioro razem z Pawłem, który wysiadł w innym miejscu i puścił się prawie pędem, żeby ją jeszcze ujrzeć. Zdażył jeszcze zobaczyć ją wchodzącą na schody hotelu, parę kroków i szara jej sylwetka znikła i na próżno głodne oczy chłopca starały się przebić ściany.

Co za nędza ten obiad! Co go to obchodzi, jakie będzie jedzenie? Co go obchodzi, że przyjechała jakaś zupełnie porządnie wyglądająca rodzina angielska i siedzi obok. Świeża, przystojna panienka, młody chłopak i rodzice. Są to ludzie, którzy umieją i lubią na pewno grać w bilard, a może nawet w bridża. Ale czy jego obchodzi teraz cokolwiek na świecie? Niech czas przechodzi jednostajnie, byle jak, po prostu niech tylko sobie przechodzi, zanim nie nadejdzie godzina dziesiąta — oto wszystko.

Już o wpół do dziewiątej wyszedł z hotelu i usiadł na ławeczce. Myślą przebiegał cały miniony dzień. Jak ona wygląda, co mówiła, gdzie siedzieli. Dlaczego jej oczy wydawały się zielone w lesie, a niebieskie na wodzie. Dlaczego jej głos miał w sobie tyle tonów. Jakim sposobem ona była jednocześnie stara i młoda, mądra i dziecinna. Potem myślał o historii Undyny i o dziwnym węzowym spojrzeniu

pięknej pani, kiedy mówiła: „Ja nie znam mężczyzn? Czy naprawdę tak sądzisz, Paul?

Serce wezbrało mu przy tych wspomnieniach. Zwykle nie pozwalał sobie na rozmyślenia, lecz tym razem coś go pchało formalnie do tego. Siedział tu na ławce, drżąc każdym nerwem, każdą cząsteczką ciała.

Gdy zegary wybiły dziesiątą godzinę, coś mu szepnęło, że ona jest nad nim, choć nie słyszał żadnego szmeru.

Nikogo nie było widać w tym zacisznym kąciku. Stał więc na ławce, żeby być bliżej niej, gdyby podeszła na brzeg tarasu. Gdyby była ukryta w cieniu...

To można oszaleć — to nie do zniesienia.

Nie miał siły czekać dłużej. Wspiął się na balustradę, żeby dojrzeć lepiej. Nagle z najciemniejszego kąta doleciał go srebrny śmiech. Taki cichy śmiech, który był zarazem pieszczotą. I nagle ona wychyliła się zza drzew i oparła o pień wierzby.

— Paul — szepnęła — widzisz, przyszłam, żeby ci życzyć dobrej nocy.

Paweł poczuł, że mu serce rośnie. Wyciągnął ramiona, jakby pragnął ją objąć, ona jednak wysunęła się i skoczyła w bok. Westchnął boleśnie.

Powoli wróciła i pochylała się ku niemu coraz bliżej i bliżej z własnej woli — tak blisko, że wreszcie dotknęła jego twarzy. I powoli czerwone jej wargi połączyły się z jego młodymi ustami w długim, dziwnym pocałunku.

I zanim Paweł zdążył ją objąć, albo choćby wyszeptać jakieś dziękczynne słowo, odeszła.

I znowu znalazł się sam, oczarowany wzruszeniem pod ciemnym, usianym gwiazdami niebem.

\* \* \*

Deszcz, deszcz, deszcz! Niemiło po obudzeniu usłyszeć taki dźwięk kropel za szybami, zwłaszcza, jeżeli tak mało spało się w nocy i jedyną pociechą przy obudzeniu się była nadzieja zobaczenia pewnej pani.

Toteż myśli Pawła były iście rozpaczliwe. Co się stanie? Niepodobna pływać po jeziorze, ani iść w góry — on jednak musi ją widzieć. Po tym pocałunku — po tym boskim, upajającym, we śnie zaledwie wymarzonem pocałunku. Co to miało oznaczać? Czy ona go kocha? On kocha ją, to pewne. Biedne, słabe uczucie, jakie żywił dla Izabeli, zatarło się zupełnie i nie ma go już wcale.

Wstydział się strasznie ile razy przyszło mu myśleć o tym. Rodzice jego mieli zupełną rację, znali najlepiej jego i Izabelę. Całe szczęście, że niczego Izabeli na serio nie obiecał i że w ogóle nie była to osoba zdolna do głębszych uczuć.

Myśli te jednak tak mu dolegały, że nie mógł uleżeć w łozku. Co on ma teraz zrobić? Wyjechać z Lucerny? Ale po co właściwie? Kości rzucone, a on w żadnym wypadku nie jest związany z Izabelą. W końcu może napisać do niej i przyznać szczerze, że pomylił się. To jedyne uczciwe rozwiązanie sprawy. Niemiły obowiązek i trzeba się trochę przymusić do wypełnienia go.

Zjadł śniadanie w swoim saloniku, przez cały czas trapiiony myślami, a potem z silnym postanowieniem, czując w sobie lwią odwagę i zaciętość buldoga, podszedł do biurka i zaczął pisać. Nigdy żadne ćwiczenie greckie nie wydawało mu się tak trudne, jak te dwie strony, które wreszcie wymęczył. Przez długą godzinę siedział nad pustym papierem, to znowu łapał sam siebie na rysowaniu profilów i profilów bez końca, nie mógł jednak ani rusz zacząć.

*Droga Izabelo!* — napisał wreszcie. Nie. Wziął inny arkusik. *Moja Droga Izabelo!* Po czym znowu zatrzymał się i odłożył pióro. *Czuję, że powinienem Ci napisać, co się dzieje ze mną. Widzę, że rodzice moi mieli rację, gdy...*

— Ach! do diabła z tym wszystkim — mruknął sam do siebie — to podle wykręcać się w ten sposób. Wziął nowy arkusik, przepisał początek i dodał: *Pomyliłem się w moich uczuciach dla Ciebie, gdyż były to uczucia braterskie.* — O, Boże, co ja mam dodać jeszcze, przecież niepodobna tak tego zostawić.

Biedny chłopiec aż jęknął i obie ręce włożył w gęste, kędzierzawe włosy. Po chwili wziął z rozpaczliwym gestem pióro i pisał dalej:

*W każdym razie będę Cię zawsze kochał, Droga Izabelo. Proszę Cię, przebac mi, jeżeli sprawiłem Ci przykrość.*

*To była tylko moja wina, toteż nie masz pojęcia, jak bardzo jestem przygnębiony.*

*Twój nieszczęśliwy Paul*

Nie było to zapewne arcydzieło, ale kosztowało go wiele. W końcu przepisał wszystko na świeżym arkusiku papieru. Potem, gdy skończył, sam zaniósł list do skrzynki w hallu.

Czuł w sobie wzruszenie, coś w rodzaju tego, czego mógł doznawać Aleksander, gdy spalił okręty. Zegar wybił jedenastą. O której godzinie zobaczy panią, swoją panią, jak ją teraz nazywał. Jakiś instynkt ostrzegał go, że ona nie życzy sobie, aby hotelowi ludzie wiedzieli o ich bliższej znajomości. Zrozumiał, że mądrzej byłoby nie posyłać listu. Musi czekać i mieć nadzieję.

Czy deszcz padał czy nie, Paweł był zanadto Anglikiem, żeby siedzieć w domu przez cały dzień. Toteż wyszedł i udał się w stronę miasta. Stary, malowniczy most podobał mu się bardzo. Przypomniał sobie jej słowa, że trzeba mądrze używać swoich oczu. Nie trzeba być głupim, powiedział sobie i zaczął od razu wyszukiwać nowe rzeczy w tym, co widział. Wracając, zwolnił kroku i przyglądał się wystawie futer w sklepie koło hotelu. Było tam trochę ładnych skór, ale najbardziej zwróciła jego uwagę przepyszna skóra tygrysa. Cóż to musiało być za wspaniałe zwierzę. Chyba to największa skóra z najdłuższym włosem, jaką widział w życiu. Długi czas stał, podziwiając ją. Jest to okaz daleko piękniejszy niż ten, który piękna pani miała w swoim pokoju.

Czy mógłby kupić ją dla niej? Czy ona by przyjęła? Czy byłaby rada z tego, że on myślał o tym, co mogłoby być jej miłe? Wszedł do sklepu. Skóra, jak na trygrysią, okazała się stosunkowo tania, a przy tym rodzice dali mu sporo pieniędzy na rozmaite szaleństwa.

— Pamiętaj o tym, Henrietto! Ten chłopiec musi mieć swobodne ręce — mówił sir Karol Yerdayne.

— Jest moim synem i nie spo-

dziewaj się, że wyleczysz go z jednego szaleństwa, jeżeli nie zapewnisz mu możliwości popełniania innych szaleństw.

Życzenie to zostało spełnione i Paweł nie miał kłopotu z rachunkami w banku.

Kupił tygrysią skórę i kazał ją niezwłocznie odesłać do swego mieszkania.

Potem należało pomyśleć o śniadaniu. Ona prawdopodobnie nie przyjdzie, nie mógł się jednak oprzeć leciutkiej nadziei.

Nie było jej rzeczywiście, ani żadnych przygotowań dla niej, lecz gdy się ma dwadzieścia trzy lata i jest się głodnym, to musi się jeść, choćby się jednocześnie było najmocniej zakochanym.

Angielska rodzina obsiadła stół pomiędzy stolikiem Pawła i uświęconym stolikiem pięknej pani.

Panienka była ładna, młoda i roześmiana. Ale cóż to za lala! — pomyślał Paweł. — Co za bezmyślna woskowa lala. Niewarta, niewarta, żeby na nią patrzeć choć przez chwilę.

A tymczasem biała i różowa, roześmiana panienska myślała sobie: Przecież to jest Paweł Verdayne.

Chciałabym, żeby sobie przypomniał, żeśmy się widzieli u De Courcy'ch, choć nie byliśmy sobie przedstawieni. Muszę powiedzieć Percy'emu, żeby starał się nawiązać z nim rozmowę. Co za szkoda, że mama kazała mi dzisiaj włożyć tę zieloną, alpagową suknię. Lecz błękitne oczy Pawła Verdayne patrzyły na nią i nie widziały. Więc i tak uroda nie przydałaby się na nic.

Po śniadaniu poszedł prosto do swego saloniku. Prawdopodobnie nadesłano już skórę, więc pragnął ją dokładnie obejrzeć. Tak, skóra już była. Rozpakował ją i rozłożył na podłodze. Co to za wspaniałe zwierzę — a przypominało mu, nie wiadomo dlaczego ją, jego panią.

Potem poszedł do sypialnego pokoju, wyszukał nożyczki i, uklęk-nawszy na podłodze zaczął odpruwać kanwową czarną materię, którą skóra była podszyta. Wyglądało to banalnie i wiedział, że to by się jej nie spodobało.

Zaledwie skończył, gdy zapukano do drzwi i na progu ukazał się Dymitr z listem.

Wstrząśnięty i zmieszany wziął z rąk służącego cienką kopertę.

*Paul — jestem dzisiaj w diabelskim usposobieniu. Przyjdź do mnie O piątej przez taras.*

To było wszystko, bez daty i podpisu. Ale Pawłowi znów serce poczęło bić z radości.

— Chciałbym, zanieść tę skórę do pokoju pani — powiedział. — Czy nie ma jakiego sposobu na to, żeby zrobić to dyskretnie? Poważny służący zgiął się w ukłonie:

— Jeżeli ekscelencja zechce mi łaskawie pomóc w pakowaniu, to zaniósłbym skórę do swego pokoju, a stamtąd do apartamentu pani.

Niełatwa to rzecz zapakować ogromną tygrysią skórę w brązowy papier i związać cienkim sznureczkiem, wreszcie jednak dokonano tego i Dymitr zniknął ze skórą oraz z listowną odpowiedzią:

*Będę na czas, Słodka Pani.*

*Oddany Paul*

I był na czas.

Jasny ogień palił się na kominku, a biadoliła zasłony pozaciągane były na oknach w pokoju pięknej pani, gdy Paweł wszedł drzwiami z tarasu. Ale najładniejszą rzeczą była rozciągnięta przed kominkiem w całej długości jego tygrysia skóra — a na niej, także w całej długości spoczywała piękna pani owinięta w jakąś dziwną obcisłą

i przylegającą do ciała szatę z purpurowej, muślinowej materii — brzeg sukni haftowany był złotem, jedno białe ramię spoczywało na głowie zwierzęcia, drugie spuszczone opadało leniwie, przy jej boku leżało kilka pięknie oprawnych książek, a w ustach trzymała różę nie czerwienią od jej warg — zupełnie szkarłatną różę. Paweł nigdy nie widział ani róży, ani tak czerwonych ust.

Cały obraz miał w sobie coś barbarzyńskiego. Był to malarski pomysł jakiejś faworyty w haremie.

Trudno było spodziewać się czegoś podobnego w pocziwym hoteliku szwajcarskim.

Nie poruszyła się wcale, gdy stanął na progu, zapuszczając za sobą portiery. Podniosła tylko oczy i patrzyła na Pawła przenikliwie. Wyraz jej twarzy zmieniał się — było w niej coś przewrotnego i niebezpiecznego, a nawet prowokującego. Zdawało się prawdą to, co pisała, że jest w diabelskim usposobieniu.

Paweł posunął się naprzód, ale ona podniosła jedną rękę, aby go zatrzymać.

— Nie możesz zbliżyć się do mnie, Paul. Dzisiaj nie jestem bezpieczna. Jeszcze nie. Widzisz, usiądź sobie tutaj i porozmawiajmy.

I wskazała na wielkie krzesło weneckiej roboty, objane przepięknym starym aksamitem, którego dotąd nie widział u niej.

— Kupiłam to krzesło w mieście dzisiaj rano, w bardzo ciekawym magazynie na rogu Weggistrasse, gdzie dawno temu był dom weneckiego posła, a ty kupiłeś mi tygrysa, Paul. Ach, jak to dobrze! Mój piękny tygrys! - I przewinęła się jak wąż z radości, że czuje miękkie futro pod sobą, a rozpostarłszy szeroko ręce, gładziła miękkie długie futro w ciemne i jasne pręgi.

— Piękny mój, piękny — szeptała. — Znam twoje uczucia i twoje namiętności, a teraz wzięłam twoją skórę dla radości mojej skóry — i przeżyła się znowu ruchami węża.

Nie trudno wyobrazić sobie, jak daleki od zachowania spokoju był Paweł podczas tej całej sceny — musiał z wszystkich sił trzymać się poręczy weneckiego krzesła, aby jej nie pochwycić w ramiona.

— Ja ja jestem taki rad, że pani ta skóra się podobała — powiedział zmienionym głosem. -

Pomyślałem, że może by pani życzyła sobie mieć coś podobnego. A teraz - ach, Boże! Gdyby pani wiedziała, co ja czuję, widząc, że pani leży na niej i marnuje swoje pieszczoty dla tej martwej skóry.

— Ja ich nie marnuję — odrzekła z minką niewinnego kotka w swych dziwnych oczach - koloru ich dzisiaj niepodobna było określić. - Doprawdy nie, Paul. To był mój kochanek w poprzednim życiu, bardzo być może, kto wie?

- Ale ja - odrzekł Paweł, który znów poczuł się jakby chory — pragnąłbym być pani kochankiem w tym życiu. I przeląkł się własnego zuchwalstwa.

Nagłym jakimś ruchem skrzyła się i położyła twarzą do ziemi, opierając brodę na rękach i patrząc na niego uważnie. Czerwona róża wypadła jej z ust.

Leżała zupełnie wyciągnięta, a pod cienką drapeną rysowały się jej linie. Aksamitne poduszki zsunęły się na jedną stronę.



— Paul, co ty wiesz o kochankach, albo o miłości? — rzekła powoli. — Paul, moje dziecko.

— Wiem dosyć, aby wiedzieć, że nie wiem nic co jest warte wiedzenia — odpowiedział zawstydzony.

— Ale, ale, czy pani tego nie rozumie, że ja pragnąłbym, aby mnie pani nauczyła.

— Ty jesteś taki miły, Paul, taki słodki, kiedy to mówisz. Podobasz mi się, podobasz mi się we wszystkim. Jesteś w swoim rodzaju taki doskonały, jak ten tygrys. Ale musimy pomówić, tak, najpierw musimy pomówić. Pawła ogarnął wściekły gniew. Nie chciał rozmawiać, chciał ją całować, pożerać pocałunkami, zadławić miłością, jeśli tak trzeba. Podniósł różę i gryzł ją.

— Widzisz, Paul, miłość to jest czysto fizyczne wzruszenie. Możemy bardzo dużo rozprawiać o duszach, o sympatii, o porozumieniu wzajemnym, o poświęceniu. Są to wszystko bardzo piękne rzeczy w swoim rodzaju i mogą być pociechą na odległość. Są to rzeczy, które uszlachetniają namiętność — lecz bez miłości, która właśnie jest namiętnością, wartość tych rzeczy topnieje jak śnieg na słońcu i stają się tylko obowiązkami, gdy ostygnie pierwsze histeryczne podniecenie. Miłość jest dotykalna, miłość powinna być tajemna i ścisła, trzeba być blisko, trzeba być w uścisku, trzeba się dotykać, trzeba być jednością.

Głos jej był niski i przypominał metaliczny dźwięk powolnie spadających za oknem kropel — oczy jej, na wpół przymknięte, a jednak płonące, przenikały do nerwów Pawła.

— Ależ ja właśnie chcę tego — rzekł niepewnie Paweł.

— Nie poniósłszy żadnych kosztów? Bez łez i skrzyżowania broni, bez krwi? — szepnęła. — Poczekaj trochę, ty piękny chłopaku!

Cofnął się teraz przejęty dreszczem, a ona przez tę sekundę zmieniła pozycję, porozkładała poduszki dokoła, usłała sobie wśród nich gniazdko i ułożyła się wśród nich wygodnie i pieszczotliwie, jak chore dziecko. Twarzą zwróconą do ognia i z niewinną miną sięgnęła po jedną z wielkich ksiąg i rzekła sennym głosem:

— Teraz będziemy czytali bajki, Pawełku. Paweł był zbyt wzruszony, aby cokolwiek powiedzieć. Te nagłe zmiany były dla niego za wielkie, za dużo przeżył przez tych parę dni, odkąd ją poznał. Oparł

się o poręcz swego krzesła, drżał w nim każdy nerw, a świeża zawsze i młoda twarz pobiadła.

— Paul — mówiła żałośnie, a głos jej był słodki, jak gruchanie gołębi — ja jutro znowu będę rozsądna, zobaczysz, i podobna do ludzi, ale dziś jestem kapryśna i rozdziwaczona, więc nie wolno mi się sprzeciwiać. Chcę czytać o Amorze i Psyche z tego wspaniałego „Złotego Osła”, Apulejusza — takie proste, krótkie opowiadanie, dobre właśnie na dżdżysty dzień dla mnie i dla ciebie!

— Więc niech pani czyta! — rzekł Paweł zrezygnowany.

I zaczęła czytać po łacinie śpiewnym, miękkim głosem. Paweł zapomniał już większą część z tego, czego się nauczył, ale umiał tyle, żeby spostrzec, że dla niej łacina musi być tak łatwa, jak angielski, tak płynnie czytała rytmiczne zwroty swoim bogatym głosem.

I głos ten powoli uspakajał go, kołysał. Zdawało mu się, że śni, śni o jakimś kwiecistym kraju i czystych strumieniach. Po długiej chwili ona spojrzała na niego i jednym ze swych nagłych, niemal kocich ruchów, stanęła tuż obok niego, opierając się o poręcz jego krzesła.

— Paul — szepnęła mu prosto w ucho — jestem dziś niedobra! Ale nie mogę nic na to poradzić.

Diabeł siedzi we mnie i teraz muszę znowu śpiewać.

— Niech więc pani śpiewa — rzekł, ogarnięty znowu jakimś dziwnym wzruszeniem.

Chwyciła gitarę leżącą w pobliżu i zaczęła śpiewać miękkim, dźwięcznym głosem w jakimś języku, którego nie znał zupełnie, jakąś również nieznaną mu melodię, której jednak już pierwsze akordy tak nim wstrząsnęły, że poczuł, jakby mrówki biegały mu po ciele. Taka niezwykła rozkosz, która już jest bólem. A kiedy uczuł, że już dłużej nie będzie mógł tego znieść, ona w tej samej chwili odrzuciła instrument na bok i znowu oparła się o jego krzesło — cienkimi palcami gładziła kędziory chłopaka i szeptała mu jakieś nieznanne słowa do ucha!

Paweł był młody i wielu rzeczy jeszcze nie umiał. Czuł się jej niewolnikiem, zupełnie pod jej panowaniem — nie był jednak upośledzony ani na ciele, ani na umyśle, więc to, co go spotkało, było czymś więcej, niż mógł znieść.

— Nie można się pani sprzeciwić! Mój Boże, ależ pani chce chyba, żebym ja oszalał! — krzyknął jakimś dzikim, zmienionym głosem. — Czy pani myśli, że ja jestem posągiem, czy stołem, czy krzesłem, albo jakimś wypchanym zwierzęciem, jak ten tygrys? Nie, nie jestem tym, powiadam to pani — chwycił ją w ramiona, obsypał deszczem pocałunków i oboje jednocześnie z niesłychaną siłą poczuli, że właśnie tego im brakło, że musieli nasycić swoją namiętność. — Może kiedyś jakiś mężczyzna zabije panią i mnie, ale ja będę pani kochankiem — najpierw.

Piękna pani oddychała ciężko. Patrzyła na niego z radosnym zdumieniem tak jak dziecko mogłoby patrzeć na pudełko pełne nowych zabawek. Zły chłopak, że popsuł jej taką cudną grę i dlaczego on się tak rzucił nagle i prawie bez powodu?

Ale silne, młode ramiona Pawła trzymały ją mocno, nie mogła się wyrwać ani poruszyć. Więc roześmiała się czystym, radosnym śmiechem.

— Piękny, dziki Paul — szepnęła. — Czy mnie kochasz? Powiedz mi to!

— Kocham cię — odpowiedział — Wielki Boże! Kocham cię do szaleństwa, chory jestem z miłości i ty wiesz o tym doskonale.

— A więc — odrzekła pani najpięszczośliwym w świecie głosem — a więc Paul, mój słodki, kochany chłopcze, nauczę cię wielu rzeczy, a między, innymi nauczę cię, jak trzeba żyć!

\* \* \*

Za oknami był deszcz i wichura i ściemniło się prędko. A w pokoju było cicho i mroczno, tylko jak złote gwoździe połyskiwały iskry z kominka i zasyczał niekiedy płomień.

Co go to obchodzi, ile ona ma lat, albo jakiej jest narodowości? Co go to wszystko obchodzi, skoro ona jest jego. I na tę myśl serce znowu zaczęło mu bić żywiej i znowu począł rozmyślać i marzyć, jak co wieczora.

Czy ona po obiedzie pozwoli mu przyjść do siebie przez taras, czy będzie musiał spędzić czas samotnie i pocieszać się, jak potrafi.

Gdy ją opuszczał na wpół omdlałą z rozkoszy i radości, nie umówili się na wieczór i nie mieli żadnych określonych planów. Ale przecież ona chyba nie każe mu iść spać bez powiedzenia dobranoc — teraz nie.

Zanim wyszła z sali, przez jedną sekundę oczy ich spotkały się, podniosła czerwoną różę, którą wyjęła ze srebrnej wazy i dotknęła nią ust, ale Paweł dobrze wiedział, że ona myśli o jego pocałunku i znów przeszedł ją dreszcz.

Na dworze mżył drobny deszcz. Nie podobna było palić na tarasie. Mądrzej będzie zostać w hallu. Na pewno Dymitr przyjdzie za chwilę z jakimś poselstwem, tylko trzeba być cierpliwym i czekać na przyjemność. Lecz wybiła już dziesiąta, a on nie otrzymał żadnego znaku. Tylko angielski młodzieniec, Percy Trevellian wdał się z nim w rozmowę i zaproponował nawet partię bilardu dla lepszego spędzenia czasu. Paweł bardzo lubił bilard, ale nie dzisiaj. Wielkie nieba! Co za pomysł! Iść do bilardowego pokoju, dziś wieczorem, teraz!

Wytłumaczył się bólem głowy i w ogóle odpowiadał krótko, a chcąc uniknąć innych niewygodnych propozycji, schronił się do swego saloniku i tam oczekiwał na dalszy bieg wypadków, nie dbając o to, że biedna Mabel Trevellian bardzo żalonym wzrokiem przeprowadziła go do drzwi.

— Mamo, czy widziałaś, jak on przy obiedzie patrzył na tę jakąś cudzoziemkę — rzekła. —

Mężczyźni to tacy wariaci! Clarkson, ubierając mnie dzisiaj wieczorem, powiedziała mi, że jak słyszała, ma to być jakaś wielka księżna czy królowa, podróżująca incognito dla zdrowia. Bardzo dziwaczna i taka pospolita, czy nie uważasz tego samego? A do tego zupełnie stara.

— Nie, kochanie. Ogromnie dystyngowana. Naturalnie, że to nie młoda dziewczyna, ale powierzchowność ma zupełnie książęcą — odpowiedziała matka Mabel, która znała dobrze świat.

Paweł tymczasem krążył po swoim pokoju — przeszedł teraz chwilę ogromnego, trwożliwego podniecenia. Na pewno, na pewno ona nie zechce, żeby on już wcale jej dzisiaj nie widział. Żeby nie powiedział jej choćby najskromniejszego dobranoc.

Ale co on może zrobić? Jaki możliwy plan wymyślić? Gdy wybiła

jedenasta, uczył, że dłużej tego nie zniesie... Czy deszcz pada, czy nie, on musi wyjść na taras!  
— To ten wariat Anglik! — powiedział do siebie portier, gdy dojrzał wysoką postać Pawła, znikającą wśród deszczu i nocy.

I aż do dwunastej chodził tam i z powrotem po ścieżce pod drzwiami. Lecz wszędzie było pusto, nie błysnęło żadne światło. Brzydko było na dworze, mokro i chłodno i w końcu Paweł poczuł się taki przygnębiony i zmęczony, że zapragnął iść do łóżka. Lecz nie mógł spać. Nawet jego młodość i zdrowie nie mogły się oprzeć zbyt silnym wrażeniom dnia. Kręcił się i przewracał, a tysiąc pytań przewijało mu się w mózgu. Czy to rzeczywiście on został wybrany przez tę boską kobietę na kochanka?

A jeżeli tak, to dlaczego on teraz leży samotnie, zamiast trzymać ją w swoich ramionach? Co to wszystko ma znaczyć? Kim ona jest? Jak i kiedy to się skończy? Ale tutaj nie śmiał już myśleć dalej. Przeżył te wszystkie dziwne zdarzenia — żył tak, jak mu się nawet nie śniło, że żyć można. A to, co dotąd wiedział o życiu, wydało się teraz Pawłowi mizerne i nieważne.

W końcu zasnął, a uparte słowa wciąż brzmiały mu w uszach: „Łzy i oręż i... krew!” Lecz jeżeli był jeszcze bardzo młody, to jednocześnie był bardzo rycerskim dżentelmenem i bojaźń nie miała dostępu nawet do jego snów.

\* \* \*

Następnego dnia udali się do Biirgenstock. Wszystko zostało urządzone z wielką prostotą. Paweł poszedł na wycieczkę na szczyty, zabrał lokaja i na tydzień opuścił Lucernę. Pani Zaleńska miewała się niezbyt dobrze, widać to było na pierwszy rzut oka, toteż namówiona przez Dymitra, postanowiła dokonać małą zmianę i spędzić parę dni wyżej, w lepszym powietrzu. Z ich hotelu na pewno żywa dusza nie wyprawi się na Biirgenstock i mogą mieć zupełny spokój. Nie wyjechali razem. Paweł był pierwszy.

Nie widział jej. Dymitr dał mu ostateczne instrukcje, więc po-

szedł naprzód, po czym oczekiwał na jej przybycie z namiętą niecierpliwością.

Napisał do niej zaraz po przebudzeniu się, cały list był jednym piorunem, jednym wybuchem namiętności, tak zupełnie niepodobnym do listu pisanego niedawno, zaledwie parę dni temu, do biednej Izabeli. W tym liście do pięknej pani pisał: *Już nie mogę tego znosić teraz, tej mianowicie niepewności, kiedy, gdzie i jak mogę Cię zobaczyć.* Poddał sam pomysł udania się do Biirgenstock, jednak ona obmyśliła wszystkie szczegóły.

On, Paweł Verdayne, zaledwie dwudziestotrzyletni młodzieniec i do tego Anglik, nie mógł wprost przypuścić na serio myśli, że dama, którą znał od pięciu dni, będzie z nim żyła w górach i zostanie jego kochanką. A jednak wiedział, że to jest prawda. Żaden z jego przyjaciół, przyzwyczajony do ich banalnych zwyczajów, nie uwierzyłby w to. Ojciec co najwyżej uśmiechnąłby się.

Co do lady Henrietty, ta sądziłaby, że to żart, gdyby zaś uwierzyła, jakże oburzona byłaby tą plamą na życiu syna. Na szczęście żadne z rodziców nie wiedziało o niczym. W dniach najszańszych polowań nie był taki podniecony i puls mu tak nie bił! Dymitr urządził wszystko doskonale. Paweł został młodym angielskim sekretarzem damy, która musi dużo pisać. A w każdym razie najpoważniejsze hotele za granicą nie pytają o zbyt ściśle informacje swoich gości, jeżeli ci goście zajmują najdroższe apartamenty i mają elegancką służbę.

Służący Pawła był to syn starego masztalerza, służącego od dawna w tej rodzinie, chłopak uczciwy i oddany swemu panu — sir Karol Verdayne jednak pragnął upewnić się podwójnie.

— Thompson — rzekł rano w dzień odjazdu. — Chociaż pan Verdayne może się bawić, jak mu się podoba, ty możesz być ślepy i głuchy, pamiętaj. Ani be, ani me służącym tutaj, ani w hotelach, albo w domach, w których będziecie, a przede wszystkim proszę, żeby te szczegóły nie przedostały się do uszu pani. Jeśliby młody pan zaplątał się w jakie kłopoty, to donieś mi o tym, ale nikomu nie piśnij ani słowa, zrozumiano, Tompson?

— Zrobię tak, sir — odpowiedział Thompson z uszanowaniem. I robił, jak wykazywały późniejsze wypadki.

Pokoje na Burgenstock wyglądały skromnie, tak niepodobne były do saloników w Lucernie. Wszystko świeże, czyste i bardzo proste. Paweł błąkał się po pokojach i w jednym, przeznaczonym dla niego, napotkał Annę, pokojówkę pani, którą Dymitr wysłał naprzód. Zaścielała na łóżku prześcieradło, tak cienkie i delikatne, jak pajęczyna, oraz miękkie, jedwabne poduszki. Jaka kochana jest jego pani, że tak myślała o nim, swoim sekretarzu.

Tygrys, jej tygrys przyjechał także i leżał w saloniku, gdzie było też trochę skromnych poduszek jedwabnych, w wazach groszek pachnący i świeże kwiatki, lecz nie było tuberoz, tak jak nie było nic ciepłarnianego, wspaniałego, ani sztucznego.

Słońce świeciło wprost w okna, zielone drzewa, świeże i wymyte deszczem radowały jego oczy, a niżej, w szafirowym jeziorze odbijały się śnieżne szczyty gór. Co za wymarzona siedziba dla miłosnych snów! W liście, który mu przysłała jego ukochana, znalazł kilka zasuszonych płatków różanych. Była to odpowiedź na jego namiętny list.

*Tak, przyjadę, Paul, ale tylko pod jednym warunkiem, że nigdy nie będziesz się mnie pytał, ani kim jestem, ani skąd przybyłam. Musisz mi obiecać, że będziesz uważał to, co nastąpi za wakacyjne święto, za epizod — a jeśli los daje nam tę wielką radość, nie powinieneś starać się krępować mnie ani teraz, ani później, ani kontrolować moich ruchów. Musisz dać mi słowo honoru na to, że nigdy nie będziesz się starał odkryć kim i czym była twoja ukochana — że nigdy nie będziesz mnie śledził i nie pójdiesz za mną. Tak, przyjadę teraz, jeżeli się upewnię co do Ciebie, ale gdy będę miała odejść, odejdę w milczeniu.*

I Paweł dał słowo honoru. Bał się podnieść głowę i spojrzeć przed siebie. Lepiej żyć teraz w tej ulotnej radości i nie kusić losu. Czekał na nią cały drżący.

Już był czas na popołudniową herbatę, gdy nadszedła karetą, bo ona i Dymitr przybyli dalszą drogą. I czyż to nie było naturalne, że jej sekretarz spotkał ją, asystował jej i odprowadził do jej apartamentów?

Jak ona pięknie wyglądała w bladoszarym kolorze. I suknia i kapelusz były bardzo wytworne. Suknię miała krótką, tak że można było dojrzeć drobne stopy.

Wszystko było proste, przystosowane do wycieczki w góry i do surowej przyrody.

Herbatę podano na balkonie, doskonałą, wonną, rosyjską herbatę, a Dymitr, podawszy srebrne przybory, wycofał się i zostawił ich samych w pokoju.

— Kochanie! — rzekł Paweł i pochwycił ją w ramiona. — Moje kochanie! Kochanie!

Piękna pani w jego uścisku długą chwilę nie mogła nic mówić! Wreszcie szepnęła mu cicho do ucha:

— Jakie słodkie słowo, mój Paul ukochany. Słodsze po angielsku, niż w każdym innym języku. A ty się cieszysz, że przyjechałam i będziemy trochę żyć razem w naszym gniazdku, takim świeżym i nie za dużym, prawda? Och, jakież cudne radości można mieć w życiu i jakim szaleńcem jest człowiek, który się ich dobrowolnie wyrzeka.

— O, tak — potwierdził, z przejęciem Paweł.

Potem rozkoszowali się herbatą a ona nauczyła go pić herbatę z cytryną. Była słodka i swobodna, jak młoda dziewczyna i nie mówiła żadnych nieokreślonych rzeczy; robiła w ogóle wrażenie, że jest młodą, nieśmiałą narzeczoną, a Paweł jej panem i władcą. Czuł jakieś dzikie szczęście z tego powodu. Jak on mógł żyć tak szaro i bez sensu, zanim ją spotkał.

Skończywszy herbatę, wyszli się trochę przejść. Ona chciała pochodzić, a Paul, jako Anglik, też potrzebował ruchu. Och, znała Anglików i ich zwyczaje! I naturalnie musi myśleć o wszystkim, co mogłoby zrobić przyjemność jej ukochanemu Paulowi.

A on? Wy starzy, zepsuci światowcy, którzy może będziecie czytali tę książkę, pomyślcie sobie, czym był Pawełek — jak wibrowała w nim młodość, życie, siła, jak drżał od szczęścia, jak radość przelewała się w nim po prostu przez brzegi. W napięciu miłosnym znajdował w swej pięknej młodej duszy najcudowniejsze słowa i szeptał je ukochanej. Z każdą chwilą czuł się zakochany coraz mocniej, a ona w każdym nowym przeobrażeniu wydawała mu się coraz



bardziej boska. Dzisiaj nie zostało w niej ani śladu wczorajszej dziwaczności. Oczy, patrzące na niego spod kapelusza, były pokorne i słodkie, nic nie było w nich ze spojrzenia szatana, kuszącego świętych. Rozmawiała z prostotą i uprzejmie.

Musiał ją zaprowadzić na miejsce, z którego kiedyś patrzyła na niego przez gałęzie drzew. A wtedy... — Och, Paul! — rzekła cicho. — Gdybyś ty wiedział, jak mnie kusieś tamtego dnia, kiedyś tak patrzył na mnie z dołu z całą duszą w oczach! Chciałam lecieć do ciebie, lecieć, lecieć! A zaczęłam uciekać... — A teraz złapałem, kochanie ty moje — odrzekł Paweł. — Ale niedobrze mówisz. Ja nie miałem duszy, dopiero ty mi ją dałaś.

Siedli oboje na ławce, na której on kiedyś siedział. Ona cieszyła się wszystkim, kolorem mchów, świeżością młodych buków, nawet każdym cieniem i każdą plamką światła, a on patrzył jej oczyma. A przez ten cały czas siedziała tuż obok niego, jak potulny i tkliwy gołąb przy swoim towarzyszku. Pawełkowi rosło serce z radości i rozrzewnienia. Było mu tak dobrze, że sam byłby dobry dla każdego. Wstydził się swoich wybuchów i swego gwałtownego, niezdolnego charakteru, postanowił być zawsze jej rycerzem i obrońcą, i pokazać jej, że jest godnym tak królewskiego daru, jak jej miłość. Trudno mu było wyrazić w słowach swoje uwielbienie.

Popołudnie zmieniło się w wieczór i młody księżyc pokazał się na niebie — cienki, srebrzysty sierp, zrodzony dopiero poprzedniej nocy.

— Spójrz, oto jest nasz księżyc — rzekła piękna pani — a tak, jak on rośnie, tak będzie rosła nasza miłość, ale teraz jest jeszcze młoda, świeża i delikatna, tak jak on. Chodź teraz, mój Paul ukochany. Wrócimy do domu. Niedługo będzie obiad, a ja chcę się zrobić dla ciebie piękna.

I wrócili do małego hoteliku. Gdy Paweł wszedł do ich prywatnego saloniku, gdzie we dwoje mieli jeść obiad, zastał ją ubraną zupełnie na białą.

Bujne, przepiękne włosy miała przewiązane złotą przepaską i w dwóch długich warkoczach, przeplatanych złotem, spadały aż do kolan. Suknia, jaką miała na sobie, była niesłychanie miękka i przy-

legająca do ciała i w ogóle zupełnie niepodobna do wszystkich sukien, jakie kiedykolwiek widział w życiu. Siedzieli obok siebie na sofie za stołem, jedli powoli i więcej rozmawiali niż jedli. Podczas, gdy Dymitr usługiwał im dyskretnie, a zanim Paweł zdążył skosztować swego wina, ona pocałowała jego szklankę i upiła z niej trochę, a potem kazała mu to samo zrobić ze swoją. Jedzenie było bardzo proste, a jako jedyny przysmak podano na końcu wielkie, dojrzałe truskawki.

Dymitr, ustawivszy na stoliczku przybory do kawy i butelkę rzadkiego, złotego wina, oddalił się. Wtedy ta dziwna, piękna pani zrobiła się jeszcze bardziej tkliwa. Paweł musiał ją wziąć w ramiona, w których leżała cicho, a potem musiał kłaść jej truskawki w usta. I wtedy zauważył, że jej usta są tak czerwone, jak te truskawki.

Przyznać trzeba, że Paweł był zupełnie odurzony tą miłością. Zdawało mu się, że już doszedł do zenitu, a tu odkrywały się przed nim coraz to nowe horyzonty. Wreszcie ona podniosła się i zlała złote wino do jednej szklanki.

— Paul mój — rzekła — to jest nasza noc weselna i nasze weselne wino. Skosztuj go z tej naszej szklanki i powiedz, czy jest dobre.

I w dzień śmierci, gdyby Paweł spróbował tego wina, to na pewno ogarnęłoby go żywe, namiętne wspomnienie i jeszcze żywszy, najnamiętniejszy żal.

Ach, ta boska noc wesela! Siedzieli teraz na balkonie i Elaina w swoich pełnych ubóstwienia myślach o Lancelocie, Margerita uwodzona przez Fausta — ani najskromniejsza dziewicza narzeczona nie była tak słodka, tak niewinna i uległa, jak ta dziwaczna „Królowa Tygrysów”.

— Paul — rzekła cicho — jesteśmy tej nocy z daleka od całego świata, tylko ja i ty, nie ma nikogo więcej, mój drogi. Czyż nieprawda? I prawda, że wasze angielskie słówko dla kochanków to właśnie „serduszko”, czy tak?

A Paweł, który nigdy nie słyszał i nie używał tego słowa, chyba tylko w żartach, teraz przekonał się, że to właśnie było jego najulu-bieńsze słówko. Tak, naturalnie, mówi się „serduszko”, a ona jest jego serduszkem.

— Pamiętaj, Paul — szepnęła, gdy zamknął ją w ciasnym uścisku ramion i mówiła przerywanym głosem, bo ścisnął ją coraz mocniej — pamiętaj, kochanie, że cokolwiek się zdarzy, cokolwiek przyjdzie, na dzisiejszą noc nie chcę pamiętać o niczym prócz tego, że cię kocham, ja cię kocham, Paul!

— Moja królowo, moja królowo — mówił Paweł zdławionym w gardle głosem.

I najdelikatniejszy wiatr owiewał im skronie, a tysiączne gwiazdy migotały na niebie i odbijały się w jeziorze. Taka była ich noc weselna.

Ach, wspaniała młodość i jeszcze wspanialsza miłość!

\* \* \*

Któż opowie radość ich przebudzenia? Paweł dostąpił nowej rozkoszy, wolno mu było bawić się włosami ukochanej, rozsypanymi na poduszkach, mógł z nimi robić, co mu się podobało. Jakież to szczęście zdawać sobie sprawę z tego, że ona jest jego — jego własna, w jego ramionach.

A on był jej panem i nawet nadawał sobie ton lekko rozkazujący. Ona była przeważnie milcząca, lecz w oczach miała cały świat namiętności — jakiś wyraz senny, nieopisany, a długie rzęsy rzucały cień na matowobiałe policzki.

Nie była już gołąbką — leżała obok niego jakaś tajemnicza istota, nieruchoma, bezbronna, biała.

Paweł patrzył na nią prawie z przestraczem. Czyż ona naprawdę żyje? Czy też to może raczej sen cudowny i on nagle obudzi się w swoim pokoju w Verdayne Pałace, pomiędzy przyborami sportowymi, wśród solidnych, rodzinnych mebli, a Thompson powie: „Już ósma godzina, sir, i bardzo ładna pogoda”.

Ach! nie, nie, ona żyje naprawdę. Uniósł się trochę, a potem pochylił się nad nią i zaczął dotykać jej delikatnie koniuszkami palców. Tak, te wszystkie czarujące rzeczy należą do niego, żyje, oddycha, jest ciepła, gorąca, a on jest jej kochankiem i panem.

Te same jedwabne firanki koloru rezedy co w Lucernie były

i teraz udrapowane dokoła okien, to samo słońce przefiltrowane przez te cienkie zasłony sączyło zaledwie do pokoju białawe światło. Ale która godzina? Czas nie istnieje dla tych, którzy żyją tylko miłością, a Paweł właśnie teraz żył w ten sposób.

Była już dwunasta, gdy ubrani zeszli się na śniadanie, podane również na balkonie.

Piękna pani rozmawiała serdecznie i zajmowała się wszystkimi fantazyjkami swojego pana, jak młoda narzeczona.

Przez cały czas miała w oczach tajemnicę. I w pewnej chwili przyszło Pawłowi na myśl, że choćby żył z nią sto lat, nigdy nie wiedziałby, co ona właściwie sądzi.

— Co zrobimy z dzisiejszym dniem, Paul? Widzisz, ty możesz dziś wybierać. Czy będziemy wdzierali się na najwyższe szczyty gór i patrzyli na nasze królestwo wśród drzew nad jeziorem? Czy może wsiądziemy do łódki i będziemy pływali po wodzie i śnili takie słodkie sny? Czy może pojedziemy powozem w taką obcą stronę, do jakiej nieznanej fermy, gdzie przyjrzymy się ludziom żyjącym w szczęśliwej prostocie ze swymi krowami i owcami. Wybieraj, serce moje, wybieraj!

— Czego ty sobie życzysz, królowo — odrzekł Paweł. Wtedy piękna pani zmarszczyła brwi i jakaś błyskawica mignęła w jej oczach.

— Naturalnie, że to, czego ja sobie życzę. Ale powiedziałam ci, żebyś wybierał, słaby człowieku. Nic mnie tak nie irytuje, jak te angielskie odpowiedzi. Czy zapytywałabym cię, jak chcę spędzić dzisiejszy dzień, gdybym sama pragnęła decydować? Poleciałabym Dymitrowi, ażeby wszystko urządził i basta. Ale nie! Dzisiaj ja chcę być posłuszna. Chcę, żeby mój ukochany wybierał za mnie. Jutro może zechcę mieć swoją własną wolę, dziś pragnę mieć tylko twoją, najdroższy — pochyliła się i spojrzała mu w oczy. A więc chodźmy w góry — rzekł Paweł — bo tam możemy usiąść i ja mogę patrzeć na ciebie i zawieszony u twoich ust, uczyć się żyć. W łodzi nie będę się mógł ciebie dotknąć, a na fermie ty możesz patrzeć na innych, a zdaje mi się, że nie mógłbym znieść dzisiaj ani jednego słowa, ani jednego spojrzenia zwróconego nie na mnie.

— Wybrałeś dobrze, miły mój.

Ostatnie słowa powiedziała w cudzoziemskim języku, lecz nauczyła go ich znaczenia, a dźwięk ich podobał mu się niezmiernie. Uczył się je wymawiać i przy takiej zabawie zeszło im lekkie, skromne śniadanie, a w godzinę później wyruszyli na wycieczkę.

Wyżej i wyżej po wąskich ścieżkach wśród świerków i modrzewi — wyżej i wyżej aż po szczyt. Szli z wolna, aż doszli do celu. A tu z dala od drogi, którą zwykle chodzą turyści, z dala od badawczych oczu przechodniów usiedli sobie i mogli widzieć jezioro i wierzchołki drzew w całej wspaniałości. Paweł zabrał ze sobą pled, który teraz rozpostarli na mchu. Opanowało ich rozkoszne rozleniwienie. Namietności na razie usnęły. Ale co za niezwykła błogość siedzieć w tym orlim gnieździe z nią, tylko jedną na całym świecie.

Przypomniały mu się jej słowa: „Miłość — to znaczy, że trzeba być blisko siebie, że trzeba się dotykać, że trzeba się ścisnąć, że trzeba być jednością”. Tak, oni byli jednością.

Po czym ona zaczęła mówić miękko i łagodnie. Otwierała mu okna w duszy na radość i słońce. Ona miała umysł tak rozległy, że z każdą godziną dawała mu coraz nowe niespodzianki i coraz nowe podarki rzucała mu ze swej wiedzy, jednocześnie zaś czarowała go oryginalnym, delikatnym sposobem wyrażania się i doskonałą angielską wymową, tak że ani jedna sylaba nie ginęła.

— Paul rzekła mu — jak drobne i marne wydają się teraz konwenanse światowe, czyż nie tak, ukochany? Drobne, jak te opadłe z drzew płatki kwiatów, które pływały po jeziorze, tam, na dole. Z początku konwenanse były ustawione jako prawa, dla wzięcia w karby ludzi usposobionych względem siebie wojowniczo i tym tylko sposobem dających się opanować. Teraz przeważnie ludzie nie walczą ze sobą fizycznie, zwalczają tylko prawa ogólne i prawa swoich bliźnich. Tutaj jesteśmy ja i ty — złączeni ze sobą, poślubieni sobie i doskonale szczęśliwi — a jednak i my jesteśmy skrepowani tymi bezsensownymi prawami — i cały świat uważałby, że daleko stosowniej i szlachetniej postąpisz, jeżeli przeżewasz całe życie przy boku jakiejś nudnej angielskiej miss, a ja przy boku pijanego, wściek-

łego małżonka. A to dlatego, że wyrzekliśmy kiedyś śluby, jakoby już na zawsze wyrzekniemy się innych wzruszeń. A jednak nie więcej możemy zapanować nad swymi uczuciami, jak drzewo nie może zapanować nad tym, żeby wiatr nie chwiało jego gałązkami. Kochać! Ach, tak, oni przy ołtarzu nazywają to „złączeni przez Boga”. Tak jakby nie zdarzało się najczęściej, że łączą się dwie istoty, które nienawidzą siebie nawet, a stają przed ołtarzem, przysięgając sobie rzeczy niemożliwe, dla jakichś celów politycznych, albo dla korzyści ich rodzin. Tacy ludzie zbezczeszczają miłość. Miłość jest dla nas, Paul, którzy przyszedliśmy ku sobie, bo całe nasze istoty krzyczały: „To jest mój cel!” Nie mówiłabym nic o tym, gdybym nie miała pretensji do małżeństwa. Gdyby to był po prostu szczyry kontrakt: „Tak, oddaję ci moje ciało i moje mienie tak jak ty dajesz mi swoje nazwisko i stanowisko”. Są to takie dzikie, może straszne rzeczy, przez które jednak musi przejść każdy w życiu — ale nazywać to błogosławieństwem Bożym, to jest po prostu egzaltacja. I tacy ludzie także przychodzą tutaj i rozmawiają o miłości. To dopiero musi gniewać Pana Boga i obrażać go!

Paweł zauważył, że ona mówi, jakby sobie nie zdawała sprawy, że są osoby prywatne, mniejszego znaczenia, które pobierają się niekoniecznie dla względów politycznych, albo ambitnych celów rodziny, tylko dlatego, że rzeczywiście są dobrane i „łączą” się naprawdę przy ślubie. Ona swym przenikliwym umysłem odgadła natychmiast myśli jego.

— Tak, ukochany, chciałeś coś powiedzieć.

— Tylko to, że przypuszczając, że ty nie jesteś nikomu poślubiona, uważam że przysięgając sobie przed Bogiem miłość, przysięgliśmy prawdę. Ja mógłbym ci ślubować z całej duszy, najuczciwiej w świecie i na całe życie, moja królowo ukochana.

Błękitne oczy chłopca patrzyły na nią z oddaniem i przekonaniem o prawdzie słów, jakie mówił. A w jej dziwnych oczach zjawiał się ten sam wyraz tkliwości, który niegdyś przypomniał mu wzrok matki, patrzącej na igraszki dziecka.

— Tutaj, tutaj przysięgłbyś — odrzekła — chciałbyś przysiąc teraz i zacieśnić różane więzy, lecz ponieważ to byłyby więzy, zacięłyby ci prędzej czy później. Nie rób ślubów, kochanie! I tak los

zmusi cię, żebyś je złamał, bogowie to zmienni i gniewliwi stronnicy. Nie przysięgaj nic, bo niestałość zawsze czyha, żeby cię znieść ku sobie — to nasze życie: przysięgać i łamać śluby, zadawać ból i żałować. Żyj, żyj, Paul i kochaj i nie przysięgaj nic zupełnie.

Paweł był zakłopotany: — Ale czy ty nie wierzysz mi, że ja cię będę kochał zawsze?

Piękna pani oparła się o skałę i zapatrzyła gdzieś daleko.

— To będzie zależało ode mnie, Paul. Trwałość uczucia zawsze zależy od tej osoby, którą się kocha. Ja stworzyłam wzruszenie miłosne w tobie, tak jak ty stworzyłeś je we mnie. Nie możesz go stworzyć w sobie sam. We mnie jest coś, co odpowiada tobie i może nasycić żar twojej namiętności i dlatego mnie kochasz. Gdybyś przestał mnie kochać, to znaczyłoby, że ja już nie jestem zdolna dać ci tej odpowiedzi. Nie będzie w tym twojej winy i tak samo, jeżeli ty się mnie przestaniesz podobać, nie będzie mojej. Pod tym względem ludzie zwykle bywają niesprawiedliwi.

— Ale to tylko niestali ludzie mogą się tak zmieniać — wtrącił Paweł.

— To jest zgodne z naturą ludzką; jeden rodzi się solidnym dżentelmenem i taki człowiek może dłużej przeciągać stosunek miłosny, niż jeżeli się urodzi z natury niestały, ale przede wszystkim to zależy od osoby, którą się kocha — czy on lub ona potrafią zatrzymać przy sobie ją, lub też jego. Nie można winić igły, że odpada od magnesu, jeżeli ten magnes przestaje ją przyciągać, lub też zacznie ją przyciągać jakiś drugi magnes, daleko silniejszy. Czy rozumiesz mnie, Paul?

— Tak — odrzekł Paweł chmurnie. — Muszę ze wszelkich sił starać się ciągle podobać się tobie, albo mnie rzucisz.

— Widzisz — mówiła dalej — niemądrzy ludzie robią śluby, przysięgają i są to istoty słabe, ułomne w przeważnej części przynajmniej próżność i pierwsze lepsze zdarzenie odwraca ich od ukochanej osoby; może to nie jest ich wina, tak samo, jak nie jest wina złamanej nogi, że przeszkadza chodzić, chyba tylko o tyle, że to jest własna noga; ale musimy cierpieć za to, co jest nami i do nas należy, taki to już porządek rzeczy. Skłonności słabych kalek popycha je do złamania ślubów. Łamie się je przynajmniej w myśli. I wtedy czło-

wiek czuje się poniżony, upokorzony i stara się usprawiedliwić powody, które go zmusiły do złamania danego słowa. Więc o ileż lepiej nie robić ślubów, nie składać sobie przysiąg, a wtedy, gdy pociąg ustanie, można się rozejść swobodnie, nie obrażając swej dumy.

— Ach, kochanie, nie mów nawet o tym — krzyknął Paweł — ta nić wzajemnego pociągu pomiędzy nami nie przerwie się nigdy, nie może się przerwać. Ja cię ubóstwiam, uwielbiam — ty jesteś moim życiem, moje kochanie najdroższe, moja królowo.

I natychmiast padli sobie w ramiona, szeptali ciche zaklęcia i całowali się bez końca i znowu stali się szaleni i mówili bez związku, jak zwykle czynią to kochankowie od początku świata. Lecz ci byli chyba jeszcze bardziej zajęci sobą, jeszcze bardziej w sobie nawzajem pogrążeni i skupieni, niż te sławne miłosne pary we wszystkich baśniach i legendach.

\*\*\*

Taki ciepły i spokojny był ten wieczór, gdy jedli obiad przy otwartych drzwiach balkonowych. Widzieli z daleka jezioro i światelka migocące w Lucernie. Księżyc wypłynął na niebo jakiś delikatny i blady, owinięty chmurami, zasłaniającymi tu i ówdzie gwiazdy.

Piękna pani była spokojna i tkliwa, nie spuszczała oczu z Pawła i w swym zachowaniu miała znowu coś z potulnej i rozkochanej gołębicy. Ani razu, odkąd przybyli do Biirgenstock, nie pokazała tygrysiich pazurków, którymi drapała go na samym początku. Zdawało się, że jej usposobienie, tak jak kameleonowe oczy, nabiera koloru od okolicy w jakiej się znajduje, a tu dokoła była prostota, spokój i natura.

Paweł sam znajdował się niemal ciągle w stanie ekstazy. Chwilami zdawało mu się, że ulatuje w powietrze. Żadna syrena w greckich podaniach nie umiała tak kusić i czarować mową, jak ta dziwna cudzoziemka, królowa czy księżna, wszystko jedno zresztą kto. Poza tym nic go nie obchodziło na całym świecie — a było to tym osobliwsze, że poddawanie się komukolwiek nie leżało bynajmniej



w naturze Pawła. Był to nader energiczny młodzieniec i w domu zwykle naginał wszystko do swojej woli.

Piękna pani mówiła przeważnie o nim, o jego przyjemnościach. Nie było tak drobnego wydarzenia w jego życiu, albo w życiu jego rodziny, które by jej nie interesowało i którego by sobie nie kazała dokładnie opowiadać. Musiał nawet opowiedzieć wszystko o Izabeli, biedna Izabela! A ona na to powiedziała, że bardzo sympatyzuje z dziewczyną i że Paweł bardzo źle z nią postąpił.

— Jeszcze jeden dowód, Paul, na to, co mówiłam dzisiaj, że w miłości nie trzeba składać żadnych ślubów. Lecz Paweł w głębi serca nie wierzył jej. Wiedział, że będzie ją ubóstwiał zawsze.

- Tak — rzekła, jakby odpowiadając na jego myśli. — Tak myślisz teraz, ukochany, a jest tak dlatego, ponieważ nie wiesz, jaką ja będę choćby za chwilę, czy zostanę w twoich ramionach, czy ucieknę, tak że nie będziesz mógł mnie dosięgnąć. Kochasz mnie właśnie dlatego, że nie jesteś mnie pewny i dlatego to twoja namiętność jest tak silna, lecz gdybyś był pewny, ta miłość stałaby się obowiązkiem. Tak dzieje się ze wszystkimi kobietami i mój Pawełek zacząłby kiedyś ziewać i spostrzegłby, że nie jestem już młoda i że prędzej czy później nadejdzie koniec.

— Nigdy, nigdy! — odrzekł Paweł z zapalem.

Powoli rozmowa zwróciła się na inne przedmioty i Paweł powiedział jej, jak bardzo pragnąłby widzieć świat, różne narody i ich obyczaje. Ona była chyba wszędzie i ze swym darem słowa przesuwiała przed nim obrazy, jak w czarnoksiężskiej latarni, żywe opisy ze wschodu, zachodu, północy i południa. Ich antrakty pomiędzy godzinami miłosnych upojeń nie były nigdy banalne ani nudne. A ona nigdy nie zapomniała o tkliwych, jakby mimowolnych, pieszczotach, o wyrafinowanych, delikatnych dotknięciach, o wdzięku i sentymencie. Byli rzeczywiście jednością — połączeni duszą i ciałem.

W rozmowie Paweł chwycił strzępy z życia pięknej pani, widział z nich, że jest rozpieszczona i otoczona zbytkiem, ale dobiegało go jakby jakieś dzikie echo z barbarzyńskich krajów i coraz bardziej dziwił się i zaciekawiał, skąd ona przychodzi.

Późno w nocy siedzieli w salonie i ona zrobiła mu doskonałej rosyjskiej herbaty, szeptała słowa miłosne, tuliła się do niego, jak dziecko, które się skarży na jakiś wymyślony ból. A jednak w najczulszych pieszczotach on wyczuwał jakieś bliskie niebezpieczeństwo. Jakiś namiętny wyraz przebijał się przez zewnętrzny spokój i groził, że zerwać może tamy panowania nad sobą. To go drażniło i doprowadzało prawie do szaleństwa.

— Ukochana, ukochana moja — wołał — nie psujmy już sobie tych najcenniejszych chwil.

— Ja ciebie pragnę, pragnę, słodka moja, ja ciebie muszę mieć!

O pierwszym brzasku dnia Paweł obudził się z dziwnym wrażeniem dławienia i duszenia. W półmroku dojrzał odchyloną w tył w obramieniu tak czarnych, że aż błękitnawych włosów, białą twarz swojej ukochanej pani. Od mlecznej białości tej twarzy dziwnie odbijały niesamowite jej oczy, zielone teraz, jak oczy kota, migocące i przepelnione najdzikszą namiętnością. Zrozumiał teraz, skąd się bierze owo uczucie dławienia. Oto dookoła szyi miał okręcone jedno pasmo jej przepięknych włosów. Jakiś przemożny dreszcz wstrząsnął ciałem chłopca, pochwycił ją i zamknął w silnych ramionach z krótkim, zduszonym okrzykiem rozkoszy.

\* \* \*

Następny dzień to była niedziela i nawet przez gęste zasłony słyszeli monotony dźwięk kropel deszczowych. Po co się było budzić? Sen jest spokojny i słodki, jeżeli ukochana istota jest tuż blisko. Było już co prawda późno, gdy Paweł w końcu otworzył oczy. Zobaczył, że jest sam, słyszał tylko głos swojej ukochanej, nucący cicho w przyległym saloniku, a przez otwarte drzwi mógł nawet ją dojrzeć na wpół leżącą na tygrysiej skórce, z gitarą w ręku.

— Spiesz się, spiesz się, leniuszku jakiś. Śniadanie czeka na ciebie — zawołała, a Paweł, nie zwlekając dłużej, zerwał się z łóżka.

Dziś będzie dzień książkowy — oznajmiła mu piękna pani i czytała mu wiersze, a potem jemu kazała głośno czytać — ale nie

chciała mu pozwolić, żeby siedział za blisko niej, albo ją pieścił. Była oporna, a poruszała się z falistą gracją i kocim wdziękiem. Potem zapragnęła odsłonić okna i patrzeć na „scenę”: jezioro było zasłonięte mgłą, niebo płakało, dookoła smutno i posepnie.

Raptem odrzuciła książki i jak wąż nagłym ruchem znalazła się przy Pawle, który leżał na sofie bardzo posepnie usposobiony z powodu jej zakazu dotykania się i całowania.

— Ach, wy płaczące chmury, nienawidzę was.

Potem ostrym głosem zawołała Dymitra, a gdy ten się zjawił z korytarzyka, gdzie zwykle oczekiwał jej rozkazów, zaczęła mówić coś do niego w jakimś zupełnie nieznanym języku, a w oczach miała jakieś złe, okrutne błyski. Dymitr skłonił się niemal do ziemi i szybko wyszedłszy, powrócił za chwilę z prętem i drzewem i ułożył kilka smolnych, pachnących szczap na kominku. Potem nasypał na to jakiś proszek, z pośpiechem zasunął rezedowe zasłony u okien i wyszedł z pokoju. Przedziwna, boska woń rozeszła się po pokoju, a Pawłowi wydało się, że dookoła niego odprawiają jakieś czary! Piękna pani przysunęła się bliżej i z całą swą słodyczą, z całą miękkością z pierwszych chwil ich miłości sama wsunęła mu się w ramiona.

— Paul, ja jestem taka dzisiaj dziwaczna, taka nieznośna, przebacz mi — rzekła dziecinnym, pieszczotliwym głosem. — Czekaj, zrobię tak, że zapomnisz o deszczu i mgle. Uciekaj ze mną do Egiptu, gdzie słońce zawsze świeci.

A Paweł, jak rozgrymaszone, ukarane dziecko, któremu dano oczekiwaną leguminę pochwycił ją w ramiona i całował przez parę minut, nie dając jej przyjść do słowa.

— Czekaj, pojedziemy sobie do Kairu — mówiła przymykając oczy i siadając wygodnie wśród poduszek. Pociągnęła Pawła do siebie, że głowę oparł o jej piersi, a ona ramionami obejmowała go tak, jak matka dziecko. Sennym, bajkowym głosem szeptała: — Czy ci się nie podobają te minarety i wieże na opałowym niebie, a dalej te pagórki z różowego granitu? A spójrz Paul, na Nil, spójrz jak jego wody poruszają się gwałtownie, to są te straszne bestie, te prawdziwe bawoły wodne. Widzisz jakie tryskają fontanny wody, gdy uderzą ogo-

nem — zupełnie tak jak za czasów faraonów. Ach, czuję powiew ze Wschodu. Patrz na te wyprostowane, niebieskie figury, takie długie, takie piękne w liniach. Godność, spokój i jakieś poczucie wieczności we wszystkim, co robią. I my tu teraz jesteśmy, widzę. Patrz na ten tłum błyszczący, kolorowy, poruszający się bez pośpiechu i słuchaj tego dziwnego gwaru. Patrz na głowy wielbłądów, jakie są spokojne i niedbałe i patrz na tego człowieka podobnego do diabła z kręconymi włosami...

— Chodźmy stąd, chodźmy, chcę być na pustyni, widzieć Sfinksa!

— Ach! jaki jasny dzień dokoła nas. Za sobą mamy świat taki zielony, a przed sobą niezmierny pas brunatnego piasku. A jak czysto i wyraźnie odcinają się piramidy na turkusowym tle, tylko najpierw musimy przyjrzeć się zieloności dokoła nas, Paul, takiej zieloności nie ma w żadnym kraju, czyste szmaragdy, najwyższe wysiłki natury, żeby stworzyć arcydzieło zieleni. Nie, ja nie chcę żyć w tej małej wiosce, w chatce z ciemnego mułu, przywiązana razem z innymi żonami do tego chudego, ubranego niebiesko mężczyzny; pozabijam ich wszystkich i będę wolna. Ja chcę iść tam, ukochany, tam, na pustynię, gdzie będę mogła żyć dla siebie i dla ciebie; tam jest najcudowniejsza namiętność i najcudowniejszy spokój...

Głos jej stał się jeszcze bardziej senny i opadał kadencjami, aż przycichł całkowicie.

Jakaś siła kazała jej duszy wyśpiewać to wszystko prawie rytmicznie, jakby białym wierszem.

— Ach, a te rynki wschodnie, te różnobarwne towary, jakie to wszystko jest piękne, ile tu życia i słońca. — A teraz, patrz, ukochany, oto pustynia złocista i Sfinks zadumany. Jesteśmy tak blisko niego. Patrz jak słońce świeci. Cicho, cicho, ukochany! Jesteśmy sami, wielbłądy i przewodnicy poszli gdzieś sobie, jesteśmy sami, najmilszy i będziemy wędrowali razem, ty, ja i księżyc. Patrz, tak już wysoko na niebie, jaki srebrny i czysty, a niebo takie błękitne i noc taka pachnąca. Patrz, oto Sfinks! Czy widzisz dziwny i tajemniczy jego uśmiech i ten czar w spojrzeniu? To jest bóstwo, które zna do dna ludzkie dusze i ich szalone, bezużyteczne namiętności i cierpienia. Ale ja i ty, mój kochanku, mój słodki, my odgadliśmy

zagadkę ukrytą w uśmiechu naszego bóstwa, naszego Sfinksa — jesteśmy teraz tak wysocy i potężni jak bogowie. Bo wiemy, że żyć należy teraźniejszością i pełnym życiem. Kochanie najdroższe moje, radością pełną żyć i pełnym życiem...

Głos jej osłabł i dolatywał go z daleka niby echo, niby jakiś przedziwny śpiew. Pawłowi opadły powieki na rozmarzone oczy i po chwili usnął.

I zdało się, że cała jasność miłości spłynęła na twarz pięknej pani. Pochyliła się nad nim i całowała go, muskała jego policzek swoim aksamitnym policzkiem, poruszała głową tak, że jego kędzierzawe włosy dotykały jej odkrytego karku. W końcu wysunęła się delikatnie i oparła jego głowę o poduszki. Nagle chwyciła ją szalona chęć tkliwych i subtelnych pieszczot. Z ruchami tygrysa i węża zbliżyła się znowu do niego. Dotykała go leciuchno samymi koniuszkami palców, całowała go w szyję, w rzęsy i brwi, w dłonie, w powieki, we włosy. Były to dziwne, niesłychanie delikatne i subtelne pocałunki, niepodobne do zwykłych pocałunków kobiet. A często w przerwach pomiędzy całowaniem szeptała słowa miłosne w jakimś dziwnym, dźwięcznym języku, muskając wargami jego uszy, to znowu oczy. A tymczasem Paweł spał spokojnie, a dokoła niego, jak obłok, unosiła się woń wschodnich perfum. Gdy się obudził, było już zupełnie ciemno — a obok niego siedziała na podłodze wśród mnóstwa poduszek jego pani i skłaniała mu głowę na ramię. A gdy patrzył na nią, dojrzał w blasku ognia z kominka, że w jej prześlicznych oczach błyszczą dwie duże, jasne łzy.

— Moja duszo, moje kochanie! — mówił tkliwie, a serce biło mu ze wzruszenia. — Co ci jest, droga moja? Dlaczego te łzy? Ach, co ja ci zrobiłem, moje kochanie, mój skarbie?

— Chora jestem — odpowiedziała. — Zaczęła płakać cicho i nie pozwoliła się pocieszać.

Paweł był zmartwiony i zmieszany. Co jej się mogło stać? Czy on zrobił coś okropnego? Jaka troska spadła na jego ukochaną, podczas gdy on spał sobie spokojnie i samolubnie? Lecz ona nic nie chciała powiedzieć oprócz tego, że jest chora i tuliła się do niego

w porywie namiętności, tak jak gdyby ktoś chciał ją wydrzeć z jego ramion. Nagle zerwała się i poszła się ubrać.

A później przy obiedzie wydało mu się, że ona ma zupełnie nową i jaśniejszą twarz niż kiedykolwiek. Była wesoła i figlarna, opowiadała mu zabawne historyjki o Paryżu i jego przyjemnościach. Tak jakby chciała wymazać wszelkie wspomnienie troski i bólu i Paweł miał wrażenie, że ona, pijąc złote wino, pije radość i spokój.

— Spójrz — rzekła, patrząc przez okno, gdy skończyli jeść — niebo przestało płakać i świecą nasze gwiazdy. Miły, chodźmy przed dom, powiedziec sobie dobranoc. Jutro też musi być dla nas wspaniałym dniem.

— Moja królowo — odrzekł Paweł — czy deszcz, czy pogoda, wszystkie dni są wspaniałe dla mnie, dopóki ciebie mogę trzymać w ramionach. Ty jesteś moim słońcem, księżycem i gwiazdami — wszystkim i na zawsze.

Roześmiała się, a śmiech jej był jak srebrne echo zadowolenia i radości.

— Paul, złoto moje — szeptała — taki byłeś dobry, taki wyrozumiały dla moich grymasów. Musisz mieć jakąś nagrodę. Słuchaj, ukochany, co mówię do ciebie.

Ale to, co mówiła, było wypisane w jego sercu.

\* \* \*

Jego pani była tak nadzwyczajnie zadbana, że to przede wszystkim podobało się Pawłowi. Nigdy nie myślał bardzo o tych rzeczach i nie zwracał na nie uwagi u innych kobiet, ale ona to była po prostu wyjątkową.

Żadna rzymska cesarzowa ze swymi kąpielami z oślego mleka nie dbała więcej o swoją toaletę, niż ona. A zawsze była jak za mgłą i on nigdy nie mógł dojść do końca jej tajemnicy. Zawsze był jakiś welon, jakaś zasłona tam, gdzie on się najmniej tego spodziewał, toteż ich godziny miłosne były wprost wrzące i oślepiające namiętnością. A gdy inni mężczyźni potrzebują całego życia, żeby zdobyć takie doświadczenie, Paweł doszedł do tego w ciągu niewielu dni.

Był to właśnie poniedziałek po dżdżystej niedzieli, gdy zaszło wydarzenie, które dało Pawłowi dużo do myślenia.

Cały dzień prawie spędzili w łodzi, bo ona chciała pływać to tu, to tam, wysiąść w jednym miejscu, żeby narwać trochę gencjan, to znowu w drugim poleżeć w cieniu drzew — dobijali do brzegu, gdzie i kiedy im się podobało. Mieli zamiar nawet przenocować we Fluel-len, gdyby im przyszła fantazja. Anna została posłana do Fluellen z ich rzeczami, oni płynęli sobie swobodnie, a niebo, ziemia i woda zdawały się do nich uśmiechać. Przed samym wyjazdem, Dymitr, zapukawszy delikatnie, wśród mnóstwa najgrzeczniejszych usprawiedliwień wszedł do pokoju Pawła. Paweł wybierał cygara z pudełka i patrzył na niego zdziwiony, gdy tymczasem stary służący zamykał drzwi.

— Cóż tam, Dymitr? — zapytał niecierpliwie.

Dymitr posunął się naprzód i Paweł zauważył, że coś trzyma w ręku. Skłonił się nisko, ze zwykłym swoim, niemal dworskim, respektem. Chwilę zawahał się, po czym zaczął mówić.

Treścią tej nieco zawikłanej mowy było stwierdzenie, że nie zawadziłoby wziąć ze sobą pistolet.

Bardzo dobry pistolet, zapewniał go, który zabierze niewiele miejsca.

Zdziwienie Pawła rosło. Brać ze sobą pistolet w spokojnej Szwajcarii? Wydawało mu się, że to nie ma sensu. — Po cóż to, na Boga żywego? — spytał.

Lecz Dymitr nie chciał dać stanowczej odpowiedzi, mówił tylko, że daleko roztropniej mieć pistolet, gdy się podróżuje samemu z kobietą.

A jednak z jego szarych oczu przebijała prawdziwa obawa.

Czy Paweł umie strzelać? I niech mu pan wybaczy to pytanie, ale, jak słyszał, w Anglii mało mają do czynienia z pistoletami, a on chciał się upewnić pod tym względem.

Tak, Paweł umie strzelać. Roześmiał się na samo to pytanie. Lecz teraz przyszło mu na myśl, że rzeczywiście nie miał wielkiej wprawy w obchodzeniu się z rewolwerem i nie dałby sobie z nim rady tak dobrze jak z flintą lub flowerem. Ale wszystko wydało mu się tak bezsensowne, że nie myślał nawet o tym specjalnie.

— Owszem, zabiorę pistolet, żeby ci zrobić przyjemność, Dymitr, ale chciałbym, żebyś mi powiedział, dlaczego mam to zrobić. Lecz Dymitr wymknął się z pokoju bez dalszych objaśnień, położywszy tylko palec na ustach. Piękna pani wydawała się jeszcze bielsza niż zwykle. Ubrana była w bladoliliowy jedwab i przywitała Paula z radością w oczach.

Gdy usiedli już wygodnie w łodzi, pozwoliła wziąć się za rękę, a z początku nie mówiła wiele; ale on już teraz rozumiał jej milczenie i nie miał żalu o nie — tak dobrym nauczycielem jest miłość w wyrabianiu przenikliwości u człowieka.

Siedział teraz, patrzył na nią i próbował zdać sobie sprawę, że to rzeczywiście on doznaje takiego szczęścia. Wreszcie jednak czujne jego oko dostrzegło jakiś niezwykle wyraz smutku na jej twarzy i dotknęło go to, że on nie wie, co ją boli.

— Kochanie moje — rzekł tkliwie — czy ja nie mógłbym być myślami razem z tobą?

Zwróciła się ku niemu, w oczach miała cień smutku.

— Nie, Paul — odpowiedziała. — Teraz nie.

— Jestem teraz w kraju skał i przesądów, niedobrym dla kochanków.

— Ależ jeżeli ty możesz tam być, to jakież dla mnie może być niebezpieczeństwo, królowo moja?

Albo przeciwnie, jeżeli jest niebezpieczeństwo, to moje miejsce przy twoim boku.

— Paul, mój słodki Paul — szeptała, a oczy jej zaszły mgłą smutku. — Myślałam sobie o tym, jaki świat byłby piękny, gdyby każdy mógł spotkać swoją bratnią duszę, swojego towarzysza, zwłaszcza wtedy, gdy tego najbardziej potrzebuje. Takie dwie dusze, jak ty i ja, mogłyby zawędrować we dwoje do raju i jeszcze znaczyć swoją drogę wielkimi czynami. Ale życie większości ludzi jest jak rwący potok, który musi płynąć tam, gdzie go coś pcha, i nie może sobie wybierać kraju, przez jaki chce przepływać, aż wreszcie dobiegnie do oceanu i zwali się w niego zmęczony. A gdyby wiedział wcześniej, dokąd popłynie, co go czeka — czy mógłby jednak zmienić kierunek biegu? Niestety, któż to może wiedzieć. Głos jej był smutny, co uderzyło Pawła boleśnie.

— Kochanie moje — rzekł — nie myśl o takich przykrych



rzeczach. Pamiętaj tylko, że ja jestem tu przy tobie i że cię kocham, kocham cię tak bardzo...

— Mój Paul — szepnęła i uśmiechnęła się dziwnym, przesłodkim uśmiechem — wiesz, że ty mi przypominasz skrzypce, na których dotychczas grywali tylko zwyczajni grajkowie swoje pospolite arie, a teraz są nastrojone dobrze i śpiewają tak cudnie pod smyczkiem artysty, co naprawdę kocha muzykę. I patrz, jakie czarujące dźwięki wydają te skrzypce, jak mogą zachwycać i zadowalać. Paul, ty do wszystkiego jesteś zdolny, piękny mój, tylko ja muszę grać smyczkiem miłości. A jakie ty postępy zrobiłeś, wielkie, wielkie postępy. Pomyśl tylko, jeszcze tak niedawno nie wiedziałeś nawet, jakiego koloru jest to jezioro, a nawet te wielkie góry i wszystko to nie mówiło nic do ciebie, było tylko miejscem do ćwiczeń sportowych. Życie dla ciebie dotychczas to było spanie, jedzenie i wyrabianie mięśni. — I roześmiała się cicho.

— Wiem, że byłem barbarzyńcą, sam zaledwie mogę sobie zdać sprawę ze zmiany, jaka zaszła we mnie. Wszystko teraz wydaje mi się tak pełne radości...

— Nawet twój sposób wyrażania zmienił się zupełnie i zmieni się jeszcze, bo nasz księżyc dochodzi do pełni, a nasza miłość rośnie.

— Czyż może rosnąć? Czy ja mogę kochać cię silniej, intensywniej niż dotąd? Chyba nie! — zawołał namiętnie. — A jednak...

— A jednak?

— O, tak, teraz już wiem. Może rosnąć, dopóki się nie stanie moim życiem.

— Tak, Paul, twoim — a jej dziwne, kameleonowe oczy nabrały wyrazu zupełnie takiego, jaki mają oczy Sfinksa. I nagle zmieniła się, stała się wesoła i roześmiana, tryskała szampańskim dowcipem, dokazywała i żartowała, gdy tymczasem biała łódź mknęła prawie bez szelestu po wodzie.

— Paul — rzekła teraz — jutro pojedziemy na Righi do Kaltbad i spojrzymy z tego szczytu na świat i na okręg berneński. To dla mnie takie wzruszenie, stać tak wysoko i patrzeć na niezmierny widok

— ale dziś będziemy się bawili na wodzie i pomiędzy drzewami.

On nie miał innych życzeń prócz tego, żeby spełniać jej życzenia,

więc wysiedli na brzeg, aby zjeść śniadanie w jednym z miłych hotelików, które stały na samym brzegu, niejako zapraszając do siebie.

Przez cały czas posiłku rozmawiała z nim z jakimś leciutkim pochlebstwem, podnosiła go we własnych oczach, tak że jaśniał jak słońce.

— Paul, mam taki kaprys, dzisiaj możesz zapłacić rachunek. Właśnie dzisiaj, bo... Ach! musisz sam odgadnąć, Paul, dlaczego.

I wybiegła na dwór i na słońce z mocno zaczerwienioną twarzą.

Lecz Paweł odgadł powód — było to dlatego, że ona teraz należała do niego. Serce mu biło z radości, któż ma prawo być bardziej dumny od niego?

Poszła już sama górską ścieżką, gdy on ją dogonił; widząc go zbliżającego się, stanęła na kamieniu i śmiała się z góry wyzywająco. A on skoczył, pochwycił ją i chciał koniecznie iść z nią, trzymając się za ręce i dać jej poznać, że jest jej panem i władcą przez siłę wspaniałej, pełnej ognia, miłości.

Powiedział, że ją ukarze, jeśli będzie uciekała od niego, lub sprzeciwiała mu się, kazał jej stawać, to znowu iść, słuchać go i nadawał sobie tony męża i księcia. A piękna pani śmiała się w radosnej ekstazie. — Ach, jak ja cię kocham, Paul, takim jak teraz, takim jak. teraz! Piękny mój! — Taki wspaniały, dziki młody chłopak, a tyle masz wdzięku, ile tylko mężczyzna mieć może. Ile razy poczuję twoją siłę, szczęście po prostu zalewa mi serce!

A Paweł, chcąc jej pokazać, że jest naprawdę silny, schwycił ją w ramiona, podniósł ją, postawił na odłamie skały i kazał dobrze sobie zapłacić pocałunkami i wiele razy powiedzieć, że go kocha, zanim wreszcie pozwolił jej zejść na dół. I taki był kaprys pięknej pani, że pozwałała na podobny stan rzeczy przez cały dzień. Lecz gdy na noc przybyli do Fluellen, mistrzowska giętokość oraz głębia jej umysłu, a z drugiej strony niepewność swej władzy nad Pawłem sprawiły, że ona znów stała się królową, a on jeszcze bardziej niż zwykle ubóstwiającym ją niewolnikiem.

Młody pan zupełnie zapomniał o istnieniu poczty, pamiętał za to o tym Thompson, a w poniedziałek znalazł okazję pójścia do Lucer-

ny i powrócił z całym plikiem listów, którymi miał zamiar uszczęśliwić Pawła po jego powrocie do Biirgenstock.

A panicz był tymczasem zupełnie nieprzytomny po nocy spędzonej we Fluellen w małym hoteliku. Jego pani była rozradowana jak dziecko i wszystko było takie małe, proste, skromne.

Nazywała to „nasz piknik”. Tylko, że to był piknik bardzo wytworny, bo Anna zabrała wszystko, czego mógłby potrzebować najwybredniejszy sybaryta do spędzenia nocy.

A tacy byli szczęśliwi! Królowa okazała się bardzo łaskawa dla swego niewolnika i pociągnęła go ku sobie jeszcze silniej niż zwykle. A tu, w Biirgenstock, gdy wszedł do swego pokoju, najpierw listy rzuciły mu się w oczy.

— Przeklęty natręt! — powiedział sobie myśląc o Thompsonie. Nie chciał pamiętać, ani wiedzieć o niczym, tylko o boskim śnie, jaki przeżywał i nie mógł się nim nacieszyć.

Wszystkie te epistoły były bardzo realne, zupełnie ziemskie! Pierwsza była od matki. Spodziewała się, że dobrze mu w Lucernie i tęskniła do jego powrotu. Sądziła, że jemu również pilno już do domu, do koni i psów. Wszystkie miewają się dobrze. Oni, rodzice, przeprowadzają się w przyszłym tygodniu do domu w mieście przy Berkeley Square, gdzie zabawią do końca czerwca. Tymczasem zaczynają się już robić przygotowania do uroczystego obchodu rocznicy jego urodzin (kończy 23 lata), który odbędzie się w Verdayne Place. Nie było żadnej wzmianki o Izabeli oprócz dopiska na końcu. Panna Waring pojechała w odwiedziny do swoich przyjaciół w Blaek-heath.

Ach, jakie to wszystko wydawało mu się dalekie! A jednak potrafiło go ściągnąć z nieba na ziemię. Następny list był od ojca. Lakoniczny, lecz zawierał to, co potrzebne. Ojciec ze swej strony spodziewał się, że syn nie traci czasu, że nauczył się, co warte jest w życiu, wyleczył się z szalonej miłości do córki wiejskiego proboszcza i przekonał, że inne oczy też umieją ładnie patrzeć. Jeżeli potrzebuje więcej pieniędzy, niech tylko szczerze napisze. Kilka listów było od przyjaciół i kolegów, wszystkie banalne i powszednie. A w końcu ostatni od Tremletta, ulubionego grooma, przepelniony wiadomościami o koniach i Piku! Przez chwilę rozczulał się nad tym

wspomnieniem — Pik! Tremlett „ośmielił się" nawet dołączyć parę zdjęć wykonanych przez swego przyjaciela. „Prawdziwy portret psa", jak się wyrażał i była to prawda. Ach, to go wzruszyło naprawdę, ta fotografia Pika.

— Kochane moje maleństwo! — powtarzał, patrząc na fotografię — kochane stworzenie.

I nagle zdjęła go chęć pokazania tych fotografii swojej pani, wrócił więc pośpiesznie do saloniku. Była tam i jej przyniesiono pocztę — podniosła głowę znad czytanego listu i patrzyła przez chwilę prawie z dzikim okrucieństwem. Lecz niezwykle panowanie nad sobą sprawiło, że po chwili już nic oprócz miłości nie było w jej oczach — on miał teraz zmysły i uwagę niesłychanie zaostrzone, więc na pierwszy rzut oka dojrzał królewską koronę na liście, który ona natychmiast złożyła i odrzuciła niedbale na bok. — Kochanie! — rzekł. — O, spojrzij, tutaj jest fotografia Pika. I gdyby to był jakiś niesłychanie ważny dokument decydujący o losie całego świata, piękna pani nie mogłaby patrzeć na niego z większą uwagą, jak na tę amatorską fotografię teriera.

— Co za miłe stworzenie — mówił. — Spojrzij na te oczy! Takie inteligentne. A ta łapka, patrz! Patrz, on nawet tak patrzy, jakby prosił, żeby go kochać. I ja go kocham.

I nie dowiedział się nigdy, dlaczego w tej samej chwili jego pani zarzuciła mu ramiona na szyję, ucałowała go z namiętną tkliwością, a oczy jej złagodniały.

— Ach, Paul — mówiła przerywanym, a jednak zawsze pięknym głosem, którym umiała wyrazić tyle rzeczy — mój młody, ukochany Paul, mój Angliku najdroższy!

Teraz zapragnęła pokazać mu tę ładniutką fermę, o której wspominała. Dzień był bardzo ciepły i przejażdżka wygodnym powozem mogła się udać doskonale. Paweł był również tego zdania. Po dość spóźnionym drugim śniadaniu wyjechali. I dwa czy trzy razy podczas przejażdżki skądś, jakby z daleka, zjawiał się w oczach pięknej pani ten dziki i okrutny wyraz, jaki miała przy czytaniu listu; Paweł dziwił się i pytał, skąd i dlaczego to się w niej bierze. Lecz ona nigdy nie pozwalała mu zagłębiać się w myślach, kim jest, ani jakie jest jej

życie. On też od pewnego czasu nie próbował tego. Dał słowo, a był prawdziwym, honorowym Anglikiem i chciał go dotrzymać za wszelką cenę.

Ale nieświadomie wyrobił sobie przekonanie, że ona musi być jakąś królową, albo księżną z jakiegoś kraju na wpół barbarzyńskiego, na wpół bardzo postępowego. Przy tym odgadywał, więcej niż odgadywał, że ona jest nieszczęśliwa i że nie cierpi tego wszystkiego, co ją otacza. Było to dowodem siły jego charakteru, że nie dopuszczał strasznej myśli o nieuniknionem rozstaniu, bo myśl ta zupełnie mogła zniszczyć obecne szczęście. Obiecał jej, że będzie żył i będzie szczęśliwy dopóki świeci słońce ich miłości i miał siłę dotrzymać słowa. — Ale jak bardzo pragnął usunąć wszystkie troski z jej drogi i jak chciał, żeby na zawsze mogła się wyrzec owego świetnego życia.

Pojechali na fermę w ciepłe, pogodne popołudnie, już trochę przed wieczorem. Piękna pani była tego dnia chyba jeszcze miłsza, niż zawsze. Była to typowa szwajcarska ferma, o jakiej się często czyta, gdzie najlepsze miejsce wyznaczono dla krów i innych zwierząt, a dalej mieści się rodzina gospodarza. Wszystko było czyste i utrzymane w wielkim porządku z tą przedziwną schludnością, która nadaje chatom szwajcarskim pozór domków dla lalek. A ludzie też byli czysti, sympatyczni i typowi w swoim rodzaju.

Więc najpierw die Bäuerin, okazała matka wielu, wielu dzieci, z których najmłodsze, nie mające więcej nad cztery tygodnie, właśnie karmiła; był to tłusty i napuszony infant w ładnej, szwajcarskiej sukience. Szeroka twarz Szwajcarki promieniała dumą, gdy witała się z piękną panią. Okazało się, że były to stare znajome i zamieniały uprzejme pozdrowienia. Oba języki nie były silną stroną Pawła, toteż prawie nic nie rozumiał z niemieckiego patois, jakim mówiła pocziwa kobieta. Lecz jego pani była bardzo wylewna i chciała wiedzieć, jak ma na imię każde z tych dzieci o lnianych włosach, najdłużej jednak uwagę jej zatrzymało na sobie niemowlę. Trzymała je na ręku. A Pawełek nigdy jej nie widział tak młodą i piękną.

Pocziwa kobieta zostawiła ich samych i poszła przyrzadzić kawę w przyległej kuchence, otoczona gromadą swoich dzieci. Tylko ma-

leństwo leżało spokojnie na kolanach pięknej pani. Nie mówiła ani słowa, nuciła tylko cichutko jakąś kołysankę, a Pawłowi przyszło na myśl, że ona jest aniołem i że ten śpiew to echo z chórów niebiańskich, słyszanych kiedyś przez nią zanim zstąpiła na ziemię.

Dziwny spokój go ogarnął, gdy siedział tak, patrząc na nią, a po głowie błąkały mu się jakieś senne, nieokreślone myśli, niby o jakichś najśłodzonych pieścizotach, o jakiejś miękkiej tkliwości, sam dobrze nie wiedział o czym.

Tymczasem kobieta wróciła z kawą, piękna pani spojrzała na niego i spotkała się z jego oczami — w jej źrenicach skupiła się cała dusza, a gdy pochylił się nad nią, szukając jej ust, szepnęła:

— Tak, kiedyś może, kochanie moje, tak...

I silny prąd sympatii, istniejący pomiędzy nimi, sprawił, że Paweł odgadł, o czym ona myśli.

Jakaś boska radość padła mu na serce i oczy zaszyły łzami. Ach, cóż to za cudowna myśl, byle mogła się kiedy spełnić.

Gdy wracali powozem, całował ją tylko bez końca, był zanadto wzruszony, żeby coś mówić.

Ta noc była najbardziej boska ze wszystkich, jakie spędzili w Burgenstock. Był w ich pieścizotach upajający eliksir życia, o którym chyba tylko aniołowie potrafiliby pisać.

\* \* \*

Czy znacie Belweder na Righi Kaltbad, czy patrzyliście z niego na rozległy kawał świata w pogodny dzień majowy, gdy powietrze jest czyste jak kryształ, a jezioro ma zupełnie kolor ultramaryny? Gdy cały Oberland Berneński wygląda jak niezmierna falująca woda: śniegi marmurowobiałe i błękitne cienie.

Czy widzieliście kolory buków, sosen, świerków, rozszumiały jak dzwony dzwoniące hasło życia siwogłowym górcom i ogłaszające weselnym hymnem, że wiosna jest wiecznotrwała, a młodość musi mieć swój dzień, choćby trzęsły się nad tym z oburzenia siwe brody i białe głowy.

Paweł i jego pani patrzyli otuleni w płaszcz milczenia. Piękna

pani mówiła, że jest wzruszona, ale Paweł nie umiał odgadnąć, jakiego rodzaju jest to wzruszenie. Byli zupełnie sami, wkoło panowała cisza.

Ukochana była dzisiaj w dziwnym usposobieniu, prawie zupełnie nie podnosiła oczu. Pawłowi przypomniawszy się dzień, kiedy ją widział po raz pierwszy i zdziwienie jego rosło: przez całą ostatnią noc czuł, że jego dusza połączyła się z jej duszą w najtkliwszym i najszczerzym związku, podniecał się rozkoszną myślą o nieustającym pragnieniu, jakie istnieje pomiędzy nimi.

I zdawało mu się, że dotarł już do najgłębszych zakątków swojej i jej duszy.

Lecz dzisiaj, gdy patrzył na jej bladą twarz przypominającą białą różę, na długie rzęsy, rzucające liliowy cień na policzki — pojął wtedy, że istnieją głębie, obszary i wyżyny, o jakich on nie może mieć nawet pojęcia. Niby jakaś ręka, zimna jak lód, dotknęła jego serca. O jakich dziwnych rzeczach ona rozmyślała? Przechylała się przez barierę, poruszyła kilkakrotnie delikatnymi nozdrzami jakby coś wietrząc i nagle rzekła:

— Paul, czyś ty nigdy nie czuł potrzeby zabicia kogoś? Czy chciałeś kiedy mieć ludzi, co dokoła ciebie żyją na swojej łasce, zdusić w nich życie, wynieść ich wysoko, albo strącić do piekła?

— Co znowu, dobry Boże! — odrzekł przerażony Paweł. Wtedy spojrzawszy na niego i dojrzał, że oczy jej pociemniały z nienawiści.

— Tak, a ja owszem, Paul. Chętnie zabiłabym jednego człowieka na ziemi, bezużytecznego, występnego i słabego, zanadto słabego, żeby zasłużył na piękną śmierć, zgniłego trupa, który psuje boży świat i staje na drodze mojego życia! Chciałabym go zabić, gdybym mogła, a dzisiaj chciałabym więcej, niż kiedykolwiek.

— Och, królowo moja, królowo! — szeptał młody chłopak znekany jej słowami. — Nie mów takich rzeczy, ty, najukochańsze moje stworzenie, ty, miłości moja... ty, która jesteś najlepszą i najtkliwszą na świecie.

— Tak, to jedna i lepsza strona mojej istoty, lecz jest jeszcze druga, którą on, ten człowiek rozwija we mnie i ta jest daleko

gorsza. Wy, ludzie ze spokojnej Anglii, wy nie macie nawet pojęcia, co to jest prawdziwa namiętność i nienawiść.

— Czy nic nie mogę zrobić dla ciebie, ukochana? — spytał Paweł. Ujrzał ją w nowej roli, w jakiej dotychczas nie widział jej nigdy.

— Ach, nie! — odrzekła, gorzko potrząsając głową. — Nie! Chroni go wysokie stanowisko. Ale w zamian za jego życie muszę mu zniszczyć los.

— Kochanie, kochanie — powtarzał Paweł, który nie wiedział, co ma mówić.

— Ale, Paul, jeżeli jeden włos z twojej głowy spadnie, ja zabiję go sama, moimi własnymi rękoma. Kiedyś Paweł widział walkę dwóch tygrysów, w jakimś przejeżdżnym cyrku, w Oksfordzie i patrząc teraz na twarz swojej pani, przypomniał ją sobie. Nie przypuszczał, że ludzkie rysy potrafią wyrazić taką dziką, straszną wściekłość. Jakiś prąd elektryczny przeleciał mu przez żyły. Tak, nie był to historyczny wybuch podnieconej kobiety, czuł, że te smukłe ręce naprawdę są zdolne zadać śmierć człowiekowi, który by ją odrywał od jej wybranego.

Ale cóż to za namiętność! Jaka siła! Nie podejrzewał jej nawet nigdy w uczuciach kobiety — a nawet w ogóle w ludzkiej istocie, chyba w bohaterach sensacyjnych powieści. Tak patrząc na nią, czuł, że i w nim mogłyby się rozbudzić podobne uczucia, gdyby ją ktoś chciał mu zabrać. Tak, w podobnym wypadku i on mógłby zabić człowieka.

Oboje milczeli przez kilka chwil; w każdym z nich wirowały namiętne myśli; nagle piękna pani pochyliła się i jak kotka otarła policzkiem o rękaw Pawła.

— Serce mojego serca — rzekła — ja sama się boję i niepokoję o ciebie. Kobiety z twojego kraju są miękkie i łagodne, ale nie znają namiętności tak jak ja, Paul, nie znają tej dzikiej siły i szału w miłości...

Paul chwycił ją w ramiona.

— Dlatego ubóstwiam cię jeszcze więcej, królowo moja, angielskie kobiety po tobie i widoku twojej przecudnej twarzy będą mi się wydawały woskowymi lalkami, w moim życiu będą to tylko cienie.



To, co mówisz, podnosi cię tylko w moich oczach, jedyna moja bogini i królowo!

Jej oczy powlokły się mgłą rozczulenia, namiętność gdzieś się z nich ulotniła, głowę skłoniła na jego piersi, gdy nagle jej błędząca ręka natrafiła na kieszeń, w której spoczywał pistolet dany przez Dymitra. Drgnęła gwałtownie i zanim zdążył odgadnąć jej zamiar, wyciągnęła broń i podniosła ją ku światłu. Twarz jej zmieniła śmiertelna zgroza i przez kilka chwil trzymała się bariery, jak gdyby bojąc się, że upadnie.

— Paul — wyszeptała zbielełymi wargami, to jest pistolet Dymitra, znam go dobrze. Skąd on znalazł się u ciebie, powiedz mi ukochany. Jeżeli ci go dał, to znaczy, że widzi koło nas niebezpieczeństwo, Paul — niebezpieczeństwo!

— Kochanie moje — odpowiedział Paweł z młodzieńczą dumą — nie obawiaj się niczego. Ja ani na chwilę nie zostawię cię samej. Potrafię cię obronić od niebezpieczeństw całego świata, ufaj mi tylko, najmilsza. Nic cię nie dotknie, dopóki ja jestem przy tobie.

— Czy ty myślisz, że ja się boję choć trochę o moje życie? — rzekła, prostując się majestatycznym, prawdziwie królewskim, ruchem. — Ty myślisz, że ja się boję o siebie samą! Ach, nie, mój ty ukochany, nigdy! Mogą mnie zabić, jeżeli im się tak podoba, ale oni tego nie robią. Ja o ciebie się boję. Tylko na myśl o twoim niebezpieczeństwie po prostu zamieram z trwogi i chciałabym paść na ziemię; tylko o tobie myślę, o nikim innym na całym świecie.

Paweł roześmiał się radośnie na jej słowa. - — Nie mam się zupełnie czego obawiać, kochanie — rzekł. — Ja sam potrafię się obronić. Jestem Anglikiem.

I pomimo nawału męczących myśli, piękna pani nie zapomniała uśmiechnąć się z tkliwością na młodzieńczą arogancję, zawartą w ostatnich słowach młodego wyspiarza. Zaiste, prawdziwy Anglik! Naturalnie uważa się za rodzaj nietykalnego bożka, któremu nie mogą zaszkodzić ataki ludzi innej narodowości. Ucieszyła się jego dumą i sama była z niego dumna. Był on rzeczywiście wspaniałym obrazem zdrowej młodości i siły, zwłaszcza teraz, gdy stał tak wyprostowany, a słońce padało na jego jasne włosy; w pełnym świetle, na tle szarych skał wyraźnie rysowały się posągowe linie jego ciała,

rzeźbione rysy twarzy, zuchwały uśmiech na ustach i płomień miłości oraz ufności we własne siły w błękitnych oczach.

Ona odpowiedziała ognistym spojrzeniem na jego spojrzenie i zdawała się być spokojna i zadowolona. Ale przez całą drogę do hotelu Kaltbad, idąc wsparta na ramieniu Pawła i rozmawiając z nim wesoło, nie przestawała rzucać szybkich spojrzeń w las po obu stronach drogi, tam zwłaszcza, gdzie zarośla tworzyły zwarte kępy.

A on nigdy się nie spytał, z jakiej strony obawia się dla niego niebezpieczeństwa. Obawa o własne życie nie zaćmiła mu ani jednej chwili — a jednak był lekko podniecony i tym gorliwiej oddawał się zwykłym przyjemnościom.

Dymitr, jak zwykle, czekał na nich w hotelu; twarz miał pogodną, lecz gdy Paweł odwrócił się na chwilę, aby zapalić cygaro, piękna pani zapytała o coś służącego w obcym języku. Widocznie odpowiedź jego była zadawalająca, bo piękna pani zdawała się odżywać i teraz siedzieli oboje na tarasie przy bardzo wesołej herbacie, ponieważ piękna pani zawiadomiła Pawła serdecznie, że jutro musi wracać do Lucerny. A jemu serce nagle przestało bić.

Powrócić do Lucerny! O Boże! Nie rozjeżdżać się, byle nie rozjeżdżać za prędko!

— Nie, nie — odrzekła i na samą myśl o tym pobladła. — Och, nie, Paul, mój ukochany, nie to — jeszcze nie! Ach! On zniesie wszystko, byle nie odjazd i nie próbował nawet jej przekonywać. Ona jest jego królową i musi wszystko wiedzieć najlepiej. Pragnął tylko dowiedzieć się szczegółowo, jak ona chce wszystko urządzić. Niestety! Nigdy już nie wrócą te same czasy, kiedy im było tak bosko!

— Musisz poczekać dwa dni tutaj, kochanie — rzekła. — Potem przyjedziesz za mną. Zostań sobie w naszym gniazdku, jeżeli chcesz, ale nie powracaj zaraz do Lucerny.

— Nie mogę zostać tutaj — odrzekł Paweł. — Och, jedyna moja! Zabijesz mnie, odbierając mi ciebie na całe dwa dni! Przecież to długie, jak całe życie, to się nigdy nie skończy.

— Jakiś ty niecierpliwy! — zaśmiała się cicho. — Nie, i **ja** przecież nie mogłabym wytrzymać, żeby ciebie nie widzieć, kochanie

moje, ale nie możemy być szaleni! Musisz zostać tu, w naszych pokojach a co rano będziemy się spotykali na łódce. Dymitr zna każdy zakątek jeziora, więc przynajmniej część dnia będziemy spędzać szczęśliwie...

— Ale noce! — odrzekł Paweł z głęboką rozpaczą w głosie. — Co ja na Boga żywego będę robił z nocami?

— Spędzaj je we śnie, moje kochanie — odrzekła piękna pani z pełnym finezji uśmiechem.

Ale dla Pawła ta myśl była bardzo marnym pocieszeniem i wbrew własnej chęci myśli jego poleciały ku tym nieuniknionym dniom i nocom, gdy... Ach, nie, nie mógł, nie miał siły wyobrazić tego sobie. Gdy ten czas nadejdzie, życie dla niego się skończy.

Sama myśl, że jutro muszą się rozstać, sprawiła, że byli ze sobą ściślej i tkliwiej, niż zwykle, w ten ostatni wieczór. Paweł nie mógł się rozstać ze swoją panią ani na chwilę nawet wtedy, gdy ubierała się do obiadu, po powrocie do Burgenstock. Dwa razy podczas, jej ubierania podchodził do drzwi i pukał, pytając żałośnie, jak długo będzie to jeszcze trwało? Aż wreszcie Anna zlitowała się i błagała panią, że poprosi go, aby wszedł, póki ona nie ułoży pani włosów. Jakaż to była radość dla Pawła! Siedział przy toalecie, bawił się drobiazgami, otwierał złocone pudełka i woniejące flakoniki z miną władcy i właściciela, a jego pani uśmiechała się radośnie. Potem mierzył na palce jej pierścionki, ale dochodziły tylko do pierwszego stawu, lub co najwyżej na mały palec i pokazywał jej to ze śmiechem — a w końcu odsunął Annę i dopraszał się, że on sam wykończy fryzurę z pięknych, czarnych włosów pani. Sprzeciwiał się dziewczynie i przekomarzał się z nią w niegodziwej francuzczyźnie, ku jej wielkiej radości, a przez cały ten czas jego pani patrzyła na niego pełnymi czułości oczyma. Paweł umiał być zachwycający, gdy chciał. Nic dziwnego, że i pani i jej służąca ubóstwiały go!

Księżyc rósł i stawał się coraz bardziej okrągły, a natomiast gwiazdy wydawały się teraz bledsze i jakby dalsze. Paweł pomyślał, że nie można sobie nawet wyobrazić nic cudowniejszego, jak ten widok z ich balkonu oblany srebrnym światłem.

I nie chciał nawet dopuścić myśli, że to będzie ostatnia noc,

którą spędzą tutaj razem, bo obawiał się, że myśl ta zepsuje radosne piękno godzin upojenia. Nigdy jego pani nie była tak słodka; zdawało się, że ta błędząca Undyna znalazła wreszcie swoją duszę i leży teraz bezoporna i zwyciężona w silnych ramionach swojego kochanka.

I tak w doskonałym spokoju i szczęśliwości przepędzili ostatnią noc na Burgenstock.

\* \* \*

Rozpacz nie do zniesienia ogarnęła Pawła, gdy następnego dnia przed drugim śniadaniem znalazł się samotnie na tarasie, usiłując na próżno wypatrzeć łódź swojej pani na błękitnym jeziorze. Silne przygnębienie ogarnęło całą jego istotę.

Było mu tak, jak gdyby mu nagle zabrakło gruntu pod nogami; czuł się bezradny, czuł, że cała dusza wyrywa mu się do Lucerny.

Zielone drzewa i jasna słoneczna pogoda zdawały się wyśmiewać z niego. Jest sam, nie ma żadnej nadziei widzenia swojej królowej przed jutrem, jutro bowiem ma się z nią spotkać w przystani.

Ale to ma być jutro, a jak przepędzi dzień dzisiejszy?

Po wczesnym drugim śniadaniu wdrapał się na ich ulubioną skałę, aż na sam wierzchołek, i tam, gdzie siedzieli razem oboje, siedział teraz sam ze swoimi myślami. I to jakimi myślami!

Kto była ta przedziwna istota, którą spotkał przypadkiem na swojej drodze? Dwa tygodnie temu był jeszcze w Paryżu, znudzony wszystkim, co go otaczało i wyobrażał sobie, że się kocha w Izabeli Varing. Biedna Izabela! Jak coś podobnego było możliwe. Jakim on był wtedy uczniakiem, dzieckiem po prostu! a teraz jest mężczyzną, zna życie w całej jego potędze i piękności. A to był cud, który sprawiła jego pani, z całą swą wrażliwością, zmysłowością i brakiem tego, co ludzie przeważnie nazywają moralnością, a jednak nic poniżającego ani szkodliwego nie było w jej wpływie, przeciwnie, całe swe usiłowanie kierowała ku temu, aby obudzić w nim miłość piękna i cześć dla rozumu. Paweł obiecywał sobie, że nigdy już teraz nie będzie myślał o marnych, przyziemnych sprawach. Poglądy jego

rozszerzyły się znacznie i rzeczywiście coraz rzadziej zdarzały mu się bezbarwne, pospolite myśli. I wśród mnóstwa innych wzruszeń zrodziło mu się w piersiach głębokie uczucie wdzięczności dla niej. Bo, odsuwając resztę na bok, czyż nie ofiarowała mu największego daru, jaki w ogóle człowiek może otrzymać — rozbudzoną duszę? Jak w tej historii o Undynie urodził się naprawdę dopiero razem z jej pierwszym pocałunkiem.

I myśli jego poleciały do późniejszych pocałunków, do tych sześciu dni, które były jedną oślepiającą błyskawicą miłości. Czyż to naprawdę już sześć dni, jak przyjechali tutaj? Sześć dni w raju!

Doprawdy, los nie może ich teraz rozłączyć. Na pewno jeszcze długie dni rozkoszy czekają na nich. Księżyc miał dopiero siedem dni, a jego pani powiedziała: „Tak jak on rośnie i nasza miłość będzie rosła”. Więc nawet przy takim obrachunku mają jeszcze czas trochę pożyć.

Paweł miał silną wolę. Postanowił wygnać z myśli wszelkie rozmyślania o przyszłości. Przypomniał sobie jej radę, wtedy, gdy miała oczy zagadkowe, jak oczy Sfinksa — jej radę, aby żyć terażniejszością, a za to życiem pełnym i intensywnym.

Był w fazie takiego uwielbienia jej, że gotów był całować szarą skałę dlatego, że ona się niegdyś o nią opierała. I składał sobie śluby, że o ile będzie mógł, zawsze będzie się starał być godnym jej wielkiego rozumu i uczucia. Pistolet Dymitra spoczywał jeszcze w jego kieszeni; wyjął go i oglądał — wszystkie sześć naboń tkwiło w lufie. Małe, zgrabne cacko zrobione w Paryżu. Była też wyryta data. Pistolet mógł mieć dopiero rok. Jakie niebezpieczeństwo oni sobie wyśnili dla niego — roześmiał się. Siedział na najwyższym szczycie skały aż do zachodu słońca, bo jakoś wzdrygał się przed pośpiechem samotnym do tych pokoi, gdzie byli tacy szczęśliwi. Ale to jest słabość i trzeba zapanować nad takim uczuciem. Po obiedzie pójdzie tam i spędzi wieczór na pisaniu listów do domu. Lecz gdy zjadł samotnie obiad, księżyc skusił go do wyjścia na taras i stał tam pochłonięty namiętnymi myślami aż do chwili udania się na spoczynek.

Nie mógł spać. Wspomnienia nie były tego rodzaju, żeby go mogły uspokoić. Wstał i przez salonik przeszedł do pokoju, który

niegdyś zajmowała jego pani. Niestety, pokój był obrabowany z jej wszystkich pięknych rzeczy. Łóżko nie posłane i zarzucone hotelowymi poduszkami bez podszewek, w nogach zsunięta niemiecka pierzyna i złożona wełniana kołdra: wszystko to wyglądało smutnie i zimno.

I bardziej jeszcze przygnębiony powrócił do swego łóżka.

Następnego dnia poranek był szary — nie padał deszcz, tylko brudne chmury włóczyły się po niebie. Pogoda nie bardzo zachęcająca do spędzania czasu w łodzi na jeziorze. Wiatr marszczył wodę w drobne fale. Czy ona przybędzie? Niepewność męczyła go niesłychanie. Był na miejscu na długo przed oznaczonym czasem i boja-żliwie wyteżał wzrok w stronę Lucerny.

Tak, jest łódź, i płynie wzdłuż brzegów, nie spóźniła się ani minutę. Ach! Jaka radość przeniknęła całą jego istotę. Płonął cały, za dziesięć minut, może prędzej, uściśnie jej rękę.

Lecz gdy łódź wypłynęła na pełne jezioro i zbliżyła się, spostrzegł, że nie ma w niej jego pani, tylko czarna sylwetka Dymitra rysowała się przy sterze. Serce Pawła zrobiło się ciężkie, jak z ołowiu. Nie mógł zapanować nad okazaniem trwogi, gdy stary służący, wyszedłszy na ląd, podał mu list. A oto co Paweł przeczytał:

*Mój ukochany! Niedobrze się czuję dzisiaj — szalone dreszcze i jakieś przeziębienie. Nie ma nic ważnego, tylko czuję, że nie mogłabym znieść zimnego wiatru na jeziorze. O pierwszej, gdy wszyscy będą na drugim śniadaniu, przyjdź do mnie przez naszą uliczkę i boczny taras. Przyjdź do mnie, nie mogę żyć bez ciebie.*

— Co się stało, Dymitrze? — zapytał trwożnie. — Czy pani jest chora, powiedz mi?

— Chora? Nie, nie chora. — odrzekł służący i tłumaczył, że przecież pan musi wiedzieć, jak bardzo pani jest delikatna i jak musi dbać o siebie w brzydką pogodę. Dodał też, że będzie rozsądniej, jeżeli Paweł zje śniadanie przed wyjazdem, gdyż chodzi o to, aby służba hotelowa nie wiedziała, że on jest w Lucernie.

Wszystko zostało spełnione według jego rad i o pierwszej przybyli do brzegu w Lucernie; Paweł pobiegł szybko, a Dymitr zdążył

przed nim, żeby zobaczyć, czy droga bezpieczna. Tak — na razie nie było nikogo i cichutko, jak widma prześlizgnęli się przez mały taras, Paweł stanął w pokoju przy oknie, a Dymitr tymczasem odchylił ciężką zasłonę u drzwi i zniknął. W pokoju było pusto i jakoś chłodno, pomimo wspaniałych wazonów z kwiatami. Tygrysia skóra i aksamitne poduszki leżały na niej jak dawniej. Zbytek i wspaniałość panowały dokoła; pokój był godną świątynią bogini i królowej.

Lecz nie było jej, tylko on sam — sam jeden, ze swoimi myślami.

Ogarniało go niewysłowione podniecenie, serce biło mu tak z tęsknoty, że formalnie się dusił. Czy to możliwe, czy to prawda, że za chwilę ona będzie w jego ramionach. Zniknie pamięć o rozłączeniu i strasznych, pustych godzinach razem z pierwszym jej pocałunkiem.

Wtem zza parawanika, osłaniającego drzwi do jej pokoju, wyszła ona — wysmukła i wiotka w czarnej, powłóczystej sukni, z twarzą bladą jak płótno, z głową owiniętą czarnym welonem. Ale nie zdoła wyrazić radości i zadowolenia, z jakim wyrzekła te dwa słowa:

— Mój Paul!

I kto sobie wyobrazi namiętą radość ich tkliwego długiego uścisku, ich rozmowę i opowiadanie o nieznośnej nocy? Jak się okazało, piękna pani nie spała również. Płakała w nocy i gryzła poduszkę, a rano była taka niedobra dla biednej Anny, że pocziwe stworzenie rozsłochało się. Rozdarła śliczną nocną koszulę i chustkę do nosa. Ale teraz on przyszedł i wróciło jej życie. Jakże cudownie brzmiały te słowa, szeptane miękkim, melodyjnym głosem i te jej boskie pocałunki, tak, że Paweł czuł się znowu uwielbianym kochankiem. Wreszcie odsunął ją od siebie i trzymając za ręce, patrzył jej w twarz. Tak, bardzo jest blada i pod oczami ma fioletowe cienie. Czy cierpi jego kochanie — czy jest chora? Ale nie, ten ogień w oczach nie dowodzi złego stanu zdrowia.

— Bałem się, moja jedyna — rzekł — że jesteś naprawdę słaba. Muszę cię pieścić i dbać o ciebie przez cały tydzień. Słuchaj, musisz leżeć na sofie na poduszkach, a ja siądę koło ciebie i będę cię głaskał i pieścił. — I tulił ją do posłania, tak jakby była dzieckiem i układał ją na poduszkach, a każde jego dotknięcie było pieszczotą.

Piękna pani rozpływała się z zachwytu nad jego siłą. Zaczynał rozumieć, że ile razy zechce, zawsze będzie mógł zapanować nad nią i rozkochać ją na nowo siłą, choćby brutalną. Wy tłumaczyła mu to sama jednego dnia:

— Widzisz, Paul, mężczyzna może zawsze zatrzymać przy sobie kochającą kobietę, jeżeli ją całuje dosyć i da jej odczuć, że nie ma co walczyć, bo on jest za silny, żeby się można mu było oprzeć.

Kobieta pragnie zawsze zależeć od swego namiętnego kochanka.

Mógłby ją nawet bić i sprawiać ból jej delikatnemu ciału; może wstrząsnąć całym jej życiem, zmienić wszystko i pozbawić ją wszystkich pozostałych przyjaciół — jeżeli tylko potrafi zainteresować ją sobą, jeżeli sprawi to, żeby głównym motywem jej życia stała się miłość, to wszystkie poprzednie rzeczy przyczyniają się tylko do powiększenia tej miłości.

Powód niewierności kobiet jest taki, że mężczyzna traktuje miłość tylko jako rzecz przypadkową i rozbudziwszy w niej chęć do namiętnych uciech, sam bardzo prędko przestaje się nimi cieszyć, wtedy kobieta zaczyna się nudzić i zwraca się w inną stronę.

Więc o ile to będzie w jego mocy, jej podobny wypadek nie grozi! On więcej niż chętnie pragnął wypełnić jej żądania. Zastanowiło go jednak podniecenie i dziwne obejście, pomyślał sobie, że inni mężczyźni, skoro się zastosują do jej wymagań, mogą wywierać większy wpływ na jej serce i na tę myśl dzika zazdrość, jak płomień, przeleciała mu przez żyły.

— Mój Paul ukochany — rzekła. — Wiesz jaki plan powstał w mej głowie? Oto, żebyśmy pojechali do Wenecji. — Do Wenecji — odrzekł Paweł w zachwyceniu. — Do Wenecji!

— Tak, nie mogę już dłużej wytrzymać w Lucernie, tak oddzielona od ciebie z nadzieją tylko bardzo ograniczonych i ukradkowych spotkań. To przecież może się sprzykrzyć. Pojedziemy do tego kraju przedziwnych rozkoszy i tam przynajmniej przez jakiś czas będziemy mogli żyć w spokoju.

Paweł nie żądał nic więcej. Zawsze pragnął widzieć Wenecję, a teraz ma ją zobaczyć razem z nią!

Ach, na samą myśl wpadał w ekstazę i krew poczyniała w nim szybciej krążyć.

— Kiedy, kiedy, kochanie moje? — pytał. — Czy jutro? Kiedy?



— Dzisiaj jest piątek — odrzekła. — Trzeba dać czas Dymitrowi, żeby wszystko urządził i wynajął dla nas pałacyk. Można powiedzieć w niedzielę, Paul. Ja wyjadę w niedzielę, a ty możesz podążać za mną następnego dnia, tak że we wtorek już będziemy razem i nie rozdzielimy się, aż... do końca.

— Do końca? — spytał Paweł z bijącym sercem.

— Kochanie moje! — szepnęła i zbliżyła twarz do jego twarzy — nie myśl nic strasznego. Powiedziałam do końca — ale los tylko wie, kiedy ten koniec będzie. Nie trzeba przemocą powstrzymywać jego ręki przez rozmyślanie nad tym. Pamiętaj zawsze, że trzeba żyć pełnym życiem, dopóki można.

I Paweł pocieszył się trochę — tylko w chwilach ciszy przez cały dzień zdawało mu się, że słyszy echo słów: do końca.

Dymitr wynalazł dla nich piękny apartament w staroświeckim pałacu przy Grand Canale.

Wygodne drzwi, wychodzące na boczny kanał, strzegły w razie potrzeby mieszkańców pałacu od ciekawych oczu, jeśliby się znalazły takie ciekawe oczy, bo w Wenecji przeważnie ludzie żyją pełną piersią i innym dają żyć tak samo, a pomimo nieustającego prawie słodkiego życia każdy woli myśleć o czymś innym, niż o wglądaniu w interesy sąsiadów.

Pieniądze oraz inteligencja wiele mogą zdziałać nawet w najkrótszym przeciągu czasu, a Dymitr posiadał obie potrzebne rzeczy na swoje usługi, toteż wszystko, nawet lokaj z Paryża i dobór służby włoskiej, wszystko było gotowe, skoro we wtorek wieczorem Paweł przybył do Wenecji.

Jakim cudem wydała mu się Wenecja!

Cudem, gdzie oczekiwało na niego upojenie serca i zmysłów.

Piątkowe popołudnie prawie całe spędził ukryty w pokoju przyległym do tarasu, a wtedy jego pani osądziła, że rozsądniej będzie, aby wcale nie powracać do Lucerny i w sobotę spotkała się z nim w ustronnej zatoce jeziora; przez parę bardzo krótkich godzin pływali razem po błękitnych wodach — nawet najśłodsza jej tkliwość i niezrównany dowcip nie mogły zupełnie zatrzeć w nim poczucia jakiegoś braku i niepokoju. A potem nastąpiły noce, okropne wie-

czory i noce rozłączenia. W niedzielę ona wyjechała do Wenecji, a po jej odjeździe Paweł przybył na jeden dzień do Lucerny i wyjechał w poniedziałek, na pozór tak samo nie złączony żadnym stosunkiem znajomości z panią Zaleńską, jak w pierwszym dniu swego pobytu.

Nie widział jej wcale od soboty. Trzy długie dni bolesnej tęsknoty. A teraz już za pół godziny będzie ją miał nareszcie w swych ramionach. Z Lucerny wyjechał w nocy, lecz nie mógł spać, tylko przyglądał się wciąż zmieniającemu się a zawsze pięknemu krajobrazowi — od Mediolanu jednak był już w takim podnieceniu, że nie mógł w sobie znaleźć żadnego zainteresowania dla uroku okolic. Coś go ciągnęło jak magnes — tam... tam... do tego centrum światła i radości, tam gdzie była jego pani.

Dymitr i włoski służący już go oczekiwali. Nie zatrzymały go ani chwilę kłopoty z bagażem i pakunkami. Zostawiono w tym celu Thompsona i służącego Włocha, a Paweł odjechał wraz ze swym starym powiernikiem.

Była może godzina siódma wieczorem, opałowe, światło zaczęło zjawiać się na niebie i odbijało się w wodzie. Paweł zatrzymał się, chwilę patrzył, po czym, schyliwszy głowę, wsiadł do zakrytej gondoli. Wszystko dokoła było zbyt piękne i cudowne, żeby choć na chwilę nie zatrzymywać uwagi, a jednak Pawełek potrzebował przede wszystkim wiosła, żeby jak najprędzej dostać się na miejsce, a nie oczu do patrzenia. Później dopiero zwróciły jego uwagę przepiękne widoki i dziwne okrzyki gondolierów. Lecz tego pierwszego wieczoru każdy nerw jego istoty drżał tylko oczekiwaniem chwili, w której nareszcie będzie mógł przycisnąć swoją ukochaną do serca.

Nie mógł zupełnie opanować niecierpliwości i gdy wraz z Dymitrem stanęli u stóp wielkich, kamiennych schodów, zaczął przeskakiwać po trzy stopnie w górę. Dymitr zachowywał dyskretne milczenie.

— Pani ma się dobrze — oto wszystko, co powiedział, obszerniejszych informacji nie chciał dostarczyć. Otworzył wielkie podwójne drzwi kluczem i Paweł znalazł się w obszernym hallu prawie zupełnie nie umeblowanym, z wyjątkiem kosztownych obić na ścianach, wielkiej, połączanej skrzyni wyprawnej i paru krzeseł. Sala

była skąpo oświetlona, miała coś ponurego i mrocznego w wyglądzie.

Przez długie drzwi weszli do mrocznego i ogromnego salonu, a potem upojenie i niebiańska radość ogarnęły Pawła, bo zbliżyli się do świątyni bóstwa — był to mały pokoik, którego okna wychodziły na Wielki Kanał, oświecony teraz zachodzącym w całym przepychu słońcem, które przez okno balkonowe zalewało również cały pokój.

A w pokoju, w najwykwintniejszym, jakie sobie można wyobrazić i bardzo staroświeckim otoczeniu, wśród swoich własnych zbytkownych drobiazgów, jego pani podnosiła się z tygrysiej skóry, idąc mu na spotkanie.

I rzeczywiście wydawała się królową, gdy wreszcie wziął ją za ręce i odsunął na długość ramion, aby się jej dobrze przyjrzeć. Była już ubrana na obiad w przepysznej sukni z mieniającej się purpurowej materii, z ramion dwoma długimi końcami spływał gazowy, seledynowy szal przetykany złotem, na szyi i w uszach lśniły wielkie szmaragdy.

Zniknęła cała prostota z Biirgenstock. Kwiatów było mnóstwo, wyszukanych i upajających wonią; poduszki na tygrysiej skórze bez porównania wspanialsze niż zwykle. Złote i srebrne tkaniny i przedziwne zasłony z pomarańczowego i zielonego aksamitu, to znowu śliczne, pąsowe abażury, istne cacka. Na sofach pokrycia z bezcennego brokatu, gęsto tkanego złotem, a na inkrustowanym stoliku pudełko do cygar, wysadzone drogimi kamieniami, taka sama bombonierka oraz kryształowy flakon do perfum.

Jej powierzchowność również się zmieniła. Przybrała zupełnie nowe kształty i gdy Paweł poznał już historię sławnych kobiet z weneckich rodów zauważył, że ona miała teraz w sobie coś z ich egzotycznego wyrafinowania w rozkoszy jak i wyrafinowania umysłowego.

Miał nową królową, którą mógł ubóstwiać — za taką panią gotów był umrzeć, gdyby zaszła potrzeba. Nawet już w pierwszych momentach czuł niejasno, że tutaj będzie mu dane poznać jeszcze głębsze tajemnice życia i namiętnej miłości.

— Nieoceniony mój — rzekła wolno. — Nareszcie mam cię

znowu, nareszcie wracasz mi życie. Ach, nie mogę uwierzyć... muszę się przekonać, że to naprawdę ty jesteś, Paul!

Siedzieli na tygrysiej skórze, a ona owijała się dookoła niego, dotykała jego ubrania, twarzy i włosów, tak jak niewidoma, w końcu okręciła się dookoła niego zupełnie jak wąż. I teraz przy najlżejszym poruszeniu zachodzące słońce zapalało ostre błyski w wielkim szmaragdzie nad czołem. Szmaragdy wydawały się teraz jaskrawo zielone, a refleksy tego odbijały się w jej oczach.

Pawłowi kręciło się w głowie. Był jak ogłuszony piorunem.

— Wenecja jest stworzona dla ciebie i dla mnie, Paul — rzekła. Powietrze tu jest pełne miłości i rozmarzenia; w Szwajcarii zostawiliśmy księżyc mniejszy, tu już zbliża się do pełni i lato nad nami z całym swym bogactwem i dojrzałością — wiosna naszej miłości już minęła.

Głos jej opadał w rytmicznych kadencjach, jak gdyby szeptała jakieś natchnione proroctwo.

Obiad jedli na tarasie. Spuszczone zasłony chroniły ich od oczu ciekawskich z sąsiednich pałaców, lecz nie ochroniły od miękkich dźwięków pieśni, śpiewanych przez gondolierów. A z muzyką mieszał się miarowy plusk wody i dźwięczne okrzyki wiosłujących.

Jedzenie było wyszukane, zaczęło się od rzadkich ryb i mnóstwa przystawek, nieznanych w znacznej części Pawłowi. Do tego podano koniak i wódkę w paru gatunkach. Piękna pani kosztowała z niektórych dań, inne odsuwała prawie nietknięte.

Z grupy srebrnych zabawnych amorków tryskała fontanna z ulubionym zapachem pięknej pani, cały stół zarzucony był czerwonymi kwiatami.

Dymitr i dwaj włoscy służący stali w pogotowiu i wszystko było podawane z największym pośpiechem.

Królewski przepych panował w otoczeniu i królewską minę miała piękna pani. Mówiła o wspaniałej przeszłości Wenecji i starała się dać uczuć Pawłowi subtelny czar tej epoki namiętności i bujnego życia. Tu scena miłosna, a tuż obok morderca. Mówiła mu o mądrości i występkach, o upajających wzruszeniach, wszystko przesuwano się w jaskrawym kalejdoskopie.

I na nowo zdumiała Pawła jej rozległa wiedza — zdawało się, że najdrobniejszy szczegół z historii nie jest jej obcy i żadnego nie opuszcza, tak że i jemu zdawało się w końcu, że żyje w tamtych czasach i sam jest dożą.

Gdy wreszcie zostali sami, rozkoszując się złotym winem, ona wstała i podprowadziła go do balustrady. Dymitr rozsunał zasłony i pogasił światła — scenę oświecał tylko księżyc, wspaniały, jasny księżyc, już od dwóch dni będący w pełni. Świecił im prosto w twarz, jak gdyby chcąc ich podrażnić w tym kraju romansów.

— Kochanie moje — rzekł — tutaj jest lepiej niż w Biirgenstock. Chodźmy nad wodę i popłynemy gondolą. Było bardzo ciepło w tych ostatnich dniach maja, a tej zwłaszcza nocy nawet najłżejszy zefirek nie marszczył powierzchni wody. Leciuchny płaszcz i czarny gazowy szal osłoniły trochę wspaniałą toaletę pięknej pani, po czym, trzymając się za ręce, zeszli po kamiennych schodach do czekającej na nich otwartej gondoli. I Paweł poznał nową rozkosz, płynąc z ukochaną kobietą w objęciach, oparty o aksamitne poduszki przy dźwiękach muzyki i migotaniu różnokolorowych latarek wśród czerwonych dekoracji. Jego pani była z początku milcząca, po chwili zaczęła mu szeptać miłosne słowa. Nigdy dotychczas nie była tak wyzywająca — i teraz on musiał mówić do niej — trzymając ją za rękę, musiał mówić namiętne słowa, zapalające imaginację i podniecające zmysły. Zdawało się, że wszystkie minione noce miłości skoncentrowały się w tej jednej najdoskonalszej. Niepodobna wyrazić dzikiej egzaltacji, jaka ogarnęła Pawła. Nie był już Pawełkiem Verdayne, zwyczajnym sobie młodym Anglikiem, był bogiem — a dokoła niego był Olimp.

— Spójrz, Paul — rzekła w końcu. — Czy nie mógłbyś teraz dojrzeć Desdemony, wychylającej się z balkonu w swoim starym domu? I pomyśleć sobie, że ona nie będzie już szczęśliwa, bo jej Murzyn zadusi ją tej nocy! Śmierć bez rozkoszy. Ach, to okrutne! Bywają rozkosze, warte śmierci, czy nieprawda, mój kochany? My chyba wiemy o tym.

— Warte śmierci i wieczności — odpowiedział Paweł. — Za jedną taką noc, jak ta, spędzoną z tobą, mężczyzna sprzedałby swoją duszę.

Gdy zakręcali na szerszym miejscu, aby powrócić do pałacu, spostrzegli drugą gondolę, która ich ścigała, trzymając się ciągle w tej samej odległości. W gondoli siedziały dwie wysokie postacie, pochylone i zajęte rozmową.

Piękna pani szepnęła po włosku jakiś rozkaz gondolierowi, a ten zatrzymał gondolę tak nagle, że następna, nie mogąc się od razu powstrzymać w rozpędzie, zbliżyła się trochę, po czym zatrzymała się także. W tej chwili księżyc oblał jasnym światłem twarze obu mężczyzn wychylających się, aby dojrzeć co się stało. Jednym z nich był Dymitr, a drugim młody człowiek o czysto wschodnim typie, którego Paweł nigdy nie widział dotychczas.

— Aleksander! — zawołała piękna pani z gniewnym zdziwieniem — Aleksander! A oni nic mi nie powiedzieli. Drżała na całym ciele, a oczy jej były jak dwa zielone płomienie, gorejące podnieceniem i gniewem. — Jeżeli to bez koniecznej potrzeby, to zapłacą mi dobrze za to.

Płaszcz zsunął się jej trochę z ramion, ukazując purpurową suknię i migocące szmaragdy. Wyglądała jak piękna, barbarzyńska królowa. Taką mogła być Kleopatra, skazująca na natychmiastową śmierć niewolnika, który ją obraził. Paweł miał wrażenie, że w nocy podniecona wyobraźnia maluje mu jakieś fantastyczne obrazy. Wszystko to było chorobliwym snem, zrodzonym z jakichś egzotycznych wzruszeń, a ostatnia scena przewyższała wszystkie inne pod tym względem.

Ale kto to był Aleksander? I co miała przynieść jego niespodziewana obecność? Jakieś rozwiązanie wszystkich wypadków? Piękna pani nie mówiła już nic więcej, tylko po drganiu jej nozdrzy i błysku w oczach mógł poznać, jak bardzo była poruszona.

Tak, przynajmniej jeden z tych ludzi dostanie cięcie batem, jeżeli się okazał zbyt gorliwy w wypełnianiu swych obowiązków.

Gdy mijali San Georgio, ona, nie dbając widocznie czy też chcąc okazać, że nie dba o nic, kazała nagle skrócić ku lagunom. Było już późno i myśli Pawła zwróciły się ku upragnionym, a większym rozkoszom. Tęsknił do chwili, kiedy ją będzie mógł wziąć w ramiona trzymać ją, całować i ogarniać ją całą. Lecz ona siedziała niepo-

ruszenie, wysoko podniósłszy małą główkę, a oczy jej były tak zuchwałe i dumne, że chłopiec nie śmiał odezwać się ani słówkiem.

Lecz gdy spostrzegła, że służący już jej nie śledzą, zmieniła się nagle, stała się giętka i kusząca jak wąż i ile tylko miłości zmieścić się może w namiętnych słowach i uściskach rąk, tyle jej dała Pawłowi, rozkazawszy gondolierom jak najspieszniej powracać do pałacu. Zdawało się, że ona już dłużej nie może opanowywać swej niecierpliwości i jak najprędzej chce być w ramionach kochanka.

— Nie będę się ich dzisiaj wypytywała — rzekła, gdy przybyli do domu i zobaczyła Dymitra oczekującego na nią na schodach. — Dziś będziemy żyli tylko dla siebie i kochali się, Paul, w jednej oślepiającej błyskawicy namiętności.

Lecz nie mogła zapanować nad groźnym płomieniem, jaki strzelił z jej oczu i zdawał się unicestwiać starego służącego. Ten upadł na kolana, szepcząc w pokorze jakieś błagalne słowa.

A Paweł, choć były wymówione w obcym języku, zrozumiał i domyślał się, że one znaczą: „Wasza Królewska Wysokość” i wielkie zdumienie ogarnęło duszę młodego chłopca.

Kolację znowu podano na tarasie, a tej weselnej uczcie akompaniował śpiew i muzyka pod oknami. A później Paweł dowiedział się, co to jest najdziksza namiętność i jak światło księżycowe niepostrzeżenie zamienia się w słoneczne — jak woda w wino.

\*

Dla niektórych natur pewność położenia nie ma powabu — miecz Damoklesa, zawieszony nad ich głowami, dodaje wyrafinowanego smaku ich rozkoszom. Do takich natur zdawali się należeć Paweł i jego pani. Niesłychaną przyjemność znajdowali w pochylaniu się nad przepaścią, która dlatego wydawała im się pociągająca, że niebezpieczna i nieznana.

Pierwsze śniadanie następnego dnia zjedli dopiero po południu, a potem ona kołysała go do snu.

— Tacy jesteśmy zmęczeni, mój ty ukochany — mówiła piękna

pani. — Śpijmy teraz na jedwabnych poduszkach, prześpijmy te nudne, ciężkie popołudniowe godziny, a gdy słońce będzie już trochę niżej i przestanie palić, pójdziemy na Piazzę.

Jakieś rozkoszne rozleniwienie ogarnęło Pawła. Niczego więcej nie pragnął, jak zostać tutaj, w tym wonnym półcieniu, tak blisko ukochanej, że wystarczyło mu wyciągnąć rękę, aby dotknąć jej jedwabistych włosów. Słodki sen pochylił się nad nim, a dokoła wszystko było zapomnieniem i spokojem.

Piękna pani leżała nieruchomo, tylko oczy jej błyszczały spod przymkniętych powiek. Lecz gdy tylko dojrzała, że Paweł śpi głęboko, wstała natychmiast i cofnęła się do pokoju, do mrocznego, wielkiego pokoju, dokąd przyzwała Dymitra i kazała mu wezwać człowieka, którego wczoraj nazwała Aleksandrem. Po chwili wszedł ten ostatni, płaszcząc się i gnąc w ukłonach aż do ziemi. Ucałował brzeg jej sukni z niemą adoracją w ciemnych oczach, z których wyglądała psia wierność i oddanie się — na czole i brązowym policzku miał blizny.

Wypytywała go z królewską miną, a on odpowiadał pokornie i trwożliwie. Dymitr stał obok, utkwivszy niespokojny wzrok w jego twarzy. Z kolei on zabrał głos.

O jakim niebezpieczeństwie ostrzegali ją ci dwaj wierni słudzy? Jeden z nich przybył z bardzo daleka, zdaje się jedynie w tym celu. Ona, bądź co bądź, przyjmowała ich słowa z wielką nieufnością. Z początku mówiła bardzo dumnie, a oni korzyli się jeszcze więcej.

Wtem zjawiła się Anna i dołączyła swoje błagania do ich próśb, aż wreszcie pani, jak rozgniewane pieszczone dziecko, wypędziła ich z pokoju, jak stadko kurcząt, już śmiejących się, a ze łzami w oczach. Wtedy zacisnęła pięści z wściekłości, a po chwili wróciła do Pawła, który jeszcze spał.

Tu siadła i patrzyła na niego oczyma pełnymi miłości.

Zmienił się stanowczo przez tych osiemnaście dni od dnia, kiedy widziała go po raz pierwszy. Twarz miał szczuplejszą, a prześliczne młodociane rysy zdawały się jeszcze delikatniej rzeźbione. Lecz tak śpiący, jak przebudzony miał teraz bardzo uduchowiony wyraz twarzy — spróbował owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego.



Piękna pani pochyliła się nad nim i pocałowała go lekko we włosy. Potem położyła się obok niego i po chwili także zasnęła.

Była szósta godzina, gdy się obudzili. Paweł pierwszy, i jakaż była jego radość, że mógł uklęknąć przy niej i budzić ją przez kilka sekund, zanim rozchyliły się jej powieki.

Teraz ona z kolei była zmęczona i leniwa. Była jak dziecko znużone płaczem, które w tym płaczu usnęło. A gdy nisko opuściła głowę, opartą na splecionych ramionach, było w jej twarzy coś tragicznego.

Paweł patrzył i patrzył. Jak on ją ubóstwiał, tę swoją zuchwałą, dumną, piękną królową!

Dała mu największy dar, ona, która mogła sobie wybierać kochanków z całego świata, a wybrała jego.

Jakie biedne i głupie były jego myśli w poprzednim życiu, wszystkie ograniczone przesadami i ciasną pewnością siebie. Teraz cały świat jest dla niego księgą i kiedyś dowiedzie, że był godny jej wspaniałych, mądrych nauk i będzie musiała w niego uwierzyć. Lecz czym odpłaci jej za boski dar rozbudzonej duszy? Ukląkł, pochylił się i ucałował jej stopy z najwyższą czcią. Nie poruszyła się.

Była tak bardzo blada, że na chwilę ogarnęła go trwoga i pocałował ją w usta.

Prześliczne jej oczy otwały się, ale bez tego wyrazu przestrachu i zdumienia, jaki mają zwykle ludzie obudzeni nagle ze snu. Zdawało się, że nawet śpiąc, czuła obecność kochanka. Usta jej rozchyliły się uśmiechem, a długie rzęsy znowu opadły na policzki.

— Najmilszy mój — rzekła — ty chyba mógłbyś mnie obudzić ze snu śmiertelnego. — Ale my jeszcze żyjemy, Paul, nie marnujmy dłużej czasu na sny.

Ubrali się pospiesznie i wcześniej znaleźli się w gondoli w drodze na Piazzę.

— Paul — rzekła i ręką- zakreśliła półkole — jak ja się cieszę, że widzisz Wenecję teraz, kiedy już twoje oczy wiedzą, co z niej zabrać, kochanie moje. Dawniej nie powiedziałaby ci nic. Naprawdę, mój Paul, dawniej przyjechawszy tutaj, przede wszystkim rozmyślałbyś nad tym, w jaki sposób tutaj można mieć dosyć ruchu i ćwiczeń, skoro tak mało jest miejsca do chodzenia. Potem kupiłbyś

Murzyn-

ka dla swego ojca, parę weneckich luster dla ciotek, a być może, tak, na pewno kawałek weneckiej koronki z wyrobów pana Jesurum, a dla przyjaciół parę cacek dętych ze szkła. Spacerowałbyś po placu św. Marka i myślałbyś sobie, że jest to właściwie dziura z nierównym brukiem i zauważyłbyś, że na skwerze jest „dziwnie dużo gołębi”. Potem skrytykowałbyś jedzenie w hotelu, zrzędziłbyś na kelnerów, zwymyślał biednego Thompsona — i w końcu wyjechał do Rzymu!

— Ach, kochanie moje! — odrzekł Paweł, śmiejąc się i próbując protestować. — Doprawdy, doprawdy, ja nigdy chyba nie byłem taki, jak ty opowiadasz, nie mogę już teraz wyobrazić sobie tego — a jednak czuję, że ty mówisz prawdę. Jak ja ci dziękuję za to, że dałaś mi oczy i rozum.

— Patrz, patrz, ukochany — przerwała.

Szli teraz przez Piazzę; Pawła fascynowały gołębie. Idąc kupili ziarna i karmili chciwe stworzonka, przyzwyczajone do hojności podróżnych. Parę z nich, zuchwalszych od reszty, usiadło na kapeluszu i ramionach pięknej pani i delikatnie spomiędzy jej czerwonych warg wybierały ziarnka, jakie trzymała w zębach, a Pawełek poczuł, że jest zazdrosny nawet o ptaki i pociągnął ją, żeby obejrzeć Cam-panilę. Obejrzel ją dokładnie, patrzyli na lwa, a wreszcie weszli do kościoła św. Marka.

A tu Paweł trzymał jej ramię i patrzył z bijącym sercem. Wszy- ' stko było takie piękne, przedziwne i nowe dla jego oczu.

Rzadko dotychczas bywał w katolickich kościołach, a takiej okazałej, z bizantyńskim przepychem zbudowanej świątyni, nie widział dotychczas nigdy. Nie mówili prawie nic do siebie, ona nie chciała męczyć go szczegółami, jak przewodnik — odłożyła to do późniejszych odwiedzin — teraz niech zobaczy tylko wspaniałą całość, niech świątynia wstrząśnie jego duszą.

— Oni tu czcili Boga i własną chwałę i obdarowali swoją świątynię złotem i klejnotami — szepnęła — a prosto stąd szli do Pałacu Dożów i wkładali w paszczę lwa słowa skazujące na śmierć, albo na zniszczenie najlepszych ich przyjaciół! Wspaniały naród ci dawni Wenecjanie! Dumni i podstępni, okrutni i namiętni, a zawsze w oczach i na ustach z przenikliwym uśmiechem — nawet w sprawach miłosnych. Nieraz myślę sobie, Paul, czy my nie jesteśmy

zanadto przycwilizowani, my, ludzie współcześni. Myślimy za dużo o ludzkich cierpieniach i zamiast starać się wzmocnić nasze nerwy, my rozwijamy je w takim kierunku, żeby jeszcze więcej cierpieć. — A wyobraź sobie, jeszcze za czasów młodości mego dziadka, mieliśmy poddanych i niewolników! I ja jestem z tamtych czasów, chociaż już minęły — uderzyłam Dymitra.

Nagle przestała mówić jakby spostrzegłszy się, że zanadto się zdradza. Dziwny, królewski jakiś wyraz pojawił się w jej oczach, gdy spotkała się ze wzrokiem Pawła — zastąpił go po chwili wyraz nieufności. Paweł był poruszony. Chciał coś mówić, lecz przypomniał sobie własną obietnicę, że nie będzie jej nigdy pytał i zamilkł.

— Tak, Paul — obiecałeś, wiesz dobrze — rzekła:

— Ja jestem twoją miłością, twoją miłością, lecz czy będę żywą, czy umarłą, nie możesz starać się więcej dowiedzieć! — Ach! — krzyknął — torturujesz mnie, mówiąc w ten sposób! Żywą, czy umarłą. Mój Boże! to znaczy, że my oboje... bo będziemy żyć, albo zginiemy razem.

— Drogi mój — miękki jej głos przybrał ton bardzo poważny — dopóki los pozwoli nam żyć razem, to tak, razem żyć i umierać będziemy, lecz jeżeli będziemy musieli rozjechać się, to jedno stanie się przyczyną śmierci drugiego, przy poszukiwaniu i badaniu — nie zapominaj o tym nigdy, mój ukochany. Słuchaj! — oczy jej nabrały nagle wyrazu dumy — pewnego razu czytałam waszą angielską książkę: „Dama i tygrys”. Czy pamiętasz ją, Paul? Ona musi wybierać komu ma oddać swego kochanka — śmierci i tygrysowi, czy też innej, piękniejszej od siebie kobiecie. I zostawiono czytelnikom do zadecydowania, jaki koniec wybrać. Różne były dysputy i różnie stawiano kwestię, jedni byli za pierwszym wyborem, inni za drugim — ale dla mnie nie było tu najlżejszego wahania. Ja wolałabym cię oddać tysiącom tygrysów, niż innej kobiecie — tak samo, jak tysiąc razy oddałabym życie za ciebie, mój ukochany.

— Najdroższa — odrzekł Paweł — i ja za ciebie, moja dumna, wspaniała królowo. Ale dlaczego my mówimy o tych strasznych rzeczach. Czy nie jesteśmy szczęśliwi dzisiaj i czy nie powiedzieliśmy sobie, że będziemy żyć razem, dopóki będzie można?

— Chodź! — rzekła i wsiedli znowu do gondoli i popłynęli ku lagunom. Lecz gdy się już tam znaleźli daleko od świata, ona znowu zaczęła mówić do niego poważnie. Musi jej obiecać, że coś zrobi ze swoim życiem, że będzie ono pożyteczne i wielkie.

— Nie możesz płynąć z prądem, Paul, jak wielu z twoich rodaków, musisz zatamować rozwój dekadencji waszego narodu i być dzielnym człowiekiem. Mnie, gdy czytam teraz o Anglii, wydaje się zawsze, że wszyscy wasi dziedziczni spadkobiercy wielkich nazwisk, powiedzieli sobie, jak Ludwik XV: „Apres moi le deluge”. — Razem ze mną świat się kończy — oto ich motto. Paul, dopóki ja żyję, największym szczęściem będzie dla mnie, jeśli ty będziesz dzielny i wielki, skarbie mój. Muszę wiedzieć, że to, co kochałam, nie tylko miało ponętą łupinkę, ale i owoc był piękny, że nie kochałam pięknej lalki, której umysł zdołałam rozjaśnić tylko na chwilę. To jest smutek, Paul, może największy ze wszystkich, wiedzieć że dusza, którą się obudziło, rozświeciło blaskiem wiecznej mądrości, podniosło do najwyższego punktu, że ta dusza zasypia znowu, schodzi do poziomu przeżuwającego zwierzęcia, zaczyna żyć dla polowania, koni i psów, nie dąży do innego celu, jak do własnej poziomej przyjemności. Ach! Paul! — mówiła z nagłym przyływem namiętności — wołałabym raczej, żebyś umarł, umarł albo był zimny dla mnie, niż miałabym dowiedzieć się, że stajesz się znowu takim całkowitym nic — rzeczą, która prędzej czy później pójdzie w nicość i zupełnie zostanie zapomniana przez ludzi.

Na twarzy jej płonął ogień. Szlachetne rysy, brwi ściągnięte, płonące oczy i mądre czoło na zawsze pozostały w pamięci Pawła, bynajmniej nie tylko jako obraz ukochanej kobiety. Któż, kto ją znał, tę wspaniałą kobietę, mógłby mieć marne i pospolite myśli?

— I uwielbienie jego rosło i rosło.

\* \* \*

Tego wieczoru, gdy po obiedzie patrzyli z tarasu na Canale Grandę, a księżyc świecił tak, że było jasno jak w dzień, Dymitr pokornie poprosił o pozwolenie wejścia. Piękna pani odwróciła się

z królewskim gestem i patrzyła na niego płonąącym wzrokiem. Jak on śmiał przerywać ich szczęśliwe godziny jakimiś ziemskimi sprawami.

Wtem zauważyła, że on wzdraga się wobec Pawła i że twarz ma szarą ze strachu.

Paweł zrozumiał sytuację i odsunął się na bok pod pretekstem, że wychyliwszy się przez okno, chce patrzeć na przepływające gondole; choć był roztargniony, jednak jego uwagę zwróciła gondola, która stała niedaleko pałacu i zajęta była przez jedną tylko postać ludzką, spoczywającą na siedzeniu.

Gondola nie była oświetlona kolorowymi latarkami, nie było też na niej wesołych muzykantów, stała czarna, milcząca i nieruchoma, objęta w posiadanie przez jednego tylko człowieka.

Dymitr szeptał coś, a piękna pani słuchała i dreszcze gniewu przebiegały jej smukłe ciało.

Potem nagle odwróciła się i patrzyła na czarną gondolę a w oczach jej zjawiała się taka sama burza gniewu i nienawiści, jak niegdyś na Righi Kaltbad Belvedere.

— Czy zabić tego nędznego szpiega?

— Aleksander zrobi to tej nocy — mówiła syczącym szeptem przez zaciśnięte zęby. — Lecz jaki cel tego? Jeden dzień będzie można odetchnąć swobodnie, a potem trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z innym, i znowu z innym.

Dymitr wyciągnął błagalnie rękę, chcąc ją odsunąć od otwartego okna, gdzie stała w pełnym świetle, jak cel spojrzeń dla tajemniczego strażnika z gondoli. Lecz ona odsunęła go z wściekłością i wzięła Pawła za rękę.

— Chodź, kochany mój — rzekła — nie będziemy już patrzeć na tę zdradliwą okolicę, pełną widm popełnionych morderstw i strasznych scen. Wróćmy do naszej świątyni i odrzućmy od siebie wszystkie sprzeczki; będziemy sobie siedzieli na naszej tygrysiej skórze i zapomnimy nawet o księżycu.

Ukochany mój, chodź.

I prowadziła go ku otwartym drzwiom, lecz jej ręka, którą go trzymała, była zimna, jak lód.

Pawła ogarnęło ogromne wzruszenie. Zrozumiał teraz, że niebezpieczeństwo jest blisko, zrozumiał, że są śledzeni przez kogoś, lecz przez kogo? Z rozkazu jej męża? Ach, ta myśl przyprawiała go

o szaleństwo, jej męża! Ona, jego własna kochanka, dusza jego duszy, jego duszą i ciałem i tylko jego, prawnie należy do kogoś innego! Jakiś zły człowiek, którego ona nienawidzi i przeklina, ten „zgniły robak psujący ziemię Bożą”. A on, Paweł, nie był w stanie zmienić tego faktu, był bezsilny, mógł tylko kochać ją i umrzeć za nią, jeśliby to miało być dla niej dobre.

— Królowo — rzekł zmienionym z namiętności i bólu głosem — opuśćmy Wenecję, opuśćmy Europę zupełnie — pozwól mi zabrać cię do jakiegoś spokojnego kraju, żyjmy tam bezpiecznie i w radości, aż do końca naszych dni. Ty będziesz zawsze moją królową i panią mojej duszy.

Położyła się sama na tygrysiej skórze, układała się przez długą chwilę i wiała się po miękkim posłaniu, zatapiając palce w długi włos. Nagle otworzyła szeroko ramiona, pociągnęła Pawła ku sobie i poczęła go namiętnie ścisnąć.

— Mój ulubiony, mój ukochany, drogi, złotko moje — szepnęła w upojeniu. — Gdybyśmy byli jakimiś mniej ważnymi osobami, tak, moglibyśmy się ukryć i żyć sobie w namiocie pod gwiazdami, ale nie jesteśmy takimi ludźmi. Oni wysłedziliby mnie i schwytaliby nas w pułapkę i prędzej czy później nastąpiłby koniec, sromotny koniec życia w niełasce. — Przytuliła się mocniej do niego i szeptała mu prosto do ucha swym cudownym głosem nabrzmiałym miłością.

— Najmilszy mój, słuchaj! Jedna przede wszystkim zajmuje mnie myśl, jedna cieszy nadzieja i jedno pragnienie tkwi w sercu, że kiedyś syn nasz wstąpi na tron, który mu się godnie i prawnie należy, toteż możemy myśleć tylko o sobie, Pawełku. Tron ten jest teraz obsadzony w najgorszy sposób i utrzymuje się tylko wpływami mojej rodziny. Inaczej nasi potężni sąsiedzi mogliby uzyskać nad nami znaczną przewagę. Nie myśl, że ja chcę popełnić oszustwo. Nie, mam prawo szukać dziedzica, gdzie zechcę, wspaniałego następcę, który powróci świetność naszemu krajowi, miłość nas natchnęła, w miłości poczniemy to dziecię, które musi otrzymać dary bogów. Ach, pomyśl o tym, Paul. Śnij o tej łądości i dumie, ona nam pomoże znieść nieszczęścia, jakie będziemy musieli przecierpieć.

Głos jej przenikał do głębi serca, lecz zanadto był wzruszony, żeby móc od razu odpowiedzieć.

Wznowienie tej myśli rozbudziło

jego prawdziwą duszę. Wszystko, co było wielkiego i szlachetnego w jego naturze, zbudziło się i rozśpiewało triumfalnym hymnem radości.

Syn jego i jej zasiądzie na tronie! Ach, Boże, gdyby tak mogło być naprawdę.

— Kocham Anglików — szeptała — znałam mężczyzn ze wszystkich narodowości, ale najbardziej kocham Anglików. Są prości i sprawiedliwi, a nie brak im przenikliwości. Są dzielni, energiczni, uczciwi i otwarci, nie znają co trwoga. A nasze dziecko Paul, musi być najwspanialszym człowiekiem ze wszystkich. Ukochany mój, nie myśl, że ja mam wizję, nie sądź, że jestem kobietą, która marzy o tym, co nigdy się stać nie może, ja widzę to, ja wiem o tym. Musi się stać tak, jak mówię i w tym oboje znajdziemy pociechę.

Długo jeszcze szeptała, Paweł był oszołomiony tą radością i chwałą, zapomniał o czasie, miejscu, gdzie się znajduje, o niebezpieczeństwie i możliwym rozstaniu. Triumfalny chór anielski śpiewał mu w głowie jakąś rajska melodię. Potem czytała mu wiersze i pozwoliła pieścić się i uśmiechała się w jego ramionach. Lecz gdyby się obudził nad ranem, znalazłby swoją panią cicho płaczącą.

Było to pożegnanie silnej i potężnej duszy ze szczęściem, ból niesłychanie intensywny i skoncentrowany, który na zewnątrz objawiał się tak spokojnie.

\* \* \*

Pełnia księżycą doszła do szczytu. Ranek bez jednej chmurki obiecywał wspaniały wieczór.

Kochankowie obudzili się wcześniej i zjedli śniadanie na tarasie zamienionym w oleandrowy gaik.

Piękna pani była w zachwycającym, słonecznym humorze i nikt by nie poznał po niej troski i myśli męczących ją w bezsenność. Była na przemian swawolna i dziwaczna — to czarowała Pawła słodyczą, to dokuczała mu, ciągnąc za włosy. Nie odstępowała go ani na sekundę, zdawało mu się, że chce go nauczyć jeszcze subtelniej szych i wyszukańszych pieszczot i wywołać jeszcze silniejsze cienie wzruszenia i błyski namiętności

w oczach. Z jej oczu zniknęła wszelka trwoga, pozostał tylko świetny blask. Śmiała się i przymykała powieki z kuszącym uśmiechem. Wiła się dokoła niego jak wąż, całowała go w oczy i we włosy. Byli tak nieskończenie szczęśliwi i tak im było dobrze, że dopiero po południu pomyśleli o opuszczeniu tarasu, a wtedy wsiedli do gondoli i płynęli po wąskich kanałach, aż w końcu dopłynęli do lagun.

— Nie będziemy długo siedzieli w gondoli, Paul — rzekła. — Nie mogę tak długo nie być w twoich ramionach, a nasz pałac daleko. A dziś wieczorem, mój kochany, dziś wieczorem ucznę cię tak uroczyście, jak nigdy dotychczas. Dziś jest noc w pełni księżyca. Paul, kazałam przynieść kosze róż, kazałam żeby była muzyka i śpiew. Chcę, żebyś pamiętał tę noc przez całe życie.

— Czy myślisz, że ja mógłbym zapomnieć choć jeden moment z tych czasów, słodka moja — rzekł Paweł. — Nie trzeba na to uroczystości ani róż — tylko twojej obecności, która mnie upaja.

— Paul — mówiła po chwili słodkim głosem — musisz kiedyś przeczytać „Salambo”, arcydzieło Flauberta. To dzieło jest przeniknięte na wskroś duchem miłości, którą zrozumiesz teraz. Zrozumiesz miłość, która wyglądała z oczu Matho, podczas gdy ciało jego było bite tak, że odpadało od kości. Taką to miłość ja mam dla ciebie, najdroższy — miłość, „która stoi ponad wszelkimi słowami i zmysłami”, jak mówi jeden z waszych angielskich poetów. Wiesz, jaka to dziwna ironia losu, gdy miłość kobiety do mężczyzny wznosi się do najwyższego punktu, wtedy są w niej zawsze pierwiastki miłości żony. Choćby jej poczucie niezależności było nie wiem jak wybujałe, zawsze będzie chciała być własnością mężczyzny. Pragnie stać się we wszystkim do niego podobna, chce dbać o jego pożywienie, o ubranie i zdrowie — tylko jeżeli jest mądra, ukrywa to w sercu, bo przeciętny mężczyzna nie może znieść tak wielkiego światła dobroci i słodyczy. Lecz gdy miłość kobiety staje się samolubna, miłość mężczyzny blednie.

— Przeciętnego mężczyzny — tak, być może, że to tak jest — przyznał Paweł. — Ale czyż takie przeciętne osoby z obu płci rozumieją w ogóle, co to jest miłość?

— Oni myślą, że rozumieją — odrzekła. — Doprawdy, tak my-



ślą, lecz taka miłość, jak nasza, zdarza się może raz na sto lat i zwykle przechodzi do historii, obojętnie czy jest dobra czy zła.

— Być może! — mówił Paul. — Ja jestem jak Antoni w tym poemacie, który mi czytałaś.

— Ja muszę cię mieć na własność, „choćby śmierć, hańba i wszystko co chcecie, stanęło na drodze”.

On wiedział i czuł co mówi, Antoni! I tak samo ten człowiek, co pisał poemat!

— Był równie wielkim rzeźbiarzem, jak poetą — odrzekła piękna pani. — Tak, i rozumiał wszystkich wielkich kochanków, lepiej niż wasz Szekspir, który zawsze pozostawia mnie zimną, skoro czytam jego poglądy na miłość. Kleopatra, według mnie, była tak subtelną, tak niezwykłą królową.

— Naturalnie, i była podobna do ciebie, serce moje — rzekł Paul. — Może to jej dusza odżyła w tobie, a ten poemat musisz mi dać, muszę zatrzymać go przy sobie, bo on wypowiada tak dobrze to, co ja chciałbym wypowiedzieć, gdybym kiedy musiał się na jakiś czas z tobą rozstać. Słuchaj, czy dobrze zapamiętałem?

*Powiedz jej, że gdy nie widzę*

*Tych boskich oczu — wtedy nie żyję — że Rzym jest dla  
mnie*

*Wstrętny — i powiedz jej — ach! ja sam nie wiem... Ze każda myśl i uczucie, że każde miejsce, Każda  
zabawa jest snem nieznośnym, jeśli jej przy mnie  
nie ma;*

*Ludzie mnie dręczą, i wszystko się męką staje, Wszystko jest próżne i czcze...*

— Tak, to właśnie chciałbym ci powiedzieć. Powtarzam te słowa nawet w tych krótkich chwilach, kiedy się idziesz ubierać a ja cię nie mogę widzieć.

Oczy pięknej pani pociemniały tkliwością.

— Paul, ty mnie kochasz, ty mój, mój! — mówiła.

— Ach, dlaczego my nie możemy wyjechać i podróżować razem, kochanie — ciągnął dalej młody chłopak. — Chcę, żebyś mi pokazała świat, przynajmniej już to, co jest najpiękniejszego w Europie.

Wszędzie nauczyłaś mnie rozumieć ducha tego miejsca. Jedźmy do Grecji oglądać świątynie i składać cześć starym bogom. Grecy rozumieli miłość, prawda?

Piękna pani przechyliła się w tył i uśmiechnęła. Widocznie z przyjemnością słuchała jego słów.

— Często zapytuję siebie, czy ją rzeczywiście rozumieli — odpowiedziała. Materialną jej stronę rozumieli w każdym razie. Byli może zanadto praktyczni żeby folgować wzruszeniom duchowym, z jakich my właśnie splatamy całą tę cudną tkaninę miłości — ale oni byli możni, nie kształcili wysoko swoich żon i córek, zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że aby kobieta dobrze spełniała obowiązki domowe, myśl jej nie powinna szybować zbyt wysoko. Nauka, sztuka, wdzięk wykwintny, to wszystko było dla innych kobiet, dla heter, od których nie wymagali nudnych zobowiązań. I we wszystkich wiekach, we wszystkich narodach, zwykle zdarzało się tak, że nie te dobre, poczciwe kobiety najsilniej wzruszały serca męskie. Przypomnij sobie tylko: Perykles i Aspazja — Antoniusz, Kleopatra — Justynian i Teodora — Belizariusz i Antonina — a później wszystkie kochanki królów francuskich — a nawet także wasz angielski Nelson i lady Hamilton. Żadna z tych kobiet nie była tym, co mężczyzna uważa za ideał żony i matki.

— Więc bez wątpienia Grecy mieli słuszną zasadę, tak jak słuszne były wszystkie podstawowe zasady sztuki i równowagi. — Paul, cnoty domowe i nauka, nerwy i sztuka i gorączkowe pragnienia 'dla niemożliwych nieraz nowości tworzy jakiś nieproporcjonalny konglomerat i wiecznie nam czegoś brak. - Tak — rzekł Paweł i pomyślał o matce. Była ona wybora gospodynią i piękną kobietą, lecz na pewno nigdy nie była przyczyną żywego bicia serca ojca, coś mu to mówiło wyraźnie. Począł rozmyślać nad argumentami pięknej pani i zapragnął posłyszeć od niej coś więcej.

— Jeżeli tak jest, to by dowodziło, że wszystkie mądre kobiety w historii były niemoralne. Czy nie sądzisz tak? — zapytał.

Piękna pani roześmiała się.

— Niemoralne! To takie elastyczne słowo, Paul! Każdy je sobie tłumaczy, jak chce. Dla mnie być niemoralnym, to znaczy być fał-

szywym, ordynarnym, kraść, oszukiwać, być unizonym, podłym, popełniać czyny pospolite, marne. A przeważnie można popełniać te wszystkie rzeczy i byle się tylko było wierną jednemu mężczyźnie, choćby się mu było najcięższym brzemieniem, zasługuje się na miano moralnej kobiety! Lecz to jaśniejące światło hipokryzji i cnoty — sądząc z ducha jej pism — ta wasza Georgie Eliot musi być zaliczona do niemoralnych, ponieważ wybrała sobie rodzaj życia nie pobłogosławiony przez prawa, tymczasem opisywała najwznioślejsze uczucia i największe namiętności. Niemoralne jest uspokajać własne sumienie i pobłażać sobie w tym, co u innych uważa się za złe. Ale przeżyć życie z miłością, która stwarza w nas wzniosłe aspiracje — to jest wysoce moralne i dobre. Ja czuję się sama jakoś uszlachetniona, podniesiona, bo ty jesteś moim kochankiem, a nasze dziecko, gdy przyjdzie na świat, będzie miało szlachetny umysł.

Na myśl o tym Paweł drżał jak zawsze; zapominał o całej rozmowie, żywy prąd wzruszenia przepływał mu przez serce; przymknął oczy i mocniej ścisnął ją za rękę. Piękna pani pochyliła się w tył i westchnęła głęboko.

— Ach! Piękny sen! — rzekła — piękny, piękny, zaprawdę. Miły mój, dajmy już spokój tym filozofowaniom i wróćmy do naszego pałacu, gdzie jesteśmy szczęśliwi w świątyni największego z bożków — boga miłości. I wydała rozkaz, żeby wracać do domu.

Lecz po drodze wstąpili do Jeruzum'a i tam wraz z Pawłem wybierała podarki dla jego matki, pozwoliła mu nawet kupić dla siebie parę drobnych upominków. Wydali dosyć dużo pieniędzy i śmiali się jak szczęśliwe dzieci. I gdy wrócili do posępnego pałacu, przynieśli ze sobą radość, jak ostatni promień słońca przed zachodem.

Nie chciała puścić Pawła na taras wychodzący na Canale Grandę. Gdy przechodzili, zauważyła, że na przodzie w łukowym wycięciu tarasu ustawiono kilka krzaków liliowego bzu. Nie ma teraz powodu do obawy, że dojrzą ich ciekawi sąsiedzi. Przygotowywano już dla nich uroczystą ucztę i Paul wiedział, że to będzie boska noc.

Lecz piękna pani wiedziała, że niedługo będzie trzeba ubierać się

na obiad i zdecydowała, że do obiadu muszą pozostać w swoich pokojach.

— Musisz się trochę przespać, Paul — rzekła — zebys był trzeźwy i świeży do nowych rozkoszy. I dopiero po długim błaganiu pozwoliła mu położyć się na tarasie, aby zamykając oczy do snu mógł widzieć ją przy sobie.

\* \* \*

Żadna angielska kobieta nie wymyśliłaby podobnych szczegółów do tych, które się złożyły na całość Uroczystości Pełni Księżyca, tak cudownej w oczach Pawła. Przypominała mu raczej jakieś uroczystości z zamierzchłych stuleci, z czasów cesarstwa rzymskiego.

Gdy obudził się na tarasie, piękna pani już poszła do swego pokoju i miał zaledwie tyle czasu, żeby się przebrać przed oznaczoną godziną, o której mieli się spotkać w małym saloniku.

Siedziała w starym, weneckim krześle, które kupiła w Lucernie. Gdy Paweł wszedł, uderzyła jego oczy promienna, najcudowniejsza wizja, jaką kiedykolwiek w życiu widział.

Ubrana była w bladozieloną gazę, która opływała ją tysiącem drobnych fałdek. W pasie opasywał ją sznur pereł, największe perły miała na szyi i w uszach. Jej przepyszną głowę wieńczył diadem, a wspaniałe diamentowe i brylantowe wisiorzy spływały po obu stronach na włosy i aż na czoło. Jakąś wspaniałość miała w całej swej postaci i równocześnie drapieżny wdzięk pantery. Oczy jej gorzały namiętnością i jakąś tajemniczą siłą.

Paul przyklęknął jak dworzanin i pocałował ją w rękę. Potem poprowadził ją na ucztę.

Dymitr, gdy się zbliżył, podniósł zasłonę przy drzwiach prowadzących na taras i oczom Pawła ukazał się zachwycający widok.

Cały taras został zamieniony w kosz róż. Całe ściany były nimi pokryte. Po jednej stronie stało łóżko zaspane samymi ciemnopaso-wymi. Z sufitu zwieszały się łańcuchy róż, róże oplatały lampy, a do

światła mieszał się księżyc, przeglądający przez krzaki bzu i nadawał całej scenie charakter czarodziejskiej ferii.

Podano obiad. Stół zarzucony był tuberozami i różami pnącymi się dokoła małej fontanny, która tryskała silnie pachnącą wodą. Zapach tych wszystkich kwiatów! I ta ciepła letnia noc! Nic dziwnego, że Pawłowi kręciło się od tego wszystkiego w głowie.

Zaledwie usiedli, gdy z wielkiego salonu, do którego drzwi były przysłonięte zasłonami z róż, oplatających szczelnie trzcinowe portiery, doleciały słodkie tony skrzypiec i żałosny głos chłopcęcy. Koncert wyborowy, najpiękniejsze melodie działały jeszcze bardziej podniecająco na zmysły. Paweł nie miał pojęcia, że takich muzyków można było znaleźć w Wenecji i domyślał się, może słusznie, że począwszy od tych artystów, a skończywszy na dekoratorze i nawet kucharzu, wszyscy przybyli z Paryża, żeby im upiększyć tę noc. Przez cały czas uczyły piękna pani do szału wprost doprowadzała go swym nadziemskim czarem. Tak jak nigdy przedtem, zebrała wszystkie swe uroki i rozsypywała je przed jego zdumionymi oczyma. A każde jej słowo, każdy ruch i spojrzenie przepojone były najnamiętniejszą miłością. Była to doprawdy noc godna bogów i egzaltacja Pawła dosięgła zenitu.

— Mój Paul ukochany — rzekła, gdy na stole pozostały już tylko owoce i złote wino i gdy już byli sami — nawet muzykanci odeszli i melodie ich dolatywały teraz z gondoli. — Paul, ja chciałabym, żebyś ty nigdy nie zapomniał tej nocy, żebyś w swoich myślach widział mnie zawsze tak niebiańsko szczęśliwą, zamkniętą w twoich ramionach, zarzuconą różami. I słuchaj, musimy wypić razem więcej naszego weselnego wina i upoić się do reszty. Paweł nabrał teraz wielkiej elokwencji, język rozwiązał mu się, jak nigdy w życiu i szeptał ubóstwiające słowa językiem prawie tak subtelnym i pięknym, jak ona. A księżyc zalewał taras srebrnym światłem, a róże pachniały coraz mocniej. Natura i sztuka wysiliły się zgodnie, żeby im stworzyć noc najwyższej rozkoszy.

— Mój kochany! — szeptała piękna pani, leżąc w jego objęciach na posłaniu z róż i na wpół ukryta w ich aksamitnych płatkach. To są zaślubiny naszych dusz. Czy w życiu, czy po śmierci one nigdy już nie mogą rozstać się ze sobą.

Świt sączył blade światło przez orchideowe zasłony, gdy dziwna królowa wysunęła się z objęć śpiącego kochanka i pochyliwszy się nad nim, ucałowała jego śliczne, wycięte w kapryśny łuk usta. On nawet nie poruszył się - leżał zupełnie wyczerpany, znużenie miłosne ogarnęło go i trzymało silnie w swych słodkich ramionach. W niepewnym świetle był tak blady, że sen jego wydawał się snem śmiertelnym.

Piękna pani patrzyła na niego z bólem tak wielkim, że oczy jej nie mogły już płakać. Bo czyż to nie był już koniec jej miłość, prawdziwy koniec. Wstrząsnęło nią straszne łkanie bez łez. Było w niej teraz coś strasznego, prawie tygrysięgo. Lecz jej silna wola nie zawiedzie i tym razem, pozostawało więc jej tylko jedno do zrobienia.

Wstała i zwróciła się do biurka pod oknem i odsunawszy trochę na bok zasłonę, zaczęła pospiesznie pisać. Skończywszy, nie przeczytała nawet listu, tylko umieściła wraz z płaskim lekkim pudełeczkiem do klejnotów na poduszce obok głowy Pawła. A potem rozpoczęła szalone, rozpaczliwe pożegnanie - pocałunki, jakie składała na jego twarzy, były bardzo delikatne, z obawy, żeby go nie obudzić, ale ileż miłości wkładała w nie, jakież wyraz miała w oczach!

— Miłości moja, ukochany mój, ukochany, jedyny — mówiła straszliwym, dzikim szeptem. - Niech Bóg zachowa cię w zdrowiu, bądź szczęśliwy, choć nigdy nie będziesz mógł do mnie powrócić. I ze strasznym, zdławionym łkaniem wymknęła się z pokoju.

\* \* \*

Obudziła Pawła cisza, bezwzględna cisza sennego, gorącego południa.

Wyciągnął ramię, jak zwykle, żeby dotknąć ukochanej, żeby przyciągnąć ją do siebie i otoczyć ją pieścizotami - był to ruch prawie instynktowny, bo Paweł jeszcze drzemał.

Lecz ramię jego natrafiło na próżnię. Co to ma znaczyć? Otworzył szeroko oczy i usiadł na łóżku. Był sam - dokądże ona poszła? Spał bardzo długo, to prawda. Zrobiła mu figła, może przy-

gotowuje jakąś rozkoszną niespodziankę, jak to często bywało. Może nawet schowała się za zasłoną, która ukrywa wejście na taras gdzie zwykle jadał śniadanie. Musi spojrzeć i przekonać się. Wstał żywo i odsunął draperię. - Nie - taras pusty, a śniadanie przygotowane na jedną osobę! To było pierwsze ostrzeżenie - na jedną! Czy ona się rozgniewała na niego za jego lenistwo? Dobry Boże cóż to wszystko ma znaczyć? Namyślał się przez chwilę, po czym usiadł na łozku i naciągnął na siebie cienkie prześcieradło, a w ten sposób odkrył hst i płaskie pudełeczko, które spadło z poduszki i ukryło się w fałdach pościeli.

Śmiertelna trwoga ścisnęła jego serce. Przez kilka chwil drżał tak że palce jego me mogły utrzymać papieru. Wreszcie nadludzkim wysiłkiem opanował wzruszenie i rozdarłszy kopertę począł czytać list. Był to wspaniały list. Ostatni namiętny krzyk rozkochanego serca. W gorących, pięknych słowach przebiegała wspomnieniem wszystkie szczęśliwe dni, przeżyte razem od ich pierwszego spotkania I aż do końca.

*„Pawelku Mój, tej pierwszej nocy byłeś moim kaprysem a potem moją miłością, lecz teraz jesteś po prostu moim życiem i dlatego muszę Cię opuścić, ocalić to życie, Kochanku Mój Słodki. Nie przeklinaj mnie, Ty, serce mojego serca. Wierz mi że nie odeszlabym, gdyby była dla nas jakaś inna droga. Los jest zbyt surowy dla nas i muszę pochylić przed nim głowę. Gdybym została kilka choćby godzin, to cała czujność Dymitra nie zdołałaby Cię wybawić z niebezpieczeństwa Kochanie Moje, gdybym wiedziała, że oni grożą tylko mnie samej to by mnie tylko gniewało, ale wiem, że i Ty zapłaciłbyś haracz więc mogę tylko odejść. Gdybyś ścigał mnie, to sprowadziłoby śmierć dla nas obojga. Ach, Paul, zaklinam Cię na naszą wielką miłość, jedź tam, gdzie będziesz bezpieczny i to jak najprędzej. Musisz opuścić Wenecję i powrócić prosto do Anglii, do swego domu. Skarbie Mój, jeśli już nigdy nie spotkamy się na tym smutnym świecie, to niech Cię nigdy nie opuszcza ta myśl, że ja Cię kocham, sercem i myślą, ciałem i duszą i jestem cała na zawsze twoja.*”

A gdy czytał ostatnie słowo, nagle dookoła zrobiło się ciemno i upadł na wznak na łóżko jak kłoda, a papier wypadł mu z zeszywnianych palców.

Ona odeszła — a jemu zdawało się, że jego życie się skończyło.

W tym samym miejscu, może w godzinę później, znalazł go Thompson jeszcze nieprzytomnego i przestraszony posłał do doktora oraz zatelegrafował do pana Karola Verdayne:

***Proszę przyjechać natychmiast***

***Thompson.***

Lecz zanim ojciec zdołał przyjechać, w niedzielę Paweł leżał między życiem a śmiercią, walcząc z zapaleniem opon mózgowych.

\* \* \*

Czyście kiedy, czytelnicy moi, powracali do zdrowia po długiej i ciężkiej chorobie? Czy pamiętacie to pierwsze uczucie, że wszelkie zło już minęło? Po dniach gorączki i majaczenia człowiek budzi się taki osłabiony, taki bezsilny i zmęczony, że nie chce mu się niczego. Ale cóż dopiero, gdy wie, że się obudził opuszczony i samotny, że go czekają bolesne udręczenia, męcząca pustka dookoła i beznadziejna tęsknota a także najgorsze ze wszystkiego rozpamiętywanie rzeczy potężniejszych niż życie samo. Jeżeli przechodziliście przez tę dolinę cieni, to zrozumiecie, jakie były pierwsze dni powrotu do przytomności biednego Pawła.

Nigdy nie pytał dawniej o jej plany na przyszłość, czuł, choć nie myślał, że muszą się rozstać na zawsze. A jednak ta wiosenna nadzieja, która ożywia wszystkie dusze, szepce mu jakieś pocieszające argumenty, jakieś fantastyczne możliwości mającą mu w osłabionym mózgu. Potem znów przychodzą chwile wyczerpującej do najwyższego stopnia rozpacz. Nic dziwnego, że w takich warunkach rekonwalescencja Pawła odbywała się bardzo powoli.



A przez cały czas ojciec i wierny Thompson pielegnowali go z najtkliwszym poświęceniem. Służba włoska została zapłacona za miesiąc z góry, ale piękna pani i jej świta zniknęli bez śladu. Z gorączkowych majaczeń Pawła sir Karol i Thompson dowiedzieli się prawie całej historii, żaden z nich jednak nie mówił o tym — raz tylko Thompson dodał parę słów, które uzupełniły obraz odtworzony w wyobraźni pana Karola.

— Była to najwspanialsza dama, jaką pan sobie może wyobrazić, sir Karolu — zakończył wierny służący. — Jej służba ubóstwiała ją i jeżeli pan Verdayne jest chory przez nią, to choruje ni mniej ni więcej tylko przez królową.

Ten fakt zdawał się bardzo pocieszać Thompsona, lecz ojciec Pawła nie znalazł w nim pokrzepienia. Główna trudność polegała na tym, w jaki sposób powstrzymać matkę, żeby do nich nie przyjechała. Ten epizod z życia syna musiał na zawsze pozostać dla niej tajemnicą, należała do tej klasy umysłów, które nigdy nie pojęłyby podobnej historii. Byłby to swego rodzaju cios i pełne zgorszenia zmartwienie pod koniec życia zacnej, dystyngowanej i bardzo poprawnej damy.

Toteż, jak tylko minęło pierwsze niebezpieczeństwo, sir Karol posłał trochę wiadomości o chorobie syna. Pisał, że Paweł i on cieszą się Wenecją i niedługo powrócą do domu. *Ale chłopiec miał trochę gorączki, może z zachwyty, i dlatego musimy się trochę zatrzymać* — dodał swym lakonicznym stylem — *nic ważnego, ale w podróży trzeba się szanować.*

I lady Henrietta czekała z niczym niezamąconą cierpliwością.

Nastąpiły teraz przykre, nużące dni. Ojcu serce zalewało się smutkiem, gdy widział, że jego syn jest taki bezradny jak niemowlę, gorzej, że jest tak apatyczny. Niszcząca gorączka strawiła jego młodość i siły. Serce się rozdzierało, słysząc, jak jednostajnym, żalonym głosem powtarzał wciąż to samo zakłęcie:

— Kochanie, powróć do mnie. Kochanie, królowa moja.

I nawet później, gdy już zupełnie wrócił do przytomności, litość brała patrzeć, jak leżał nieruchomy i blady, z sinymi cieniami na

twarzy tak niegdyś świeżej. A najbiedniejsze ze wszystkiego były jego przeźrocyste ręce, wychudzone, porysowane błękitnymi żyłami i bezwładnie spoczywające na kołdrze.

I wreszcie ojciec zdał sobie jasno sprawę, że to musiała być niepospolita kobieta, skoro rozstanie się z nią, choćby po trzech tygodniach nieustannego wzruszenia, było tak silnym ciosem, że powaliło tego młodego Herkulesa. Musi być dużo warta ta królowa tygrysów.

I pewnego dnia, wbrew swemu zwyczajowi, zwrócił się do Thompsona:

— Jaki rodzaj urody miała ta kobieta, Tompson?

A Thompson, chociaż był angielskim służącym nie zapytał przecież: „Kto taki, sir Charles?, tylko wytrzeszczył oczy i rozpoczął swoim monotonnym, służbistym głosem:

— Miała jakąś taką potężną siłę w sobie, widać było od razu, że może zaprowadzić mężczyznę Bóg wie dokąd, miała coś niesłychanie drażniącego w sobie. Miała czarne włosy i bardzo białą twarz i... i... takie dziwne, mieniające się oczy, ale była bardzo uprzejma i dobroczynna, wyniosła i wspaniałomyślna i tak umiała rozkazywać. Każdy poznałby, że to jest królowa.

— Młoda? — zapytał sir Charles. Thompson potarł sobie brodę.

— Nie mogę powiedzieć, sir Charles. Czasem wyglądała na dwadzieścia parę, czasem więcej jak na trzydzieści. Zdaje mi się jednak, że naprawdę mogła mieć od trzydziestu trzech do trzydziestu pięciu.

— Ładna? Oczy zaokrąglały się coraz bardziej.

— No była taka czarująca, nie mogę powiedzieć, sir Charles, najmilsza dama, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem, sir Charles.

— No tak — rzekł ojciec Pawła i zapadł w milczenie.

— Ma strasznego męża, może on być królem, ale nie jest dżentelmenem — rozpoczął znowu Thompson, przypuszczając, że może owo "no tak" oznaczało brak aprobaty dla pięknej królowej. — Jej służba była dosyć milcząca i nie bardzo dobrze mówiła po angielsku, więc nie mogłem się dużo dowiedzieć, ale ten Aleksander, który przyjechał w ostatnich dniach, opowiadał mi raz takim smiesz

nym żargonem, z którego musiałem dopiero domyślać się, że może będzie zmuszony kogoś zabić. Aleksander miał bliznę na twarzy taką długą, jak pański palec i mówił, że otrzymał ją, broniąc królowej przed brutalnością męża, który podobno upija się coraz częściej, szczególnie w ostatnim roku. A pan Verdayne jest taki przystojny. Więc nic dziwnego, sir Karolu...

— To prawda, Thompson, ale dosyć już — rzekł sir Karol i zmarszczył się.

Fatalny list, starannie włożony do koperty i płaskie pudełeczko zostały owinięte w papier. Thompson oddał je panu, gdy przyjechał. A pewnego dnia, skoro Paweł miał się już tak dobrze, że poszedł na taras, ojciec pomyślał, żeby mu to oddać.

Apatia Pawła była uderzająca. Dużo dni minęło, zanim mały, wesoły doktor włoski oznajmił, że niebezpieczeństwo minęło. Nic go absolutnie nie interesowało. Był grzeczny, obojętny i milczący.

— Trzeba pomyśleć o jakiejś zmianie dla niego — utrzymywał pan Karol. — W Wenecji teraz już za gorąco. Trzeba go przewieźć w góry.

A mały doktor kiwał potakująco głową.

A więc pewnego ciepłego popołudnia, gdy Paweł leżał pod muślinową zasłoną chroniącą od moskitów, co było już konieczne w początkach czerwca, ojciec rzekł do niego:

— Mam twój list i pakiecik, Pawełku, możebyś to sobie przejrzał, mam nadzieję, że za dzień lub dwa wyjedziemy na północ, potrzebujesz zmiany klimatu.

Włożył pakiecik pod muślin i odwrócił się plecami, udając bardzo zajętego gazetą.

Krew uderzyła Pawłowi do twarzy, a potem pobladł śmiertelnie. Gwałtownie otworzył kopertę.

Miniaturowy Sfinks w rogu zdawał się drwić z niego. Zaiste, życie to zagadka przykra i bolesna. Przeczytał list od początku do końca, potem przeczytał go znowu. Jedno zdanie, po którym dawniej tylko prześlizgnął się wzrokiem, teraz zwróciło jego uwagę. *Kochanie Moje* — pisała ona — *nie powinieneś martwić się zanadto, myśl zawsze o przyszłości i o naszej nadziei. Nasza miłość nie umarła razem z rozstaniem się i pewnego dnia zjawi*

*się na świecie żywy znak tej miłości".* Tak, ta myśl była istotnie pokrzepieniem — ale skąd on się o tym dowie?

Potem zwrócił uwagę na płaskie pudełeczko. Był jeszcze tak słaby, że z trudnością jego palce nacisnęły sprężynkę.

Spojrzał na dystygowaną sylwetkę ojca, który zwrócony do niego plecami, siedział w łukowym otworze tarasu, wyglądał na ulicę i zdawał się niczego nie domyślać, cały przejęty tym, co się dzieje na dole.

Tak, musi otworzyć pudełeczko. Otworzył i spojrzał zdumiony; leżała w nim obroża dla psa zrobiona z delikatnych blaszek z czystego złota, wprawionych w rosyjską skórę. Na samej obroży wyryty był napis: „Pik, własność Pawła Verdayne”.

W środku leżała kartka, a na niej kilka słów, skreślonych jej drogim pismem:

„To jest dla Pika, mój ukochany, każ mu to nosić zawsze, upominek ode mnie”.

W piersi Pawła zerwało się wielkie łkanie i przełamało apatyczną martwość. Zakrył twarz rękami i płakał jak dziecko.

Ach! jej drogie myśli! Jej drogie, dobre, tkliwe myśli dla Pika! Dla tego małego przyjaciela!

A sir Karol wciąż udawał, że nic nie słyszy, lecz gdy po pewnym czasie odwrócił się, jego szorstka twarz drgała lekko, a przenikliwe oczy zamgliło wzruszenie.

\* \* \*

Nie pojechali na północ, jak sobie sir Karol układał. Niespodziewany opór ze strony Pawła, który za nic nie chciał wracać przez Szwajcarię, zmienił ich plany. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przybył do Wenecji bardzo wygodny jacht, własność starego ekscentrycznego przyjaciela pana Karola. Ten ostatni bardzo skwapliwie przyjął zaproszenie i przeprowadził swojego chorego na pokład.

Właściciel jachtu, niejaki kapitan Grigsby, był zupełnie sam, toteż trzej panowie mieli dużo spokoju, a nic nie mogło być lepsze dla Pawła, jak to ciepłe morskie powietrze.

— Tyfoidalna gorączka? — zapytał raz Marek Grigsby.

— Nie — odpowiedział sir Karol — poważne zaburzenie psychiczne z powodu kobiety.

— Do diabła, niech go piorun trzaśnie — brzmiała uprzejma odpowiedź kapitana Grigsby. — Dzielny chłopiec i obiecujący...

— Zdaje mi się, że było dla czego chorować — dodał pan Karol — z tego, czego się domyślam i kombinuję, dochodzę do przekonania, że warto było szaleć i dalibóg, Grig, my w naszych czasach bylibyśmy tacy sami. Lecz kapitan Grigsby odpowiedział tylko:

— Do diabła, a niech go...

A więc podniósł kotwicę i pożeglowali wzdłuż brzegów Italii na słoneczne fale Adriatyku.

Tu się zaczęły trochę lepsze dni dla Pawła. Z każdą godziną wracało mu trochę zdrowia, siły i zapału. Młodość i siła dopominały się o swoje prawa, a ponieważ nie potrzebował się zajmować żadnymi powszednimi sprawami i powietrze było tak miłe, szafirowe morze tak piękne, więc też chwilami łagodniał trochę ostry ból poranionego serca. Nie znikał jednak, był ciągle, obecny, w każdej sekundzie życia, tylko z rozpaczki zamieniał się na cichy, głęboki smutek. A gdy Paweł na tyle wrócił do sił, by móc pomagać majtkom w naciąganiu lin i zużytkowywać swą siłę fizyczną, wtedy miewał już momenty prawdziwego wytchnienia. Dwaj starsi mężczyźni czuwali nad nim z daleka, śledzili go bacznie oczyma, lecz nie wypytywali go nigdy o nic, ani nie robili najmniejszej aluzji do jego podróży. A gdy pierwszy raz posłyszeli jego śmiech, sir Karol zaczął bardzo uważnie śledzić białą pianę na morzu, bo oczy zaszyły mu mgłą rozrzewnienia.

Opłynęli dokoła Włochy i Sycylię, nie udali się zaś pomiędzy Wyspy Jońskie, jak to było pierwotnym planem kapitana Grigsby.

— Zdaje mi się, że ta piękna pani pochodziła z któregoś z tych kraików bałkańskich — powiedział sir Karol. — Nie dotykajmy nawet z zewnątrz żadnego z nich.

A Marek Grigsby przyznał mu rację.

— Nasz mały, to dzielny chłopiec — rzekł pewnego ranka, gdy

obaj patrzyli na Pawła, naciągającego liny. — Prawdopodobnie nigdy zupełnie nie wyjdzie z tego, ale walczy ze sobą, jak prawdziwy mężczyzna. — Karolu, opowiedz mi, co będziesz uważał za stosowne, z tej całej historii.

A więc pan Karol rozpoczął krótkimi, urywanymi zdaniami:

— Zaczęły się spacerować z córką pastora, zawiązana sympatia z powodu zwichnięcia obojczyka, dziewczyna czytywała mu głośno. Moja żona wmieszała się dosyć nierozważnie w tę sprawę, tak że chłopcu się wydało, że jest zakochany. Wysłaliśmy go w podróż, żeby mu wybić z głowy tę myśl. Zdaje się, że spotkał tę panią w Lucernie i również zdaje mi się, że to była jakaś niepospolita osoba, tak mówi przynajmniej Thompson i dodaje, że to była jakaś królowa, czy księżna incognito, ale nie mogę do tej pory wytropić, kto to był. Hubert będzie wiedział, kto to jest osoba, ale to właściwie nie jest ważne. Tu przecież chodzi o to, żeby Paweł jakoś doszedł do siebie.

— Zawsze ten sam wypadek — mruknął kapitan Grigsby. Pan Karol pyknął parę razy z fajeczki i mówił dalej: — Byli

razem tylko przez trzy tygodnie. A przez ten czas potrafiła wbić chłopcu w głowę więcej wiedzy we wszystkich kierunkach, niż nabrał jej przez całą resztę życia, więcej nawet, niż my jej mamy obaj. Daję ci słowo, Grig, że gdy leżał w gorączce, to majaczył jak poeta, jak mówca, a gdy wyjeżdżał z domu na wiosnę, był sobie tylko zwyczajnym sportsmenem. Nazywał ją Kleopatram i myślę, że trafił na właściwy ton — musiała ona należeć do tych wyjątkowych kobiet, o których czytamy w historii, do tych, które mają szósty zmysł. — A które na szczęście spotyka się bardzo rzadko, prawie nigdy.

— Nie wiem, czy na szczęście — rzekł z namysłem sir Karol. — Może dobrze byłoby poznać taką dziką miłość, choćby za taką cenę, jak mój chłopak. My obaj widzieliśmy sporo na świecie, Grig, w tych czasach zwłaszcza, kiedyśmy jeszcze nosili mundury wojskowe i każdy z nas uważał siebie za diabelnego zucha — a jednak wątpię, czy który z nas wie wiele z tego, co warto wiedzieć, a co mój chłopiec poznał już w dwudziestym roku życia.

— Nonsens! — odsapnął kapitan Grigsby — ale był w jego proteście odcień żalu.

— To szczęście, że wyszedł z tej awantury bez kulki, albo pchnięcia nożem — niebezpieczne te wschodnie narody i niebezpieczna z nimi zabawa, mają ostre pazurki.

— Tak, domyślam się, że jakaś groźba wisiała im nad głową i że dlatego piękna pani ustąpiła z pola, za co powinniśmy być jej wdzięczni — dodał sir Karol.

— Czy ma dzieci? — spytał jego towarzysz.

— Thompson mówi, że nie. Mąż jej, to zdaje się, jakiś wstrętny zgniłek i nie ma dziedzica na tronie królewskim, czy książęcym, nie wiem zresztą na pewno, kim on jest — mam nadzieję, że skoro opowiem o tym Hubertowi, wiesz to brat Henrietty, który jest w służbie dyplomatycznej — to nietrudno nam będzie odkryć tę panią. Co do Pawełka to lepiej, żeby o tym nie wiedział.

— Piękny romans w każdym bądź razie. A co myślisz robić teraz z chłopcem, Karolu?

Ojciec Pawła przez długą chwilę palił fajkę i patrzył na pianę morską, zanim odpowiedział głosem bardziej szorstkim, niż zwykle.

— Będę się starał powrócić go do rozumu, Grig, — odrzekł. — Jest on jednak całkiem rozkojarzony, ale myślę, że powróci wkrótce do normy, mój stary przyjacielu. Muszę tylko jakoś powściągnąć miłość matki, żeby go nie męczyła. Jest to najlepsza kobieta w świecie i prawdziwa wielka dama, lecz czasem lubi zanadto ściągać cugle, a wtedy... W tej chwili Paweł przyłączył się do nich.

Przy pracy w skwarne dzień zaróżowił się i opalił trochę, a źrenice jego wydały się mniej rozszerzone, niż zwykle. Fala radosnego rozrzewnienia i wdzięczności zalała serce ojca.

— Dzięki Bogu — westchnął z głębi piersi — dzięki Bogu. Pogoda była przepyszna, z rzadka tylko kropił drobny deszczyk,

lekki wietrzyk odświeżał powietrze. Takie trochę leniwe, spokojne, słoneczne życie bardzo jest dobre dla kogoś, kto niedawno był bliski śmierci. I z każdym dniem wracała Pawłowi siła, tak że ojciec miał nadzieję zawieźć go do domu na dzień jego urodzin w końcu lipca. Płynęli teraz w górę wzdłuż wybrzeża Włoch, gdy nastąpiła taka cisza, że jacht z wielką trudnością posuwał się naprzód i stanął na-

przeciwko świątyni Paestum, postanowili wylądować i zatrzymać się na noc.

Podczas ostatnich wieczorów, gdy księżyc coraz bardziej zbliżał się do pełni, Paweł stał się dziwnie niespokojny i nie mógł sypiać. W dzień zajmował się gorliwie bezużytecznym nieraz zwijaniem lin, a po obiedzie natomiast dość często szedł do łóżka, w tych zaś ostatnich dniach nie można go było wyciągnąć z pokładu.

Twarz jego, nad której wyrazem bardzo starał się panować, stała się znowu bolesną maską i przykro było na nią patrzeć.

Jadł obiad, a raczej od niechcienia bawił się trochę widelcem w absolutnym milczeniu.

Zmieszanie ogarnęło pana Karola i popatrzył na swego starego przyjaciela.

Lecz Paweł zapaliwszy cygaro i pociągnąwszy parę razy, mruknął coś o bólu głowy i wyszedł na pokład. Była to noc pełni księżyca i właśnie upłynęło osiem tygodni, jak skończyła się dla niego radość życia. Czuł, że nie zniesie dłużej towarzystwa tych dwóch uprzejmych gentlemanów, chociaż patrzyli na niego tak życzliwie. Nie mógł znieść w tej chwili żadnej istoty ludzkiej. Dzisiaj przynajmniej musi zostać sam ze swoim bólem.

Dookoła panował przedziwny, pogodny spokój. Spuścili kotwicę dość blisko od brzegu, żeby można było dojrzeć gołym okiem wspaniałe kontury świątyni. Niebo i morze miały taki kolor, jaki się zdarza tylko na Morzu Śródziemnym. Było bardzo ciepło i cicho, a księżyc w całej wspaniałości roztaczał swój od wieków niezmienny i niedościgniony czar. Żaden szmer nie drażnił uszu.

Majtkowie na dole jedli wieczerzę. Dookoła panowała niezmacona cisza. Po jednej stronie olbrzymie morze, po drugiej wybrzeże z arcydziełem geniuszu ludzkiego, ze świątynią wielkiego boga Posej-dona, widowym śladem dawnej kolonii Greków. Jakie to wszystko było przedziwnie piękne i jak jego królowa by to kochała. Pewnie opowiadałaby mu historię tej świątyni, z jaką rozkoszą zanurzałaby się w przeszłości i umiałaby ją zbudzić tak żywą, że przed oczyma Pawła stanęłaby w najjaskrawszych barwach ze swymi kapłanami i ludem zanoszącym modły.



Jego ukochana mówiła zresztą o tym, przypomniał sobie, że to jest miejsce, które powinien zobaczyć. Zbierał w pamięci jej słowa.

— Musimy najpierw patrzeć na to z wybrzeża, widzieć wspaniałe kształty i rozmiary na tle nieba, takie szlachetne i doskonałe, a potem musimy ją zobaczyć z morza, a jako tło będą wtedy pagórki z gajami oliwnymi. Grecja zawsze taka cicha, opuszczona i milcząca i śmierć krąży dookoła niej, począwszy od marca. Okrutna malaria, kochanie, z którą nie powinniśmy się spotkać. Lecz gdybyśmy mogli, patrzylibyśmy na nią z jachtu w zdrową porę letnią, a wtedy czar padłby na nas i zobaczylibyśmy, że rzeczywiście rosną tu olbrzymie krzewy różane, które dwa razy na rok okrywają się kwiatem i na cały świat rozsypują róże. To była legenda Greków.

Tak, widział ją z jachtu, lecz widział ją sam, sam. A gdzie jest ona?

Tak intensywna i żywa była w nim pamięć o niej w tej chwili, że niemal czuł jej obecność obok siebie. Gdyby odwrócił głowę, na pewno zobaczyłby ją stojącą też blisko z oczyma pełnymi miłości. Zapach jej zdawał się przenikać powietrze. Złoty głos szeptał mu do ucha, dusza jej łączyła się z jego duszą. Ach, w świecie ducha, tak jak ona mówiła, nie rozłączą się nigdy.

Ból ściągnął mu usta i wyrwał z nich cichy jęk, a w tej chwili ojciec, który cicho za nim stanął, położył mu rękę na ramieniu.

— Mój biedny chłopcze — rzekł szorstkim, zdławionym głosem — oby Bóg dał, żebym mógł coś zrobić dla ciebie.

— Ach, ojczy! — jęknął Paweł.

Dwaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i poznali się tak dobrze, jak nigdy dotąd w życiu.

\* \* \*

Następnego dnia zerwał się dość silny wiatr, więc podnieśli kotwicę i popłynęli w stronę Neapolu. Gdy przybyli tutaj, Paweł czuł się tak dobrze, że mógł już znosić jazdę pociągiem, więc dążyli do Anglii na dzień jego urodzin. Obaj czuli, że powinni to zrobić dla matki.

Lady Henrietta zapewne wszystko dla nich przygotuje i ukochany jej Pawełek nie potrzebuje się o nic kłopotać. Byli zaproszeni tylko najbardziej zażyli znajomi i wiele ładnych panien.

Perspektywa była istotnie czarująca i powinna była sprawić żywą radość młodzieńcowi.

Z sercem ciężkim, jak kamień, wstępował Paweł w ten letni wieczór na szerokie schody rodzinnego domu i znalazł się w objęciach matki. (Goście na szczęście w tej chwili ubierali się do obiadu).

Kapitana Grigsby namówiono, żeby opuścił swój jacht i towarzyszył panom Verdayne.

— Dobrze, pojedę, Karolu — rzekł. — Na tym morzu rzeczywiście robi się bezwstydnie gorąco; może też dla chłopca będzie lepiej, że nie tylko ty jeden będziesz blisko niego, gdy go otoczą te wszystkie trajkocące kobiety.

Więc wszyscy trzej puścili się w podróż przez Włochy i Francję — Szwajcarię omijano starannie.

— Pawełek! Kochanie moje! — wykrzyknęła matka tonem bolesnego zdziwienia i, cofnąwszy się, patrzyła na niego bacznie.

— Ależ ty byłeś na pewno bardzo chory. Mój drogi, ukochany synu...

— Przecież pisałem ci, Henrietto, że miał silny atak febry — przerwał żywo sir Karol — a nikomu nie wyszłoby na dobre podróżować w ten piekielny upał. Puść chłopca, niech się wykąpie, a zobaczysz, że zmieni się na zupełnie innego człowieka.

Ale kochające oczy matki nie dały się łatwo oszukać. Toteż z nieskończonymi czułościami i wyrazami pełnymi niepokoju, narobiwszy dużo zamieszania wśród służby, uparła się koniecznie, że go odprowadzi do jego pokoju, gdzie czekał, pełen godności kamerdyner, starając się spełnić naprzód wszystkie możliwe i niemożliwe życzenia młodego pana.

Kiedyś to wszystko zirytowałyby Pawła, lecz teraz ucałował tylko białą, zdobną pierścionkami rękę matki. Przypomniawszy sobie tkliwą radę swojej pani, jaką mu dała w jednej z licznych, poufnych rozmów pomiędzy nimi: \_

— „Powinieneś zawsze czcić swoją matkę, Paul, i przyjmować jej starania z miłością, przecież wiesz, że ona cię ubóstwia.”

Toteż rzekł teraz:

— Droga mateczko, taka jesteś dla mnie dobra, ale ja doprawdy czuję się zupełnie dobrze, gorączka zawsze musi pozostawić po sobie ślady. Zobaczysz, że pobyt w domu robi mi doskonale, ani się obejrzyście, jak będę zupełnie zdrów i będę zjadał wszystkie wołowe smażeniny i galaretki pani Elwys i to nie dalej, jak dzisiaj wieczorem, tylko teraz bądź tak łaskawa i pozwól mi się ubrać. Matka jednak musiała koniecznie przekonać się osobiście, że jego włosy są tak samo gęste i gładkie, jak dawniej, musiała obejrzeć dokładnie i westchnąć nad każdym rysem jego twarzy i figury, choć pocieszała ją myśl, że będzie mogła sobie nieustannymi staraniami wynagrodzić długie dni rozłąki. Wreszcie Paweł został sam i nadeszła chwila, której oczekiwał z takim utęsknieniem. Z podróży jeszcze napisał polecenie, żeby natychmiast po jego przyjeździe Tremleth przywiózł Pika do ubieralni i przez cały czas przemowy matki słyszał skrobanie do drzwi i piski. Nie chciał jednak zobaczyć ulubionego psa w obecności kogokolwiek z ludzi: spotkanie ich musi się odbyć w samotności i w samotności musi mu zwierzyć tajemnicę, od kogo dostaje tę śliczną złotą obrozę.

A Pik go zrozumie, na pewno zrozumie.

Jeżeli gwałtowne skoki, wspinanie się, lizanie go po rękach, przy akompaniamencie .szalonego szczekania i skowytania z radości może pocieszyć kogokolwiek, to Paweł powinien być zupełnie zadowolony, bo gdy otworzył drzwi, jego biały terrier rzucił się na niego i witał go z ekstazą, którą z trudnością uspokoił w ramionach swego pana.

— Ach, Pik, Pik! — mówił Paweł, a łzy spływały mu po policzkach — nareszcie mogę ci powiedzieć, że kiedy włożysz tę obrozę, to poznasz moją królową, naszą królową.

A Pik odpowiadał coś bardzo sympatycznego, jak to psy umieją. Ale dopiero późno w nocy, gdy skończył się nieznośnie długi wieczór, miał sposobność przymierzyć prezent swojemu ulubieńcowi. Ten pierwszy wieczór, spędzony w domu rodzinnym, była to dla Pawia ciężka próba.

Czuł się jeszcze słaby i przede wszystkim śmiertelnie zmęczony podróżą. Tymczasem musiał słuchać i odpowiadać na tysiączne banalności gościom swojej matki, wreszcie nadeszła chwila, gdy uczuł, że dłużej nie będzie mógł tego znieść.

Była tam również kompania dawnych przyjaciół, miłych, dobrych chłopaków i ładnych dziewcząt; wszyscy oni trzepali językami bez końca, śmiali się i grali w jakieś gry po obiedzie, o ile Paweł mógł zrozumieć co się dzieje.

Kapitan Grigsby miał oko na wszystko i ostrzegł pana Karola.

— Chłopiec znowu gotów dostać gorączki, jeżeli nie pozwolicie mu wcześniej odejść do siebie. Te dziewczęta wyciągnęłyby zdrowie z najsilniejszego człowieka.

I w końcu Paweł zdołał się wymknąć do swego pokoju.

Oparł się łokciem na oknie i patrzył na okrągły, wypukły księżyc. Pik był tu także i leżał na jedwabnej poduszce tuż koło niego, pod jego łokciem; wyciągnąwszy rękę, mógł dotknąć złotej obroży, przyciskającej miękkie futerko. Przymknął oczy i ogarnął go taki beznadziejny ból, jak może nigdy jeszcze, dotychczas. Widział przed sobą białą mgłę, której nie można było przebić wzrokiem, a w tej mgle niewyraźne kształty i sceny z niedalekiej przeszłości. I jej twarz ulotną i nierealną.

Ale nie, ona powiedziała, że jest jedna nadzieja, jedna nadzieja, która może przynieść spokój okrutnemu istnieniu. Ale kiedy i jak będzie mógł dowiedzieć się o tym? A zresztą, jeżeli to prawda, to tym bardziej powinien wtedy być przy jej boku. Tysiące pięknych rzeczy pragnąłby jej powiedzieć o tym, całe morze miłości miał w sercu i chciał skąpać ją w falach swego uczucia, otoczyć ją najtkliwszym staraniem wtedy, właśnie wtedy. Czcić ją i ubóstwiać na kolanach i odsuwać od niej każdy ból, każdą troskę. A tymczasem nie znał nawet jej imienia i nazwiska, ani kraju, w którym kiedyś miała panować nadzieja ich życia. To wydawało się nie do uwierzenia, ostatecznie chyba łatwo byłoby mu ją odnaleźć. Lecz obiecał, że nie będzie robił żadnych poszukiwań i musi dotrzymać słowa. Zna teraz, jej powody. Działał tu instynkt tkliwości niemal macierzyńskiej, jaką miała dla niego i dbałość o jego bez-

pieczeństwo. Wiedział, że gdyby poznał miejsce jej pobytu, to nigdy obawa śmierci, nie powstrzymałaby go od zobaczenia jej, choćby z daleka. Ach, miał łzy, o których mówiła — dlaczego jeszcze nie miałby zaznać zimnej stali i krwi? Nie było dość wysokiej ceny, której by nie zapłacił, byle usłyszeć choć raz jeszcze jej złoty głos i uczuć dokoła swej szyi jej drżące miłością ramiona.

Cofnąłby się tylko z obawy niebezpieczeństwa zagrażającego jej. I dlatego teraz zamiast żyć z nią i nadśluchiwać z upragnieniem każdego szmeru jej kroków, zmuszony jest pędzić życie z tymi śmiesznymi, angielskimi kobietami! Głupie, roztrzepane dziewczęta!

Jedna z nich recytowała mu poezję przy obiedzie, urywek z tego, co mówiła mu niegdyś jego pani, z poematu nowego poety, który tego roku szturmem wziął cały wielki świat londyński: „Kochać miłością ponad świat i zmysły!” A teraz dźwięczało to w jego uszach jak śmieszny patos albo świętokradztwo. Co te lalki mogą wiedzieć o miłości, albo o życiu? Gadające papugi, które tylko mogą zmęczyć prawdziwego mężczyznę.

Tak, starożytni Grecy mieli rację, byłoby lepiej, gdyby pozostały niewykształcone i umiały tylko prząść wełnę.

I tak dręczony świeżym bólem z właściwą młodości nietolerancją, widział wszystko karykaturalnie i na wszystko patrzył z takim sceptycznym uśmiechem, jak stary księżyc. Pik kręcił mu się pod łokciem, skomlał i lizał go po ręce; miły mu był ten słaby objaw miłości.

— O Boże! — szepnął Paweł ukrywszy twarz w rękach — pozwól, żebym potrafił przeżyć ten czas okropny, tak jak ona pragnęłaby tego, pozwól, żebym miał siłę nie okazać swego bólu, żebym był prawdziwym mężczyzną i dżentelmenem.

\* \* \*

Rodzice i krewni Pawła zdumieni byli elokwencją, jaką wykazał przy obowiązkowym przemówieniu podczas uroczystego obiadu, wydanego dla dzierżawców następnego dnia. Nikt dotychczas nie spodziewał się, że młody chłopak jest tak poważną siłą i okoliczne

gazety, a nawet niektórzy londyńscy reporterzy, przepowiadali wspaniałą przyszłość polityczną młodemu mówcy. Mowa była dosyć długa zawierała tak logiczne argumenty i tyle zdrowego rozsądku, a wypowiedziana była językiem tak wzniosłym i ozdobnym, że wzbudziła ekstatyczny podziw nie tylko w sercu kochającej matki.

Paweł przez cały czas przemówienia nie widział morza głów dokoła siebie, tylko oczyma duszy patrzył w te dziwne, kameleonowe oczy swojej pani. Wiele rzeczy mówił tak, jak gdyby ona tutaj była a w końcu był prawie pewny, że ona go słyszy i ogarnął go łagodny spokój. Tak, wiedział, że byłaby zadowolona ze swego kochanka i w tym znalazł ziarno pociechy.

I w następnych dniach spełniał swoje obowiązki, aż wreszcie uroczystości się skończyły i mógł odpocząć. Kapitan Grigsby i ojciec dopomagali mu o ile tylko mogli i pomiędzy wszystkimi trzema powstała wtedy nader ścisła przyjaźń.

— Dalibóg, Karolu! Możecie być wściekle dumni ze swego chłopca' — rzekł kapitan Grigsby w dzień swojego odjazdu do Szkocji, dziesiątego sierpnia. Swój ból znosi jak bohater i chociaż mi go szkoda, twierdzą, że warto było spotkać taką kobietę i że ona sama musiała być bardzo dużo warta, jeśli go potrafiła tak wyedukować. Do licha! Karolu, oddałbym miesiąc życia, żeby ją moc kiedyś zobaczyć.

A ojciec Pawła zaznaczył z zadowoleniem:

— A co, czy nie mówiłem?

I tak przeszły letnie dni przy najcięższej pracy Pawła nad swym charakterem - zawsze starał się żyć według miary mądrze najwyższej, starał się nawet opanować swój ból, ale nigdy nie starał się zapomnieć. Podczas sezonu jesiennych polowań jego zdrowie powróciło do zupełnie pomyślnego stanu, i z wyjątkiem tego, że wyglądał teraz o parę lat starzej, nie pozostało na jego twarzy innych śladów tego przejścia przez dolinę cieni, z której zaledwie uciekł z życiem.

Lecz trzytygodniowy wpływ pięknej pani nie do poznania zmienił jego duszę. Umysł jego nabrał subtelności i wycucia. Ona otworzyła przed nim szerokie drogi, prowadzące do drzewa wiedzy, a on nimi teraz wędrował. Nie zdarzyło się nigdy, aby w ciągu dnia nie pomys-

łał o niej, by nie zapragnął jej widzieć — tak że naprawdę ona go prowadziła i kształtowała potęgą swej wielkiej duszy.

Ale, pomimo tego, tygodnie i miesiące wlokły się nieznośnie w tęsknocie, bólu i pozerającym niepokojem, co się z nią dzieje. Może na przykład jest chora. Jeżeli jej nadzieja zmieniła się w pewność, to zapewne teraz cierpi i cierpi sama jedna. Niekiedy na myśl o tym ból stawał się tak dotkliwy, że Paweł czuł, że go znieść nie może, wtedy porywał Pika i zapuszczał się z nim w bezlistne lasy, które zaczynały się na wzgórzach tuż za parkiem. Zdyszany zatrzymywał się dopiero na skraju lasu, odpoczywał i patrzył na posępny, szary, listopadowy krajobraz, a widok zamierającej natury jeszcze bardziej torturował mu serce. Jediną rzeczą, z której się cieszył, to była nieobecność wuja Huberta, który został ambasadorem w jakiejś republice południowoamerykańskiej i przynajmniej przez rok miał nie przyjeżdżać do Anglii. Nie będzie więc miał pokusy wypytywania go, ani przykrości usłyszenia jednej z jego dowcipnych i złośliwych uwag, w których mogła się zawierać jakaś aluzja do jego pani. Lord Hubert Aldryng-ham chełpił się często swymi królewskimi znajomościami, lecz utrzymywał, że nie znalazł pomiędzy nimi „dzielnego Lancelota, ani mądrego Galahada”. Paweł mógł teraz co najwyżej czekać i mieć nadzieję. Bo w końcu królowa ma jego adres. Może napisać do niego, chociaż on nie może pisać do niej — i na pewno przyjdą od niej jakieś wiadomości.

Nadeszła zima i polowanie. Polowanie, które stanowiło dla niego dawniej najmiłą rozrywkę na świecie, a teraz służyło mu tylko do znośnego przepędzania czasu, do oszukiwania bólu fizycznym zmęczeniem. Ale tak w tym, jak we wszystkim, co czynił obecnie, starał się przewyższyć towarzyszy i zyskać jeszcze jeden laur, aby go móc rzucić pod stopy królowej. W towarzystwie odnosił ogromne sukcesy. Zaczynał być uważany za człowieka, którego warto posłuchać i z którego zdaniem mężczyźni się liczą, kobiety zaś bardzo polegały na jego słowach.

Wydawało im się po prostu czarujące, że taki młody, świeży i piękny chłopak ma wiedzę i doświadczenie, prawdziwego światowca. Zawsze był grzeczny i rycerski, ale tak niedostępny, jak szczyt

górski. Paweł pod tym względem nie miał żadnej próżności i nie dbał o żadne podboje, jeśliby z tego powodu miał choć na chwilę zapomnieć o swej królowej. I tak minął okres polowań, a doświadczenie życiowe wciąż rosło.

Izabela powróciła na Boże Narodzenie, zaręczona z wikarym z Wyższego Kościoła, promieniejąca radością i zdrowiem. Paweł spędził z nią godzinę na bardzo miłej rozmowie. Ona była zawsze pocziwym stworzeniem, jeżeli Paweł nie mógł wyjść z podziwu, jakim sposobem ona mogła go niegdyś pociągać, to w każdym razie z jego zachowania nic nie można było poznać — był uprzedzająco grzeczny i uprzejmy. — Na Boga, Pawle, jaką śliczną obrozę kupiłeś dla Pika! — wykrzyknęła Izabela. — Widzieliście coś podobnego. Ty marnotrawny chłopcze! To dobre byłoby na damską bransoletkę. Lepiej dałbyś ją mnie. Będzie to mój najładniejszy prezent ślubny!

Ale Paweł porwał Pika, krew uderzyła mu do twarzy, roześmiał się z przymusem i odwrócił przedmiot rozmowy. Niczym palcom, oprócz jego, nie wolno było dotykać poświęconego złota.

W tym to czasie matce jego przyszła do głowy myśl, że Paweł koniecznie musi się ożenić. Ojciec jego w dniu ślubu miał już około trzydziestu lat, a jej nieraz przychodziło na myśl, że zebrał się na • żeniączkę za późno. Dwadzieścia trzy lata, to doskonały wiek, a milutka, ładna żona Pawła byłaby radością jej schyłku życia — nie mówiąc już o licznych wnukach. Lecz gdy pierwszy raz poruszono tę materię, Paweł roześmiał się, a gdy stopniowo stało się to tematem codziennych rozmów, nie mógł opanować swego żywego usposobienia, które nie było jeszcze pod jego pełną kontrolą.

— Powiadam ci, mamó — rzekł — że jeżeli będziesz mi dokuczała w ten sposób, ucieknę z domu i pojedę w podróż dookoła świata.

Więc lady Henrietta z konieczności zapadała w bolesne milczenie i dąsała się na ulubionego syna nie więcej niż przez dwa dni.

— Pawełek tak się niesłuchanie zmienił od czasu swej podróży — skarżyła się żałośnie mężowi. — Ciekawa jestem, Karolu, czy my rzeczywiście znamy tych wszystkich ludzi, których spotykał w podróży.



A sir Karol odpowiedział na to:

— Co też ty mówisz, Henrietto, chłopak stał się mężczyzną i niesłuchanie wydorósł. Lecz gdy zostali sami, ojciec uśmiechnął się do niego smutnie, bo dużo widział swymi przenikliwymi oczyma, choć nie wyrażał synowi współczucia. Wiedział, że Paweł jeszcze bardzo cierpi, może nawet tak samo, jak w pierwszych dniach, i uznawał za słuszne postanowienie syna, który pragnął to wszystko ukryć jak najbardziej przed oczyma ludzi.

I tak skończył się stary rok i nadszedł nowy, a niedługo nadejdzie i luty. Ach, z jakim namiętym niepokojem oczekiwał Paweł tego miesiąca, to tylko jego serce wiedziało.

\* \* \*

Dni mijały i nadszedł marzec, a Paweł jeszcze nie otrzymał żadnej wiadomości. Ojciec zauważył, że syn z coraz większym wysiłkiem zachowuje spokój, a matka z niepokojem zapytywała, czy się o coś nie gniewa i czy nie chciałby, żeby zaproszono trochę gości, aby mógł rozerwać się w jakikolwiek sposób.

Ogarniała go coraz silniejsza pokusa, żeby czytywać dworskie wiadomości. Z tęsknotą patrzył na damskie czasopisma, porozrzucane w pokoju matki; takie dzienniki, jak wiedział, z wielkim upodobaniem zamieszczają szczegóły z prywatnego życia najwyższych osób. Ale panowanie nad sobą, które teraz rozwijał we wszystkich kierunkach, nie pozwoliło mu na to. Nie, obiecał przecież, że nigdy nie będzie szukał i badał i ani w liście, ani w myśli nawet nie złamie słowa, aby choć nie wiem jak miał cierpieć. Wiadomość, jeśli miała przybyć, musiała pochodzić wprost od jego ukochanej.

Ale co za straszny niepokój i męczarnia tych godzin wyczekiwania! Czy ich nadzieja stała się prawdą i jak to się stało? Dni mijały w straszliwej trwodze. Był tak bezsilny, że z największą trudnością zwracał uwagę na to, co go otacza. Zbierał całą siłę woli, żeby nabrać ciekawości do czytania Ksiąg Parlamentarnych, które teraz studiował. Lecz męczące pytanie wracało mu do gło-

wy przez cały czas czytania: „Jakie będą wiadomości od mojej królowej?”

I za każdym razem biło mu serce, tak jak biło przy otwieraniu drżącymi rękami listów.

Ale nigdy widok jej pisma nie uderzył jego oczu; w końcu usposobienie jego stało się podobne do odpływów i przyływów morza.

Ożywał się dwa razy na dzień w godzinie przybywania poczty, a potem zapadał w apatię i przygnębienie.

Znowu sposepniał i wychudł. Ojcu serce się krajało, gdy na niego patrzył. Wreszcie pewnego ranka, gdy ćwicząc wciąż swój charakter, postanowił sobie nie przeglądać korespondencji dopóki nie skończy śniadania, bystre jego oko pochwyciło list z cudzoziemskim znaczkiem, leżący na samym wierzchu.

Pisma nie znał, ale jakiś głos mówił mu, że to wiadomość od jego królowej.

Panował nad sobą, nie chciał nawet patrzeć na kopertę, dopóki nie znajdzie się w swoim pokoju.

Niczyje oczy, oprócz chyba oczu Pika, nie mogły widzieć jego radości, a może bólu i przygnębienia.

Wsunął więc list do kieszeni i dopiero w swoim pokoju, ze śmiertelnym niepokojem rozerwał kopertę.

Wewnątrz była druga koperta niewielkich rozmiarów, zaadresowana pismem jego ukochanej. W tej kopercie znajdował się miniaturowy pakiecik, owinięty w zupełnie czysty papier. Z szalonym biciem serca i drżącymi palcami rozwinął starannie założone końce pakieci-ku. A wtedy blade światło zimowego poranka padło na cienkie pasemko włosów, tego specjalnego, niewyraźnego odcienia, jaki miewają zwykle włosy niemowląt, zanim staną się złotymi. Włosy były długie na cal i cienkie jak pajęczyna, a związane je starannie niebieską, jedwabną nitką.

Na papierze wewnątrz wypisane były słowa:

*Ukochany mój, taki dzielny jest Twój syn, urodzony 19 lutego.*

Na chwilę Paweł zamknął oczy i wydało mu się, że słyszy dokoła siebie jakieś chóry anielskie.

Potem patrzył długo na miniaturowe pasemko włosów i dotykał

je koniuszkami palców. Dziwne wzruszenie, jakiego, nie doznawał nigdy w życiu, wstrząsnęło nim całym. Doznał tego samego wrażenia co zwykle, gdy królowa mówiła o ich nadziei, tylko dziesięciokrotnie spotęgowane — był to dreszcz fizyczny, męczący i rozkoszny. Ukochane, maleńkie włoski! Dotykalny, żywy dowód istnienia jego syna. Przycisnął je z największą czcią do ust, a łzy radości zamglily jego piękne, błękitne oczy. Ach! to wszystko było zanadto cudowne, zanadto boska była ta myśl. To ziarno ich wielkiej miłości, to czarodziejska esencja z krwi rozkochanej i gorącej — dziecko jego i jej. Tak, nadzieja nie zawiodła ich! To była prawda.

I zbudziło się w nim znowu namiętne uwielbienie dla jego królowej. Jego bogini i królowa, miłość do niej, to główna sprężyna jego zegara życiowego — ona jest najwyższą i absolutną panią jego serca i duszy. Nigdy nie pożytał jej szlachetniej i nie kochał bardziej, jak tego dnia. Całował słowa napisane przez nią z pobożnym uniesieniem.

Lecz jak ona się ma i gdzie jest? Czy zdrowa? Czy może chora? Czy bardzo cierpiała?

Rozłączenie ich wydało mu się jeszcze straszniejsze niż zwykle. Gdyby mógł teraz polecieć do niej, gdyby mógł! To było jego prawo, prawo natury, że on powinien być teraz przy niej.

Ale ona jest zdrowa, ona musi być zdrowa, inaczej na pewno wspomniaby coś o tym i on by ją zobaczył.

Tych kilka drobnych słów, to był głos z nieba, który znosił niemożliwości, który dawał mu znowu pewność i wiedzę, że ona jest na tym świecie, jest stworzona dla niego, dla ich miłości i kiedyś znowu się połączą. Los nie może być tak niesprawiedliwy, żeby go rozdzielał z matką jego dziecka.

Jakież wizje snuły mu się przed oczyma, ogarniała go chorobliwa ekstaza, nie mógł wytrzymać w domu, musiał gdzieś pędzić pod gołym niebem, musiał rzucać myśli w przestrzeń.

Wiosna była w jego sercu i przedzierała się przez zmarznięty grunt, jak ten pojedynczy, złotawy krokus, który widział wystający spod śniegu — na pewno, na pewno słońce jego życia zaświeci znowu i wkrótce zobaczy swoją ukochaną.

Szedł szybko naprzód. Pik w podskokach biegał dokoła niego,

wysuwał się na czoło, to znowu zostawał z tyłu, a wyraźnie zdawał się rozumieć wewnętrzną radość pana.

Paweł prawie nie zwracał uwagi, dokąd idzie, myśli unosiły go tak bardzo, że nie wybrał nawet ulubionej drogi przez las na wzgórze, skąd było widać rozległy horyzont i zachód słońca.

Było mu tak, jakby wielkie lodowe bryły bólu i trwogi roztopiły się pod działaniem słońca. Nadzieja i radość świeciły na jego ścieżce i oślepiały go prawie.

Minął wreszcie park i puścił się przez bagnistą łąkę. Przechodził koło gromadki Cyganów i młoda, śniada kobieta z dzieckiem na ręku zastąpiła mu drogę, wdzięcząc się do niego nieśmiało. Paweł przystanął, powiedział dzień dobry i dał suwerena z uśmiechem i kilkoma pieszczotliwymi słowami dla brudnego dziecka, po czym odszedł z twarzą jeszcze bardziej rozpromienioną.

A kobieta wołała za nim z wdzięcznością:

— Błogosławieństwo na głowę pańską. Oby pana własny syn królował na tronie.

Fala upojenia rozlała się po żyłach, gdy wspomniał, ile prawdy było w tym proroctwie Cyganki.

Szedł i szedł przed siebie, zapomniawszy o porze śniadania. Nie mógłby teraz widzieć nawet rodziców; i jak dawniej w zmartwieniu, tak i teraz czuł, że musi być sam ze swoją radością.

Gdy późno po południu wrócił do domu, potrafił już opanować trochę dziki potok szczęścia i ująć go w karby rozsądniejszych myśli i pytań. Na pewno ona napisze jeszcze więcej i ułoży jakiś plan spotkania. A teraz było dla niego niezmierną pociechą to, że znów choć listownie zetknął się z nią i że ona jest jego, jego własna. Milczenie zostało zerwane, a ona swym przenikliwym rozumem wynajdzie na pewno jakiś sposób spotkania się.

Stempel pocztowy był z Wiednia — to jednak nic nie znaczy. Mogła tam posłać Dymitra, żeby stamtąd wyprawił list. Ale gdyby nawet byli na końcu Europy, tylko kilka dni oddzielało go od ukochanej i od — syna! Dopiero teraz jasno zdał sobie sprawę z faktu ojcostwa. I głośno powiedział: „Mój syn!”

Z dzikim krzykiem uniesienia zaczął biec pędem, jak mały chło-

piec, a Pik biegł obok niego, szczekając głośno w dowód uznania i radości. Po chwili Paweł zwolnił bieg z sercem rozśpiewanym radosną nadzieją.

Ale nawet ojciec nie mógł się domyślić, dlaczego tego dnia wieczorem przy obiedzie, Pauł podniósł szklankę z szampanem i w mileczeniu spełnił cichy toast, podczas gdy jego oczy błędziły w przestrzeni z takim wyrazem upojenia, jak gdyby zobaczył niebo.

\* \* \*

Naturalnie, że w miarę jak upływały dni, radość Pawła zmniejszała się. Zastąpił ją bezustanny niepokój, ciągła, prawie chorobliwa ciekawość i żądza nowych wiadomości. Z pewnością ona była chora, inaczej na pewno dałaby jakiś znak.

Tyle razy odczytywał jej słowa, pisane ołówkiem, był teraz pewien, że zostały napisane osłabioną i drżącą ręką — na pewno. Lecz nie miał siły na tworzenie tych strasznych przypuszczeń.

List przybył drugiego marca, a więc jego syn gdy, list ten był pisany, liczył jedenaście dni.

Paweł bardzo mało znał się na takich rzeczach, choć rozumiał jasno, że kobieta potem może bardzo chorować. Lecz w takim razie Anna lub Dymitr mogliby mu coś donieść z własnej inicjatywy. Ta nadzieja pocieszała go trochę, lecz w trop, jak pies gończy, nadbiegła trwoga, która go ścigała nieustannie. Nie chciał opuścić domu, w Londynie nie pokazał się ani na jeden dzień.

Mogło przecież coś nadejść w jego nieobecności, jakieś poselstwo, albo polecenie, może wezwałaby go do siebie i on ominąłby tę sposobność. Jeszcze intensywniej niż kiedykolwiek przeżywał te trzy tygodnie szczęśliwości — każde słowo, które ona kiedyś wypowiedziała, dźwięczało, w pamięci. I zawsze na samotnych spacerach, albo na przejażdżkach konnych czy wyprawach myśliwskich puszczał wodze myślom i pozwalał wspomnieniom dźwięczeć w sercu.

Lecz pragnienie, żeby być blisko niej, rosło w nim coraz bardziej i ogarniało go całego.

Niekiedy, gdy szybki galop na koniu rozgrzał mu krew, rozmyślał o swoim synu z triumfem i chciał się nim. Jak on go będzie kochał, będzie go uczył jeździć konno, tresować psy, strzelać, słowem nauczy go być prawdziwym angielskim dżentelmenem. Ach, dlaczego ona jest królową, ta jego ukochana, czemu nie może być tutaj, jego żoną, którą mógłby otaczać czcią i przywiązaniem. Na pewno wystarczyłoby im obojgu to życie ciche, pełne prawdy, miłości i słodyczy, ale nawet gdyby tak nie było, to mogli przecież z całego świata wybierać sobie miejsce zamieszkania, byle tylko być razem. Obaj, Paweł i jego ojciec, tworzyli milczące przymierze — ojciec nie przeszkadzał synowi rozmyślać, gdy razem wracali z polowania.

Pewnego popołudnia, gdy czuł się jakoś więcej na siłach do znoszenia ludzkiego towarzystwa, poszedł na herbatę do pokoju matki. I gdy tak siedział, oparty o poręcz fotela w szkarłatnym myśliwskim ubraniu, pod którym pysznie rysowała się jego wysoka, silna figura, wzrok jego po raz pierwszy z uwagą padł na mnóstwo portretów, zdobiących ściany pokoju — był to przeważnie on sam w nieskończonych odmianach, od lat niemowlęcych, potem z okresu jeżdżenia na drewnianych konikach, potem z psami, potem na prawdziwym koniu w kołnierzyku i mundurku z Eton, we flanelowym kostiumie do krokieta, potem grupa z Oksfordu, a wreszcie niewielka ilość portretów i fotografii z ostatnich lat. Jak on wyglądał młodo, jaki był uśmiechnięty i rozpromieniony. Była jeszcze jedna śliczna miniaturka, przedstawiająca go w najrozkoszniejszej z rozkosznych pozycji, która stała na samym środku biureczka — było to prawdziwe arcydzieło delikatnego smaku i wdzięku, malowane z artyzmem na kości słoniowej.

Portrecik otoczony był ramką z perełek, a u dołu, obok nazwiska malarza, był napis: Pawełek Verdayne w wieku pięciu lat i trzech miesięcy.

Był to portret całej sylwetki Pawła, stojącego obok wielkiego poręczowego krzesła w błękitnej aksamitnej sukience i dużym wykładanym kołnierzyku koronkowym, a kędziory złotych włosów, spadały mu na karczek i ramiona.

— Czy ja naprawdę byłem podobny do tego malca, mamó? — zapytał.

A lady Henrietta, sama zachwycona, choć oglądała ten portrecik dziesięć razy na dzień, poczęła się rozpląwać w wyczerpujących objaśnieniach.

— Podobny do niego? Naturalnie! Tylko jeszcze o wiele piękniejszy. Żadne dziecko nie miało takich złotych włosów, ani takich oczu i rzęs!

Żadne dziecko nie może porównywać się z nim pod żadnym względem! Delikatne i blade policzki pani Henrietty zaróżowiły się przy tym opowiadaniu.

— Droga mateczko — szepnął Paweł i pocałował ją. — Jak ty mnie kochałaś, a ja często byłem taki zimny. Przebacz mi...

Potem znowu umilkł i jak zwykle powrócił myślami do niej, do swojej pani. Ona także szalenie kochałaby swoje dziecko, byłaby dla niego tkliwa, słodka i pieściłaby je.

Potem zapytał: — Mateczko, czy kobiety długo chorują po urodzeniu dziecka? Naturalnie, mówię o kobietach z wyższych sfer, które są delikatniejszej konstrukcji. Czy zwykle dobrze to przechodzą, czy to jest prosta rzecz? A lady Henrietta zaczerwieniła się, odpowiadając:

— Ach, tak, zupełnie prosta, z wyjątkiem komplikacji, które się czasem zdarzają. Naturalnie zawsze jest niebezpieczeństwo, czasem nieokreślone, ale pomimo to, jest to wielka radość. Co za dziwny pomysł przyszedł ci do głowy pytać o to, mój drogi chłopcze! Czy myślałeś o kuzynce Agacie?

— O kuzynce Agacie? — powtórzył Paweł z roztargnieniem i natychmiast opanował się — ach, tak, naturalnie, jakże ona się miewa?

Lecz gdy szedł do swego pokoju, aby się przebrać, w uszach dźwięczały mu wciąż słowa matki: „z wyjątkiem komplikacji, które się zdarzają czasami” — a ta myśl otwierała przed nim całe pole bolesnych i niespokojnych rozmyślań.

W końcu wszystko razem wydawało mu się nie do zniesienia. Przyszła mu do głowy szalona myśl, żeby jechać do Wiednia, kierując się znaczkiem pocztowym, lecz zdrowy rozsądek kazał mu odłożyć tę myśl na bok. Może ona właśnie przyśle mu jakąś wiado-

mość. Nie, trzeba znosić dalej taki stan rzeczy i czekać. Może być, że ta cisza oznacza dobre wiadomości, a jeżeli do końca sierpnia nic nie nadejdzie, to będzie uważał, że ma prawo złamać obietnicę i zacznie jej poszukiwać.

W tym czasie kapitan Grigsby znowu do nich przyjechał. I na drugi dzień obaj z gospodarzem przechadzali się, paląc fajki, po słonecznym tarasie. Wreszcie Grigsby rzekł:

— Wiesz co ci powiem, Karolu? Zdaje się, że znalazłem ją, a ty.

— Nie! Dalibóg, trudno by mi było — odrzekł ojciec Pawła — Hubert jest daleko, więc na razie odłożyłem tę sprawę. — Czy zauważyliście, że w końcu lutego chłopak był zupełnie do niczego?

Pan Karol namyślił się przez chwilę:

— Tak, przypominam sobie. Był rzeczywiście bardzo niespokojny i teraz znowu jest to samo.

— Aha! Tego się spodziewałem! — rzekł Marek Grigsby z taką miną, jak gdyby miał wiele do powiedzenia.

— No więc... wyduś co masz powiedzieć, Grig — rzekł niecierpliwie sir Karol.

A kapitan Grigsby właściwym sobie stylem zaczął opowiadać o dziwnym zbiegu okoliczności i o różnych zdarzeniach, które wiązały się ze sobą; odpowiedź ojca Pawła rozwiała ostatecznie wątpliwości. Argumenty były bardzo jasne i pan Karol również został przekonany.

— Widzisz, zgadza się to z tym, co Thompson mówił — skończył Grigsby po pewnym czasie - resztę łatwo było wyszukać. Nie miejsce tu osądzić moralną stronę tej historii, mój Karolu, możemy się tylko obaj cieszyć, że twój wnuk zasiądzie na pewno na tronie. Czytałem w pewnej gazecie — opowiadał dalej — że po urodzeniu tego dziecka wytworzyła się najtrudniejsza polityczna sytuacja, ponieważ do tej pory nie było następcy w prostej linii, po bezdzietnej zaś śmierci obecnego następcy pretendentami do tronu byli jeszcze dalsi krewni. W niektórych dziennikach było nawet podane resume z rozwiązłego życia owego następcy i przypuszczenie, że dziecko nie mogło być w żadnym razie jego dzieckiem, lecz, jak dodawała gazeta, to zjednało większą przychylność dla małego księcia w kołach



ministerialnych, gdzie bardzo kochano i szanowano jego matkę, a następcę, gdyby został królem, chyba ze względu na nią tylko pozostawionoby na chwiejącym się tronie. Spodziewano się, że król, choć niemłody, był jeszcze zdrow i silny, że następcą jego umrze zapewne prędzej od niego, a w takim razie korona przejdzie od razu na linię boczną. Tymczasem król umarł niespodzianie i sytuacja zaostrzyła się. Lecz pisma dodawały też, że nowy król bierze wielki udział w debatach nad uznaniem swego małego dziedzica, tak że nic jeszcze na pewno powiedzieć nie można. Były wzmianki o chorobliwej wprost rozwiązłości króla, o jego upijaniu się, a szczytem wszystkiego było opowiadanie o tym, jak księżę pewnego razu zadusił piwniczego, a niejednokrotnie godził też na życie żony. Brat królowej był obecnie po jej stronie, a sąsiednie mocarstwa również mogły wypowiedzieć swoje zdanie. Ten mąż to zdaje się dobry numer, dobry do wypitki i wybitki, prawda Karolu? Nic dziwnego, że ona zwróciła oczy na Pawła, co? — zakończył Marek Grigsby.

Lecz sir Karol nic nie odpowiedział. Głowę miał pełną myśli o synu.

Wszystkie siły, wszystkie wzruszenia zdaje się wyrывały tego syna ze spokojnej Anglii i niosły go ku drapieżnemu gniazdu, a on, jego ojciec, był bezsilny i nie mógł go nawet ostrzec.

\* \* \*

Kwietniowe dni ciągnęły się wolno. Na przemian, to padał gęsty deszcz, to świeciło słońce, to powiał zimny wiatr ze wschodu.

Nadeszły święta Wielkanocne, a z nimi nawiedziło Verdayne Place mnóstwo gości i lady Henrietta z rozpaczą ujrzała, że jej nadzieje muszą się usunąć na bardzo daleki plan wobec niezmiennej obojętności Pawła dla wszystkich ładnych dziewcząt.

W jesieni miał kandydować do parlamentu, ponieważ dawny przedstawiciel ich okolicy wycofał się i Paweł to podawał jako wymówkę swojego ciągłego odosobnienia się. Jak mówił, musi bardzo pracować nad naukami społecznymi. Lecz w rzeczywistości ciężar

życia towarzyskiego stawał się dla niego coraz bardziej niemożliwy do zniesienia.

Kapitan Grigsby sprzedał dawny „Wrzos” i budował nowy, solidny jacht na siedemset ton, dosyć duży, żeby można było w nim podróżować dookoła świata, jak mówił. Na próbę puścił go na morze Śródziemne, a teraz jacht oczekiwał na niego w Marsylii.

— Czy Paweł nie zgodziłby się popłynąć z nim trochę? — pytał — a Paweł wahał się przez chwilę. Jeżeli do piątku nie nadejdą żadne wiadomości, był to właśnie poniedziałek, to on jedzie do Londynu i stanowczo musi wyszukać imię i kraj swojej pani. W takim razie przejażdżka jachtem po morzu mogłaby być bardzo dobrym pretekstem. Toteż prosił o łaskawe udzielenie mu paru dni do namysłu, a kapitan Grigsby chętnie zgodził się czekać na odpowiedź i ułożono, że decyzja ma zapaść w sobotę. Minął wtorek, potem środa, a we czwartek przyszedł do Pawła telegram, który przyprawił go prawie o szaleństwo. Telegram był krótki i zawierał tylko te słowa: „Spotkasz Dymitra w Paryżu”. Potem następował adres. — Spiesząc się bardzo, zdążyłby jeszcze może na nocny parowiec.

Poszedł natychmiast do pokoju ojca, gdzie pan Karol rozmawiał o interesach ze swym wiejskim rządcą, który po chwili się usunął.

— Ojciec — rzekł Paweł — jadę natychmiast do Paryża. Nie mam nawet czasu czekać na pożegnanie z matką, która wyjechała na spacer, jak się dowiaduję. Czy zechcesz zrozumieć mnie i wytłumaczyć wszystko matce?

A pan Karol odpowiedział, ściskając syna za rękę:

— Tylko pilnuj się, Pawełku, i bardzo uważaj, rozumiem cię dobrze, mój chłopcze i pamiętaj, że ja i Grig jesteśmy oddani ci całą duszą i gotowi na wszystko. Telegrafuj, skoro nas będziesz potrzebował i w ogóle nie zostawiaj mnie bez wiadomości o sobie.

Rozstali się bez wylewów serdeczności, ale obaj czuli, że kochają się głęboko.

Paweł telegrafował pod wskazanym adresem do Dymitra, że przyjeżdża oraz dodał, w jakim hotelu stanie. Wybrał umyślnie wielki i modny „karawanseraj”, żeby łatwiej można było niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić, jeśliby odwiedziny Dymitra miały pozostać

tajemnicą. Przyjechawszy, z najwyższym zniecierpliwieniem oczekiwał na wiernego sługę. Wstał wcześniej i jadł właśnie śniadanie w saloniku, gdy stary wszedł. Przez cały dzień Paweł nie pozwolił sobie na żadne domysły. Zobaczy, to dowie się niedługo wszystkiego, to mu powinno wystarczyć. Lecz gdy służący zgiął się w pełnym szacunku ukłonie, był tak uradowany, że miał ochotę podać mu rękę.

— Czy ekscelencja miewa się dobrze?

— Tak. A teraz opowiadaj swoje nowiny.

— Pani rozkazała mi pojechać i zobaczyć się z ekscelencją tu, w Paryżu, gdzie to nie jest tak utrudnione jak w Anglii. Przede wszystkim pani miewa się dobrze. Było coś w jego głosie, gdy to mówił, że Paweł aż wykrzyknął z niedowierzaniem i począł go wypytywać dokładnie, ale on powtarzał tylko, że tak, pani miewa się dobrze, jeszcze jest trochę osłabiona i musi się szanować. Jej najukochańszy syn miewa się również dobrze. Pani ciągle przypominała, żeby zapewnić o tym ekscelencję. Poza tym syn jest żywym portretem swojego ojca. Tu stary człowiek spuścił oczy, bo Paweł począł wyglądać przez okno i zalał się łzami. Okoliczności tak się składają, że byłoby bardzo trudno dla pani opuścić teraz południowe kraje, ale najgorętszym jej życzeniem byłoby zobaczyć ekscelencję znowu, jeżeli takie spotkanie dałoby się urządzić.

Zatrzymał się na chwilę, a Paweł aż krzyknął, że naturalnie da się to urządzić i on może wyjechać jeszcze tej nocy. Lecz Dymitr potrząsnął głową. To będzie niemożliwe. Przedtem trzeba ułożyć bardzo dokładny plan. Trzeba mieć jacht a przed końcem maja nie będzie bezpiecznie dla ekscelencji płynąć na południe. W tym czasie pani będzie w pewnym zamku nad morzem, a jeżeli wyprawa ekscelencji mogłaby się odbyć bez rozgłosu, to w stosownej chwili podpłynąłby do brzegu i widziałby się z panią przez kilka godzin. Paweł pomyślał o kapitanie Grigsby.

— Przybędę jachtem, jak tylko będzie można — rzekł stanowczo.

Potem zaczęli omawiać szczegóły.

Paweł widząc, że Dymitr w dalszym ciągu nazywa swoją królową

panią", domyślił się, że ona pragnie zachować incognito dalej i'choć ogarniała go szalona ciekawość, postanowił czekać cierpliwie, aż do chwili, gdy stanie przed nią i poprosi o zwolnienie ze słowa Czuł że dłużej nie będzie mógł już znieść tej tajemnicy, ale nie chciał pytać Dymitra. Wszystkie siły umysłu skierował na to, żeby wyciągnąć od Dymitra jak najwięcej szczegółów o zdrowiu i powodzeniu swej ukochanej, a ten w zwykłej, pełnej szacunku postawie opowiadał mu, co tylko wiedział i mógł powiedzieć. Więc pani jego była bardzo chora — dowiedział się Paweł — stała na progu śmierci. Lecz nagle nastąpił szczęśliwy zwrot w chorobie tylko zbyt była słaba, żeby móc obmyślać albo wykonywać jakieś plany widzenia się z nim. Jakże mu serce biło przy słuchaniu tego A więc ten gwałtowny jego niepokój nie był bez przyczyny. Dymitr ciągnął dalej. Życie pani nie jest wcale szczęśliwe, ekscelencja musi o tym wiedzieć, a trudności otaczające ją, powiększyły się jeszcze bardziej. Przynajmniej brat pani jest teraz z nią, trzyma jej stronę i sam pilnuje jej syna - toteż sprawy na razie uspokoiły się, a przyczyna wszystkich niepokojów i zmartwień przynajmniej na razie nie grozi. Pierwszy raz, odkąd Paweł go znał, Dymitr uniósł się i nienawiść błysnęła z jego spokojnych oczu.

Przyczyna niepokoju" była tak niemożliwa do zniesienia, że tylko szlachetność i dobro pani ocaliły go od zamordowania już po wielokroć razy. Nienawidzono go, mówił Dymitr, nienawidzono go i pogardzano nim; życie jego upływało na pijatykach i innych jeszcze gorszych zabawach niemożliwych do opowiedzenia. Życie to me miało wartości. Lecz syn pani zawsze będzie kochany, dla jej pamięci, tak że ekscelencja niczego się nie potrzebuje obawiać, a przy tym brat pani jest razem z nią i on czuwa nad wszystkim.

Potem Paul zapytał Dymitra, czy jego pani wiedziała, że on leżał chory w Wenecji.

I dowiedział się, że tak, rzeczywiście, w tajemnicy dowiadywała się o każdym jego ruchu i posłała nawet Aleksandra z powrotem, aby się dowiedział, czy grozi mu niebezpieczeństwo. Była nawet chwila, że chciała na wiatr rzucić całą ostrożność i przezorność i powrócić do niego. Ach! pani wiele przecierpiała w przeszłym

roku — mówił stary człowiek — lecz mimo to była piękniejsza niż kiedykolwiek i dobra, i cierpliwa jak anioł, zwłaszcza przy pielęgnowaniu synka. Anna również mówiła, że to jedyna radość pani pieścić to dziecko i nazywać je Pawełkiem, spieszczając to imię rozmaicie — takim imieniem został ochrzczony na pamiątkę ciotecznego dziadka.

I znowu Dymitr spuścił oczy, a Paweł znowu wyglądał przez okno i płakał.

Pawełek! Ona nazywała go Pawełkiem, ich syna. Wzruszyło go to do żywego. Ach, jak on szalenie, jak chorobliwie wprost tęsknił do jej widoku. Czyż ma jeszcze czekać cały miesiąc? Tak — potwierdził Dymitr — nie ma sposobu zobaczenia się przed dwudziestym ósmym maja, dla powodów, których on nie może wymienić, lecz które są związane z przyczyną wszystkich zmartwień.

Potem omówiono wszystkie szczegóły i Dymitr pokazywał Pawłowi mapy i plany, dokładny opis i nazwę miejsca, gdzie jacht miał wylądować. Cała ta rzecz musi zabrać trochę czasu, nawet gdyby się mieli rozjechać jutro. — Jacht jest teraz w Marsylii — rzekł Paweł — i możemy wyruszyć w morze w przyszłym tygodniu. Proszę mi przysłać ostatnie instrukcje do Konstantynopola i na miłość Boską proszę mi przysłać wiadomość do Neapolu.

Dymitr obiecywał wszystko i kłaniając się przed odejściem, wsunął Pawełkowi w rękę list. Pani zabroniła mu oddawać ten list, zanim skończą rozmawiać i wszystko obmyślą. On wyjedzie dziś w nocy a pod obecnym adresem będzie go można zastać o szóstej, jeżeli ekscelencja zechce nadesłać odpowiedź.

Po czym wycofał się z głębokimi ukłonami, a Pawełek stał nieruchomo, ściskając list w rękę i słuchając, jak serce mu bije z radości.

A co to był za list! Cała dusza jego ukochanej wyrażona w jej własnych, wykwintnych słowach. Na początku pisała mu, że ma nadzieję, że on teraz już wie, kim ona jest i gdy się spotkają — a z początku ona obawiała się, że to nigdy nie nastąpi — zniknie już przyczyna zachowywania incognito. Potem napisała mu, żeby wiedział już na pewno i dokładnie, imię, nazwisko oraz nazwę kraju.

*Ukochany mój — pisał — pamiętaj, że*

*najwspanialsze tytuły moje to te, że byłam twoją kochanką i matką twego syna.* W tym miejscu Paweł ucałował list, drżąc z dumy i miłości. Potem mówiła mu o swej niewygasłej miłości, o bolesnych troskach i niepokojach z powodu ich rozstania i o nieustającej swej radości, gdy przyszedł na świat ukochany jedynak.

*Opisać go, o mój Paul ukochany... Wiem tyle tylko, że to jest dziecko zupełnie angielskie i piękne. A teraz jeszcze raz proszę cię, mój kochany, żebyś ciągle starał się powiększać swą wiedzę przyszłego męża stanu, abyś kiedyś mógł pomagać mi radą przy wychowaniu syna.* Potem następował opis świetnej przyszłości ich dziecka, jak ją sobie wymarzyła, a Paweł oparł się o poręcz krzesła i przymknął oczy — upajała go cała ta wielkość — a serce swoje w namiętym ubóstwieniu rzucał pod jej stopy. Dalej pisała o prawdopodobnym ich spotkaniu. Willa jej była odległa o dwieście jardów od morza. Paul musi tylko postępować dokładnie według instrukcji Dymitra, inaczej niebezpieczeństwo grozi im obojgu; lecz ona za żadną cenę nie może być dłużej bez zobaczenia swego kochanka.

*Teraz jesteś dla mnie więcej niż kochankiem, Paul, a ja jestem więcej niż kiedykolwiek Twoją.* Tu list się kończył, a Paweł resztę dnia spędził na odczytywaniu go na nowo i na pisaniu odpowiedzi pełnej czci i namiętności.

W nocy obaj, on i Dymitr, rozjechali się, dążąc w dwie przeciwległe strony.

Lady Henrietta była zrozpaczona, gdy Paweł i jego ojciec oznajmili zamiar puszczenia się na sześciotygodniową wyprawę z kapitanem Grigsby. To było tak niepotrzebne, jak mówiła, zwłaszcza w tej porze roku, na początku maja, gdy cała Anglia była najzabawniejsza i najbardziej zajmująca.

Musieli ją uspokajać, jak tylko mogli.

Morze Śródziemne! Tyle mil stąd i taka ekscentryczna ta cała wyprawa. Powrócą wtedy, gdy inni będą wyjeżdżali. Doprawdy, do tej pory nie mogła sobie darować, że tolerowała tak długą podróż syna zeszłego roku. Od tego bowiem czasu nigdy nie była go pewna.

— Droga mateczko — odrzekł Paweł — ja muszę widzieć świat. A sir Karol chrząkał i wycierał nos, jak to było jego zwyczajem.

W końcu wyruszyli z Marsylii we trzech, jak na wyprawę myśliwską czy wojenną. Głośno utrzymywali, że pociąga ich wycieczka dokoła Wysp Greckich i pomiędzy nimi. „Zwłaszcza pomiędzy nimi” — dodawał kapitan Grigsby, patrząc porozumiewająco na pana Karola. — A jeśli namiętność miłosna i niecierpliwość wrzała w żyłach Pawła, to ojca i starego przyjaciela niemniej podniecała romantyczność wyprawy.

Nie rozmawiano wiele o przedmiocie tej wyprawy z młodym człowiekiem. Prosił on tylko w krótkich słowach, żeby kapitan Grigsby wyświadczył mu wielką uprzejmość i zabrał go na pełne morze na nowym „Błękitnym Wrzosie”, a następnie, żeby go wysadził na ląd w miejscu, w którym dał słowo, że się stawi. Piękny maj był odpowiednim miesiącem, a awanturnicza wyprawa była największą w świecie przyjemnością, toteż Marek Grigsby zgodził się bardzo chętnie na wszystko.

Wtedy pan Karol poddał myśl, że i on będzie im towarzyszył i został nadzwyczaj chętnie przyjęty na trzeciego do ich towarzystwa.

— Muszę, Grig, nacieszyć się moim chłopakiem, zanim go oddam w świat — mówił wesoło.

Ale w głębi serce tała się jakaś nieokreślona trwoga o Pawła i to był główny powód jego przyłączenia się do wyprawy.

Podróż mieli bardzo przyjemną, lecz w Neapolu na próżno dopytywali się o listy, przez co niecierpliwość Pawła jeszcze wzrosła. Lecz listy te nie miały nadejść przed końcem maja, więc był czas na zwiedzanie Greckiego Archipelagu.

Życie na tym przepięknym morzu pod słonecznym niebem było dla nich wszystkich najwyższą radością — lecz Paweł zwłaszcza odczuwał silnie piękności przyrody, widział tak delikatne światłocienie, o jakich jego towarzysze nawet nie marzyli. Oczy płonęły mu radosną nadzieją, że wkrótce już zobaczy swoją ukochaną. Myśl o tym nie opuszczała go ani na chwilę. I tak w końcu wpłynęli na Bosfor i przybyli do Konstantynopola.

Tutaj oczekiwały na nich dokładne instrukcje. Tego wieczoru Paweł przypuścił trochę do tajemnicy ojca i przyjaciela, pokazał im kartę i odczytał głośno kierunek. Dwudziestego dziewiątego maja,

o ile pogoda okaże się przychylna, mieli zarzucić kotwicę w pewnym miejscu z nadejściem nocy. Tu następową podana dokładnie szerokość i długość geograficzna — a skoro usłyszą trzykrotny okrzyk morskiego ptaka, Paweł wysiadzie na ląd i uda się w stronę, gdzie zobaczy zielone światło. Tam będzie czekał na niego Aleksander, a stamtąd już było tylko kilkadziesiąt kroków do ogrodowej uliczki, prowadzącej do willi nad morzem, w której jego pani spędzała lato. Wszystko to wydawało się bardzo proste. Dalej widniało w instrukcji, że Paweł musi opuścić willę przed świtem, a jacht musi zniknąć z widowni przed dziennym światłem, ponieważ w ostatnich czasach zaszły pewne komplikacje, a Nienawistna Istota nie opuściła stolicy, tak że sprawa nie była łatwa ani bezpieczna. Niecierpliwosć Pawła nie miała granic. Cała tęsknota ostatnich miesięcy skoncentrowała się w nim teraz i utrzymywała w stanie wielkiego napięcia. Zobaczy nareszcie swoją panią! Obejmie ją! Będzie ją całował, uklęknie przed nią, złoży jej swój hołd i cześć. A potem zobaczy swego syna. Co minutę wyjmował z pugilaresu delikatne pasemko włosów, przyglądał mu się i starał wyobrazić sobie dziecinną główkę. A teraz ona, miłość jego życia, przyniesie mu synka w ramionach i może nawet pozwoli i jemu wziąć go na ręce. Ach! co za szczęście — przymykał oczy i wyobrażał sobie tę tkliwą, najpiękniejszą scenę. Czy ona się zmieniła? Czy dojrzy na jej twarzy ślady cierpienia? Lecz w jego pieszczotach znajdzie zapomnienie bólów i na pewno to spotkanie będzie tylko pierwszym z całego szeregu następnych. Los nie zechce rozdzielić tak głębokiej, wiernej miłości. Ogarnęła go znowu egzaltacja. A jeśli jego pani była królową i nosiła koronę, to on również czuje się najpotężniejszym królem na ziemi, bo czyż nie jest jedynym władcą i panem jej serca? I któż pragnąłby wspanialszego królestwa?

Te parę tygodni, których potrzebowali na przyplłynięcie z Konstantynopola, wydały mu się dłuższe niż cała dotychczasowa podróż. Całą siłę woli skupiał, żeby móc rozmawiać o najprostszyc rzeczach przy stole, a ojciec i Marek Grigsby, widząc to, zostawiali go często samego.

Nareszcie, nareszcie nadszedł dwudziesty dziewiąty maja, śliczny, gorący dzień, bez jednej chmurki na niebie.



Dla wiadomych powodów stali przy brzegu, dopiero gdy ciemność zapadła, wypłynęli na morze. Noc była gwiazdzista, bez wiatru, lecz księżyc nie oświecał ich awanturniczej wyprawy.

Paul ubierał się z najwyższym staraniem, nigdy nie był tak drobiazgowy przy swej toalecie.

Thompson zauważył, że jest dzisiaj niesłychanie wymagający.

Przez ostatni rok rozrósł się i zmęźniał jeszcze, twarz miał opaloną i rumieńce po części ze zdrowia, po części z podniecenia.

— Ależ to najładniejszy diabeł, jakiego w ogóle może kochać kobieta! — rzekł Marek Grigsby, gdy obaj z panem Karolem pilnowali, jak przechodził przez kładkę, rzuconą do brzegu, gdy niecierpliwie oczekiwany sygnał dał się na koniec usłyszeć.

— Niech go Bóg strzeże, Grig — rzekł pan Karol z trudnością, czując, że go ściska w gardle.

Paweł był prawie nieprzytomny z podniecenia, gdy, z drzeniem w sercu, biegł w stronę światła. Co jakiś czas sprawdzał kieszeń, chcąc się upewnić, że na pewno nie zapomniał pistoletu Dymitra, który dziś po południu sam go czyścił i nabijał.

Wiedział, że ta cała przygoda może być niebezpieczna, lecz wiedział jednocześnie, że doskonale strzela z rewolweru, dzięki nieustannej wprawie. Światło paliło się w małej zatoce, tam gdzie była niewielka przystań. Tak, człowiekiem, który trzymał latarnię, był Aleksander.

— Pozdrawiam, pozdrawiam ekscelencję — powtarzał, zginając się w pokłonach aż do ziemi i pocałował go w rękę. Po czym w zupełnym milczeniu ruszyli wąską ścieżką. Nagle ścieżka urwała się. Nie przeszli jeszcze pięćdziesięciu stóp, gdy drogę zagrodziły im wielkie, nabijane gwoździami drzwi.

— Cyt! — szepnął Aleksander. Drzwi natychmiast otworzyły się i wyrzwał z nich bojaźliwie Dymitr.

— Ach, chwała Bogu i świętym jego. Ekscelencja jest zdrów. Ale nie można zwlekać ani minuty — dodał. — Ekscelencja musi natychmiast powracać do czekającej łodzi! Spotkanie nie dojdzie do skutku, bo byłoby zbyt niebezpieczne dla pana i naszej pani. Pani jest niepoczyszona, ale nic nie może poradzić na tę niełaskawość losu. Wysłała go, żeby powiedział, że ekscelencja powinien się ukry-

wać przez dwa dni na morzu, a potem powrócić na to samo miejsce, a jeśli zobaczy przewiewającą z willi flagę, to może wylądować i wyjść na brzeg o tej samej porze. Jeśli zaś flaga będzie spuszczone, to powinien natychmiast wracać do Konstantynopola, gdzie zostaną mu nadesłane nowe, dalsze instrukcje.

Mówiąc to, Dymitr wskazał mu powrotną drogę i prosił, żeby niezwłocznie za nim poszedł. Był to straszny cios dla Pawła, lecz myśl, że mógłby przynieść niebezpieczeństwo ukochanej, sprawiła, że nie wahał się ani chwili.

Szli ścieżką w milczeniu, a gdy doszli do łodzi, stary służący począł szeptać. Jej królewska mość kazała mu zapewnić ekscelencję, że wszystko jest dobrze, tylko że spotkanie zostaje odłożone do czasu, aż będą mogli spędzić kilka dni bezpiecznie. Niech Święci Pańscy strzegą ekscelencję — dodał wierny sługa. A gdy Paweł wszedł do łodzi, naśladował trzykrotnie krzyk morskiego ptaka.

Żałosny krzyk rozległ się po morzu i wrócił echem do zboląłego serca Pawła — coś pchnęło go silniej niż zwykle, żeby wrócić na powrót, lecz tymczasem dopłynął do jachtu i potem dopiero przypomniał sobie tę dziwną okoliczność, że skoro tylko Dymitr stanął w drzwiach okutych żelazem, Aleksander natychmiast zniknął w ciemności.

\* \* \*

Przez następne dwa dni spędzone na morzu, Paweł przechodził wszystkie męki Tantalą. Wiedzieć, czuć, że ona jest tak blisko i nie móc pójść do niej! Było w tym jakieś nieprawdopodobne wprost okrucieństwo.

I serca dwóch siwowłosych mężczyzn cierpiały z nim razem. Kapitan Grigsby pocieszał się następującym aforyzmem:

— Mów sobie, co chcesz, Karolu, ale młodzież też musi drogo płacić za swoje przyjemności. Czyż nie pociągaliśmy tu nosami, jak dwa nosorożce przez całą ostatnią noc, gdy nasz chłopak biegał po pokładzie, jak nieprzytomny.

A pan Karol potwierdził tylko skinieniem głowy, bo rzeczywiście bardzo głęboko odczuwał cierpienia syna.

Gdy wreszcie ułynał oznaczony czas i poczęli znowu zbliżać się do lądu, powiał dość chłodny wiatr. Byli jeszcze tak daleko, że niepodobna było dojrzeć coś na wybrzeżu, Paweł jednak stał na samym przodzie jachtu z najsilniejszą lunetą w ręku.

Wreszcie brzeg i willa zarysowały się w całej pełni, lecz niestety, nie mogło być pomyłki, flaga była spuszczone i zwieszała się smutnie.

I w dniu śmierci Paweł zachował żywy obraz tego pięknego domu z białymi kolumnami. Nie było w nim żadnej domieszki tego na wpół orientального stylu, jaki się najczęściej spotyka w tych stronach, była to piękna, marmurowa budowla we wdzięcznym stylu jońskim, jakby stworzona na mieszkanie dla jego królowej. Od strony morza osłaniał willę gaj młodych wiązków. I teraz już Paweł mógł odróżnić przystań i wielkie, okute żelazem drzwi.

Ogarnęło go jakby jakieś złe przeczucie, dzika, chorobliwa trwoga. Co się stało? Dlaczego mu nie wolno przybić do lądu? Wtedy po raz pierwszy pomyślał o nagłym zniknięciu Aleksandra. Czy w tym było coś groźnego? Czy on zrozumiał, że jakieś niebezpieczeństwo grozi jego królowej i pobiegł jej bronić? Cała nawałnica myśli i niespokojnych pytań zalała mózg Paula.

Ale nie mógł nic poradzić, i nic innego zrobić, tylko całą siłą pary wracać do Konstantynopola.

Rozejrzał się jeszcze raz dokoła. Zielone żaluzje były spuszczone, dokoła panowała cisza, spokój i pustka. Żadna żywa istota nie przechadzała się po ogrodzie. Willa wyglądała jak mauzoleum śmierci.

A gdy ta myśl po raz pierwszy uderzyła Pawła, musiał użyć siły woli, żeby nie krzyczeć z rozpacz.

Starał się opanować. Cóż to za słabość i szaleństwo żeby sobie wyobrażać rzeczy, które prawdopodobnie wcale się nie zdarzyły! Dlaczego jego myśli są takie czarne, skąd te złe przeczucia, które mu psują całą radość, kiedy w rzeczywistości wszystko na pewno skończy się szczęśliwie?

Jakieś nagłe wezwanie do miasta, być może ucieczka przed szpiegującym ją okiem, tysiąc i jedna możliwych przyczyn, a wszystkie podobniejsze do prawdy, niż to, czego się obawiał.

Nie będzie sobie pozwalał odtąd na zdziwienie i przestach. Odzyska spokój i jak prawdziwy mężczyzna, z zimną krwią poczeka na jakąś pewną wiadomość. Od tej pory twarz jego nosiła żelazną maskę, a myśli żelazną obręcz. I tak nareszcie dobili do Konstantynopola.

Lecz to, co się stało później, trudne jest do opisania. Bo w ten lipcowy gorący ranek los dotknął Pawła tak strasznie, że przez długie tygodnie widział tylko czerwone fale krwi przed oczyma i żył jak w piekle.

Każdy zna tę historię, która w swoim czasie wstrząsnęła Europą. Jak pewien szatańsko wprost żyjący król po dzikiej orgii i szalonym pijaństwie przyjechał z dwoma dobrymi towarzyszami do willi królowej, wdarł się tam przemocą i wbił jej szylet w serce, zanim wierni towarzysze zdążyli jej pospieszyć na ratunek. A prawie wszyscy cieszyli się, że ten dziki zwierz zapłacił za zbrodnię swą własną śmiercią — niepotrzebne, szkodliwe życie wydarł mu wierny sługa królowej, Aleksander. Lecz tylko Paweł, jego ojciec i kapitan Grigsby znali szczegóły, które opowiedział Dymitr w swym rozdzierającym serce liście. Jak owej nocy, dwudziestego dziewiątego maja o godzinie, w której ekscelencja był spodziewany, on, Dymitr, czekał na niego w ogrodzie, aby go spotkać i przeprowadzić przez ciemności. Dymitr nie sądził, aby jakieś natychmiastowe niebezpieczeństwo groziło jego pani. Spostrzegł je Aleksander, który pobiegł na ratunek — niestety za późno. Nie zdążył ocalić królowej. I tu wierny sługa przytaczał opowiadanie Anny. Jak ta poczciwa dziewczyna czuwała na drodze wiodącej z willi do miasta i dosłyszała, jak ktoś nadszedł pędem, tratując wszystko po drodze. Jak pobiegła ostrzec swoją panią, lecz królowa odrzekła, że sama pójdzie przestrzec Dymitra, a ją wysłała, żeby pilnowała na dole drzwi wejściowych. Zapewne pani nie chciała, aby o obecności męża dowiedział się Paweł, bo wtedy doszłoby niechybnie do rozlewu krwi. Potem Anna opowiadała, jak król odprawił drżącą ze strachu służbę i wszedł, potykając się i klnąc do hallu, a z nim dwaj pijani, półdzicy towarzysze. I jak potem Anna błagała królową, żeby się skryła, żeby uciekła, póki jeszcze czas. Lecz ona stała nieruchomo, nad słuchując

tylko trzykrotnego okrzyku mewy, a gdy go wreszcie usłyszała, zwróciła się z triumfem do wchodzącego właśnie króla, szepnąwszy przedtem Annie, że nic już ją teraz nie obchodzi, skoro ekscelencja jest bezpieczny.

Na jej twarzy, gdy patrzyła na tego potwora, nie było trwogi przed śmiercią, ani nic w tym rodzaju, tylko gniew i duma. Anna, zobaczywszy sztylet, z jękiem rzuciła się pomiędzy nich i usiłowała zasłonić panią, lecz została odciągnięta przez jednego z pijanych ludzi i potem musiała patrzeć na śmierć ubóstwianej królowej. Ach! to była chwila, o której i w niebie nigdy nie zapomni. Wspaniała królowa stała zupełnie spokojnie z odrzuconą w tył głową, a ten potwór z piekła syczał przez zaciśnięte zęby: „Ponieważ nareszcie usłuchałaś mnie i znalazłaś sobie dziedzica i następcę tronu, lud mnie będzie teraz za to kochał i nie potrzebuję już ciebie. To dla mnie radość, zabić cię!”.

I z tymi słowami uderzył sztyletem.

O tym, co później zaszło, ekscelencja zapewne wie. Jak wbiegł Aleksander, roztrącił zauszników jak wściekły bawół, rzucił się na niegodziwego króla i rzuciwszy nim o marmurową posadzkę, pozbawił życia.

Tu kończył się list Dymitra. List o miłości, która przyniosła śmierć. I tak jak zwykle, kobieta zapłaciła tę najwyższą cenę.

\* \* \*

Może niektórzy z was, którzy czytają tę historię, pomyślą, że jej śmierć była sprawiedliwa, ponieważ była ona kobietą niemoralną. Lecz inni razem z Pawłem utrzymują przeciwnie, że to była najszlachetniejsza i najznakomitsza pani ze wszystkich, jakie kiedykolwiek nosiły koronę. A w każdym wypadku stoi już teraz ponad sądami ludzkimi.

Lecz dzieło jej żyje dotychczas w sercu Pawła i będzie żyło aż do końca jego życia, choć przez długie miesiące od tego czerwcowego dnia czuł tylko nienawiść, dziką namiętność i rozpacz.

Nie mógł znieść ludzi. Ojciec i kapitan Grigsby zostawili mu

jacht, na którym błakał się samotnie. Lecz nikt nie domyślał się, jakie'okropne i upiorne godziny spędzał na nim Paweł, bezustannie opanowany rojem rozpaczliwych i gorzkich myśli. Dlaczego nie wrócił za pierwszym impulsem, kiedy złe przeczucie targnęło jego sercem? Dlaczego Aleksander, a nie on, miał to szczęście i zadowolenie, że mógł zabić dzikiego mordercę królowej?

Nawet wspomnienie synka nie podniosło go na duchu. Był teraz bezpieczny pod opieką księcia Piotra, brata królowej — ten król czteromiesięczny! Ale żaden syn, ani król, ani żaden kraj na świecie nie mógł powrócić do życia królowej, nikt nie mógł jej zastąpić! I pomyśleć, że ona umarła, aby jego ocalić. Ocalić go od czego? Od spotkania z trzema rozwiązłymi pijakami, dla których największą radością było zabijać.

Były chwile, że Paweł szalał po prostu z rozpacz i namiętności. Leżał na łóżku i wył jak ranione zwierzę. Mijały długie miesiące, wreszcie zdołał się tak opanować, że mógł powrócić do domu. A jeżeli lady Henrietta krzyknęła, że tak źle wygląda po pierwszym jego powrocie do domu, to teraz ugięła się po prostu pod ciężarem trosk. Bo twarz jej syna wyglądała jak skamieniała w grozie maska Meduzy, tak jak z bólu skamieniało mu serce. Był uprzejmy dla matki i pozwalał się jej pieścić, ile chciała, ale nic w świecie nie zdołało go już poruszyć, nawet radosne skomlenie Pika.

Cały Boży świat był mu nieprzyjacielem, bo czyż on nie był na nim zupełnie samotny, pozbawiony zupełnie celu życia? Przyszła teraz reakcja po gwałtownych wybuchach i ogarnęła go nieprzewyciężona apatia. Egzystencja bez żadnej barwy, bez powabu i zainteresowań. Co go obchodzi parlament? Co nawet obchodzi cały kraj i naród? Albo własny dom? Tylko gdy nadchodził czas polowania, doznawał pewnej ulgi, jeżeli mógł lecieć pędem, jeżeli polowanie było trudne i niebezpieczne, jeżeli koń nie dawał się opanować, wtedy krew poczynała w nim grać na krótko. Ale poza tym życie stało się piekłem i Bóg jeden wie, jak często miał pokusę zrobić użytek z małego pistoletu Dymitra, skończyć raz to wszystko i zasnąć wreszcie spokojnie. Ratowała go od tego wrodzona angielska duma, która każe mężczyźnie odważnie cierpieć.

A przez cały ten czas ojciec martwił się i martwił coraz bardziej.

Pani Henrietta spędzała godziny we łzach i modlitwie. Pan Karol powiedział jej, że syna ich spotkało wielkie zmartwienie, że muszą pochylić głowy przed nieszczęściem i zostawić go w spokoju; toteż nie będą już urządzali wesołych zabaw w Verdayne Place i na zawsze muszą się wyrzec nadziei posiadania wnuków. Tylko Marek Grigsby był stałym gościem, ale przecież ten wiedział o wszystkim. Tak minął rok i Paweł puścił się w podróż dookoła świata. Obowiązek każdego Anglika, żeby okazać się prawdziwym mężczyzną za wszelką cenę, uzyskał wreszcie przewagę w sercu Paula, kazał mu zapanować choć trochę nad cierpieniem, paraliżującym w nim wszelką energię. Lecz eksperyment podróży okazał się bezskuteczny. Jeśli zdarzyły się okoliczności, które go na chwilę odrywały od zwykłych myśli, jak na przykład dwie czy trzy wielkie burze, które go spotkały w drodze, parę niebezpiecznych polowań, parę oryginalnych i podniecających sytuacji — to za to później, gdy się wszystko uspokoiło, wiecznie żyjący w nim ból odzywał się z tym większą siłą. Znowu ta straszna pustka i uczucie samotności, na które, zdaje się, nie było już lekarstwa.

Rozmaite miłe, interesujące kobiety starały się zwrócić jego uwagę, a Paweł rozmawiał z nimi i był uprzejmy, lecz cała ich słodycz i wdzięk nie robiły na nim żadnego wrażenia, tak jak lekki wietrzyk muska tylko samą powierzchnię jeziora, nie burząc jego głębi. Zdawał się być zupełnie nieczuły na wszystkie wpływy i obojętny na wszelkie wrażenia, tylko czasem, gdy góry lub młode, świeże buki przypominały mu Burgenstock, ostry i dojmujący ból, taki jak w pierwszej chwili nieszczęścia, przesywał mu serce.

A tymczasem zdolności umysłowe rozwijały się w nim ciągle. Czytał swobodnie coraz głębsze dzieła. Bezwiednie przyswoił sobie błyskotliwy sposób rozumowania swej ukochanej i przykładał go teraz do nadrobniejszych szczegółów życia. Zupełnie, jakby wszystko miał ułożone w mózgu szyfrowaną mową, a ona, jego ukochana, dała mu do niej klucz. Umysł jego był niestrudzony w badaniach naukowych, tak jak wspaniałe jego ciało zdawało się niestrudzone w sportach wszelkiego rodzaju. Teraz znał już świat i ludzi, ludzie go znali i był pożądanym gościem pomiędzy najznakomitszymi tego świata. Lecz miał w sobie

twardość diamentu. Nie posiadał żadnych zamiarów, żadnych ambicji. Wszystkie kwestie rozcinał zimnym rozumem, jak ostrym nożem, z bezlitosną pewnością. I jeżeli życie jego miało w ogóle jakiś cel, to chyba tylko ten, żeby jak najprędzej przejść przez świat i znaleźć ukojenie w wiecznym śnie. Niekiedy przychodziły mu do głowy myśli o małym synku, lecz odsuwał je od siebie i z wysiłkiem starał się znowu zamienić serce w bryłę lodu.

Czuć — to znaczy cierpieć. Było to może jego jedyne wyznanie wiary; jak też ślepa, szalona nienawiść i wściekłość przeciw losowi. Taką bolesną lekcję dało mu cierpienie i wiele lat upłynęło, zanim nauczył się patrzeć na życie z trochę innej strony.

Gdy pierwszy raz zobaczył tygrysa w Indiach, chwila ta zapisała się jako jedna z najważniejszych w historii jego wewnętrznego życia. Poszedł polować na te zwierzęta ze starym przyjacielem i zdarzyło się tak szczęśliwie, że udało mu się zabić to wspaniałe zwierzę. Lecz gdy już leżało martwe, gdy przepyszne jego ciało stało się nieruchome, smutek i żal naraz ogarnęły serce Pawła. Żadne ze stworzeń na świecie nie przypomniało mu tak wyraźnie jego ubóstwianej, na wieki straconej, królowej. Jak błyskawica mignęło mu przypomnienie pierwszego dnia, gdy leżała na skórze, która była jego podarunkiem. I teraz z dżungli zdawały się patrzeć jej błyszczące oczy. W uszach brzmiały mu jej słowa: „Znam wszystkie twoje uczucia i twoje namiętności. A teraz mam od ciebie tę skórę dla rozkoszy mojej skóry”. Tak, ona kochała tygrysy i zawsze była z nimi w przyjaznym stosunku, a oto teraz leżał przed nim jeden, którego swobodne, radosne życie zostało przez niego przerwane.

Nie, nie zabije już nigdy żadnego tygrysa. \ Po tej wyprawie przez kilka tygodni był jakiś niespokojny — wypadek ten przeniknął przez sztucznie pielęgnowany spokój do głębi jego duszy. I znowu dni mijały mu w świeżym, jak w pierwszych, dniach, przejmującym, okropnym bólu.

Potem znowu czas i podróże wywarły swój wpływ. Ale żaden kraj i żadna zmiana nie dały mu zapomnieć o tym strasznym opuszczeniu i poczuciu, że wszelka nadzieja zniknęła już na zawsze.



Jak ogniste haki szarpały mu serce i myśli straszne słowa: Nigdy już!, Nigdy więcej!

Ach, Boże! On nie będzie miał przy sobie swojej ukochanej, już nigdy. I znowu powstawał w nim szalony bunt przeciwko przeznaczeniu, wtedy czuł, że zmysły mu się mieszają i pragnął krwi.

Opuszczał cywilizowane kraje i jechał gdzieś w dziką pustkę.

Lecz po tych gwałtownych wzruszeniach następował zawsze letargiczny sen, ciężki, głuchy, wyczerpujący, aż dopóki znowu jakieś wspomnienie nie zbudziło w nim burzy cierpień. Zapach tuberoz sprawiał mu ból nie do zniesienia. Pewnego wieczoru w Nowym Jorku musiał opuścić operę, ponieważ jedna z kobiet, którym towarzyszył, miała tuberozy przy sukni.

I pomimo olbrzymiej siły panowania nad sobą czuł, że są chwile, kiedy nie może ręczyć za siebie, ani zapanować nad swym nieszczęściem.

Był już od dwóch lat nieobecny w Anglii, gdy z Ameryki doszły go wieści o śmierci wuja Huberta. A więc i on odszedł do świata duchów, w niezmierzone przestrzenie. I znów Paweł nie mógł zapanować nad tym, że jedynym uczuciem na wiadomość o tej śmierci było w nim uczucie ulgi. Nie potrzebuje się już teraz obawiać, że usłyszy od niego jakieś lekkomyślne słówko. Ale przypomniał sobie, jak bardzo matka kochała swego pięknego brata i napisał do domu długi, tkliwy list.

Coś tknęło go w odpowiedzi pani Henrietty i sprawiło, że zdecydował się na powrót do domu.

Ostatecznie, jeżeli cały świat był dla niego pustynią, jakim prawem miał pozbawiać ostatniej radości dwoje ludzi, którzy dali mu życie i kochali go naprawdę? Tak, powróci do domu i spóbuje nawiązać serdeczne stosunki z rodzicami.

Wielka pociecha i uspokojenie spłynęło do serc rodziców, gdy syn ich po raz trzeci powrócił do domu. I, jak zwierzę tresowane w cyrku, Paweł powrócił do zwykłej rutyny. Poruszono znów kwestię jego wstąpienia do parlamentu, lecz odłożył ją na razie. Nie chciał jeszcze i nie mógł brać na siebie żadnych zobowiązań. Postanowił tylko przebywać większość roku w domu, lecz gdy napłynie gwałtowna fala bólu, on musi być wolny i włączyć się, póki znowu nie nadejdzie względny spokój.

Serce pani Henrietty, jak kwiaty deszczem, ożywiło się nadzieją. Na pewno to wielkie, nieznane zmartwienie już przeszło — a jej ubóstwiany syn znowu powróci do normy.

\* \* \*

Lecz miesiące mijały znowu, a ból Pawła nie dawał się uleczyć. Czas tylko zrobił swoją skorupkę na krwawiącej ranie. Młody człowiek przeszedł ciężką szkołę i nauczył się znosić wszystko, co mu przynosił los. Nie uciekał już teraz od towarzystwa, nie przybierał manier samotnika, bywał w Londynie, brał udział w grze i zakładach. Ale to wszystko czynił z kamienną, niezłomną obojętnością, która zdumiewała ludzi.

Najdrobniejszy szczegół z jego historii nie przedostał się do publicznej wiadomości. Toteż jego poglądy na życie wydawały się czymś niesłychanym u tak młodego człowieka. Ci, którzy słyszeli jego mowę w dniu urodzin, spodziewali się po nim wielkich rzeczy. Teraz potrzęsali smutnie głowami, dziwiąc się, czemu nie spełnia swoich obietnic.

I tak mijał czas, aż pewnego dnia w początkach lutego, prawie już pięć lat po tym, jak zgasło światło jego życia, zdarzyła się okoliczność, która w jego życiu stała się punktem zwrotnym.

Była to na pozór drobna rzecz — po prostu tylko twarda i surowa śmiałość w twarzy i słowach cygańskiej kobiety.

Słońce już dobrze zeszło z południa, gdy szedł raz razem z Pikiem przez bagnistą łąkę i dotarł znowu do cygańskich chatek. Rozejrzał się dookoła — stali dokładnie w tym samym miejscu, gdzie i tamtego ranka, dawno już temu, gdy serce wzbierało mu radością przy czytaniu nowiny o urodzeniu się małego synka, tamtego ranka, gdy podarował młodej kobiecie suwerena.

Drzwi ostatniej chaty były otwarte, a na progu, w leniwej, zaniedbanej pozie siedziała ta sama smagła Cyganka, ale jakże smutnie zmieniona. Nie była to już ta młoda, pełna dumy matka, lecz surowa, koścista i źle wyglądająca kobieta.

Poznała go od razu i czarne jej oczy zamigotały; a gdy podszedł bliżej, rzekła od razu bez żadnego powitania:

— Straciłam go wasza miłość, jego i mojego Billa, tej samej mroźnej zimy i od tej pory nie mam już innego.

Paweł stanął i patrzył na jej brunatną twarz, oświetloną czerwonym słońcem zachodu.

— A więc oboje przeszliśmy przez piekło od tego czasu, moja biedna kobieto — rzekł.

Cyganka zaśmiała się gorzko i zuchwale, jak echo powtórzyła jeden wyraz: „piekło”, a potem zaczęła lamentować:

— Oj, tak, pomarli już, pomarli! I nie zobaczymy ich nigdy. A Paweł odszedł, lecz twarz jej przestraszyła go i utkwiała mu silnie w pamięci.

Czy i w nim zaszła też taka okrutna zmiana? — rozmyślał. Czy on był też tak zniszczony przez pięć lat życia w piekle? Jeżeli tak, to zszedł na złą drogę, wszedł w niszczące rejony życia, które wypalały jego siłę i wolę. I jak przez mgłę przesunęło mu się w pamięci wspomnienie jej szlachetnej, pogodnej twarzy, jaką miała w tych szczególnych godzinach, gdy razem płynęli na laguny i gdy mówiła mu, a oczy jej płonęły świętym ogniem, o swoich pragnieniach dotyczących jego przyszłości.

Lecz cóż starał się spełnić z nich, z tych wniosłych pragnień? Naprawdę nic. Bo opanowany został samolubnym bólem i żył bez żadnego celu, myśląc tylko o tym, żeby stłumić i ukoić straszliwe cierpienie serca. Zapomnieć! Ach, Boże, to nigdy stać się nie mogło. Bo czyż ona nie powiedziała, że to są wieczyste zaślubiny ich dusz? W życiu i po śmierci nie będą nigdy rozdzieleni.

A on próbował zerwać te święte węzły, kiedy przeciwnie, powinien uczcić jej pamięć, pocieszając swój ból wspomnieniem i spełnieniem jej słodkich słów. A cóż on uczynił? Pozwolił, żeby troska opanowała go, jak biedną cygańską dziewczynę, zamiast próbować uczynków wzniosłych i pięknych, jak go uczyła jego ukochana zmarła.

Zawrócił i szedł we mgle ku domowi; męczył go wstyd i wyrzuty sumienia.

A gdy tego wieczoru znaleźli się z Pikiem w jego gabinecie, Paweł wyjął listy od swojej ukochanej, które leżały ukryte przed ludzkimi oczami ze wskazówką piśmienną, żeby nie rozłączać go z nimi nawet po śmierci.

Czytał je uważnie, powoli, wszystkie, od pierwszej, króciutkiej kartki, do długiego krzyku miłości, który za pośrednictwem Dymitra doszedł go w Paryżu. Potem leżał bez ruchu długie godziny. Jego piersią wstrząsały łkania, a oczy zalane miał łzami.

I oto nagle wydało mu się, że duch jego pani jest przy nim, stoi tu, w drżącym, przyćmionym świetle i szepce mu słowa nadziei, szepce, że wróciła z zimnego grobu tu, do jego serca, żeby podnieść go na duchu i pokrzepić.

Usłyszał jeszcze raz jej złoty głos i zdawało mu się, że na skrzepłą jego duszę pada ciepły, rześisty, orzeźwiający deszcz, więc wyciągnął ramiona i zawołał głośno:

— Ukochana moja, najdroższa, przebacz mi tych pięć pustych lat, wróć do mnie i nigdy się już ze mną nie rozłączaj! Wróć do mego serca i króluj w nim na zawsze.

A gdy nadszedł dzień, cały świat zmienił się dla niego. Zamiast strasznej goryczy przeciwko losowi, która toczyła mu serce, znalazło się w nim teraz całe morze tkliwości. Teraz już nie wydawało mu się, że jest sam, teraz pamięć jej, wiecznie żywa, była przy nim. A razem z tą złotą zmianą nadbiegły myśli o ich dziecku, o tym młodym życiu, o którym zapomniał. Co się z nim dzieje? Jak on mógł tak strasznie, tak niegodziwie postępować, zamknięty w swym samolubnym bólu?

Co rok Dymitr przysyłał mu długi list pełen nowin i co rok ten dzień był dla niego straszny i męczący, bo na nowo otwierały się nowe rany. Czytał list szybko i natychmiast chował, żeby go stracić z oczu, przełknąć to jak najprędzej i zapomnieć.

Teraz już to maleństwo ma przecież pięć lat, a oczy ojca nigdy go nie oglądały. Ale tak nie może już trwać dłużej i napisał wreszcie do Dymitra.

Odwrotną pocztą otrzymał odpowiedź. Najpierw następowały pozdrowienia dla ekscelencji. Regent, wielki książę Piotr polecił mu powiedzieć, że jeśli ekscelencja będzie kiedyś podróżował dla przy-

jemności, jak to często czyni szlachta jego kraju, to z radością będzie przyjęty przez regenta, który sam jest wielkim amatorem podróży. Ekscelencja będzie mógł wtedy zobaczyć najukochańszego i nigdy nie dość kochanego, malutkiego króla. O tym cudownym dziecku, on, Dymitr, nie umie nawet pisać, to byłoby zbyt trudne. Zdaje się niejako, że to duch Jej Królewskiej Mości ożywia ciało jej syrika, gdy tymczasem zewnątrz jest zupełnie portretem swego znakomitego ojca. Dowodzi to, jak głęboko kochała Jej Królewska Mość ojca swego syna. Jeżeli ekscelecja zdąży przybyć na dzień urodzin Jego Królewskiej Mości, dziewiętnastego lutego, to zobaczy specjalną ceremonię w katedrze, która, jak sądzi książę regent, mogłaby być interesująca dla ekscelencji.

Paweł postanowił, że będzie jechał dniem i nocą, byle zdążyć na czas i zawiadomił Dymitra, prosząc o urządzenie wszystkiego tak, żeby mógł przybyć prosto do kościoła, w razie gdyby jakaś nieprzewidziana zwłoka zatrzymała go w podróży.

I tak się stało.

Po raz pierwszy zobaczył Paweł swego syna w smudze słonecznego światła padającego z wielkiego okna przy ołtarzu. Wdzięczna, delikatna figurka w niebieskiej, aksamitnej sukience z przypasaną miniaturową szabelką, stojąca dumnie. Jasne, różowe, złotowłose angielskie dziecko — żywy portret tego, co malowane na kości i w ramce z pereł stało na biurku lady Henrietty.

Patrzył na swego małego syna, a organy grały *Te Deum* i wspaniały, anielski chór śpiewał cudne pieśni, a w sercu młodego człowieka zerwał się istny potok ojcowskiej miłości i roztopił lodowe góry. I gdy tak klęczał, patrząc na swoje dziecko, wydało mu się, że jego ukochana stoi tuż obok i szepce mu, żeby spojrzeć w górę i podziękował Bogu za wieczną ich miłość i za chwałę ich syna, w której i on wreszcie znajdzie spokój i pocieszenie.

## **KONIEC**

### **O Eleonorze Glyn**

Eleonora Glyn urodziła się 17 października 1864 roku w Jersey, w rodzinie inżyniera. Wkrótce po śmierci ojca, jako małe dziecko wyjeżdża wraz z matką do Kanady. Tu spędziła młodość, tu przeczytała najważniejsze książki, które ukształtowały jej intelektualne oblicze. Wyróżniała się nim wyraźnie wśród swoich rówieśnic, uchodząc za niezwykle odczytaną młodą damę.

Jej pierwsza książka wydana w 1900 r., pt. „Wizyty Elżbiety” przyniosła młodej autorce wielki sukces. A w siedem lat później wydana kolejna książka pt. „Trzy tygodnie” — powieść o namiętności — wzbudziła wielką sensację. Ponoć sprzedano aż 5 milionów egzemplarzy tej książki. Nic więc dziwnego, że wkrótce Eleonora Glyn stała się najbardziej wziętą autorką scenariuszy filmowych. Eleonora Glyn była niezwykle płodną romansopisarką. Dziesiątki tytułów notują katalogi biblioteczne. Nic więc dziwnego, że popularna stała się także w Polsce. Jej powieściami zaczytywały się nasze babcie i nasze mamy.